PUSTE LODÓWKI SENIORÓW

WIĘCEJ NIEMCÓW ZA RADYKAŁAMI

PAPIEŻ KONTRA OPUS DEI

ROSJA SPADA Z KSIĘŻYCA

Kraków 30 sierpnia – 5 września 2023 nr 36 (3869) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

Nie zgadzajmy się

DARIUSZ ROSIAK O UCISZANIU OPINII, PARTYJNEJ LOGICE I SENSIE SPORU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

„Powstali 1863-1864”
trasa wystawy

Wystawa dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Organizator

MUZEUM HISTORII POLSKI

160. ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Bank Pekao Fundacja

Darczyńca

POLSKIE RADIO
TVP TELEWIZJA POLSKA
TVP 3
DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY
GOŚĆ NIEDZIELNY
POLSKA PRESS GRUPA
TWOJA HISTORIA

Patroni medialni

KS. ADAM

Boniecki: *Sukces i inne względy*

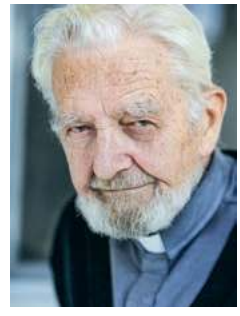

Czy pogłoski o śmierci Opus Dei są przesadzone? I czym jest ta katolicka organizacja, owiana nimbem (czy zasłużonej?) kontrowersji? Opus Dei (łac. „Dzieło Boże”) powstało z inicjatywy Josemaríi Escrivy de Balaguera w Madrycie, w 1928 r., za pontyfikatu Piusa XI. Jan Paweł II w 1982 r. konstytucją apostolską „Ut sit” ustanowił Opus Dei prałaturą personalną i wydawać by się mogło, że tym samym zamknął proces kształtowania się tej instytucji. Ale obecny papież 8 sierpnia tego roku zlikwidował w Kościele prałatury personalne (istniała jedna) i, jak w tym numerze „Tygodnika” pisze Tomasz P. Terlikowski, teraz „Opus Dei musi na nowo określić swój prawny status”. Jedni twierdzą, że to koniec dzieła Escrivy de Balaguera, inni, że nie, że to tylko kolejny etap jego istnienia.

Z szeregów Opus Dei wywodzi się ok. 20 biskupów na całym świecie, łącznie w prałaturze jest ok. 2 tys. kapłanów i ponad 93 tys. świeckich, w tym ok. 60 proc. to kobiety. Nieco ponad 20 proc. tej liczby stanowią żyjący w celibacie numerariusze. Trudno sobie wyobrazić, że papież nagle likwiduje dzieło skupiające tysiące osób, dzieło, do którego należą kardynałowie i biskupi, nie mówiąc o księżach i o kandydatach na ołtarze. Trudno sobie wyobrazić, żeby papież podejmował zamach na instytucję, która od lat wykazała się w Kościele ważnymi pracami i inicjatywami. I to mimo że istnieją ludzie, którzy zdecydowanie i bezwzględnie nie chcą słyszeć o Opus Dei i jego działalności. Widziałem pracę Opus Dei w Kazachstanie, mnóstwo razy spotykałem ludzi z tego środowiska w Rzymie. Papież Franciszek pamięta z pewnością swoje dobre stosunki ze szkołą prowadzoną przez Opus Dei i inne dobre relacje z członkami Dzieła.

Decyzje, cokolwiek by nie powiedzieć, trudne dla Opus Dei, chyba nie mogą wynikać li tylko z papieskiego zamiłowania do kanonicznego porządku. W Kościele nie zawsze wszystko się ogłasza i publikuje. Oprócz różnych wyjaśnień podejmowanych przez papieża decyzji mogą być i takie, które – choć niepubliczne – są decydujące.

Można mówić o niebywałym sukcesie Opus Dei. Liczba co roku święconych księży jest w dzisiejszych czasach imponująca, zaangażowanie świeckich – wybitnych polityków i „zwykłych” katolików – w świecie może być uznane za niezwykłe osiągnięcie. Nad tymi zjawiskami wielu się zastanawia, wielu przypisuje mu przyczyny niekoniecznie nadprzyrodzone. Trzeba jednak pamiętać, że jedną z charakterystycznych cech ruchu jest całkowite poddanie papieżowi. Trudno nie zauważyć w dziejach Opus Dei okresów trudnych doświadczeń, jednak dominuje klimat sukcesu. Można wręcz odnieść wrażenie, że twórca ruchu, nie akceptując starych form katolickiego zaangażowania, genialnie trafił w potrzeby nowych czasów.

Nie wydaje się, by papież Franciszek kwestionował całość tych osiągnięć. Trudno się zgodzić z piewcami „śmierci Opus Dei”, jednocześnie wyraźnie widać, że stopień niezależności organizacji okazał się dla obecnego papieża nie do przyjęcia. Dlaczego? Można snuć domysły, pozostaje jednak faktem, że trwanie założonej przez Escrivę instytucji w dotychczasowej formie jest dla obecnego papieża nie do utrzymania.

Tak bywa w Kościele. Sam sukces często nie wystarcza wobec innych względów... które niekoniecznie poznamy. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Kupując roczną prenumeratę wydania papierowego w cenie 550 zł za 49,99 zł otrzymasz teraz dodatkowo na cały rok:

- dostęp do bieżących treści online oraz numery „Tygodnika” w formacie PDF
- dostęp do coraz większej bazy seriali dziennikarskich, które publikujemy wyłącznie na stronie
- dostęp do 20-letniego archiwum pisma

Wybierz „Tygodnik” papierowy + cyfrowy na TygodnikPowszechny.pl/sklep i dziel się ulubionym pismem z najbliższymi!

Pierwsze 20 osób, które od dnia 30 sierpnia kupi prenumeratę w cenie 599,99 zł, otrzyma wyjątkowy upominek od Redakcji

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

26 Bałam się drzew nade mną
JACEK TARAN
Nie poddałam się i teraz też się nie poddam. Mam cel. Sprowadzić Lukrecję do Polski – mówi Tatcher, młoda Kamerunka, której udało się przejść przez białoruską granicę.

30 Infamia
ARTUR SPORNIAK
Wydarzenia z plaży w Świnoujściu, których efektem była śmierć księdza, powinny nas skłonić do refleksji nad odpowiedzialnością za słowo w przestrzeni publicznej.

42 Jeden naród, jedna alternatywa
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU
Napływ migrantów, inflacja i nieudolność rządzących pchają Niemców w ramiona radykałów.

58 Przetasowania w wyścigu mocarstw
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Krater, który w powierzchni Księżyca wybiła sonda Łuna-25, symbolizuje upadek rosyjskiego programu kosmicznego. Do liderów dołączają za to Indie.

64 Dziki i dziwny
PIOTR KOFTA
Faulkner pisał genialne powieści. Jego proza jest efektem domorosłych wynalazków, samouctwa, prób i błędów. Teraz wraca do nas w nowej odsłonie.

78 Ale bagno
ROZMOWA Z MICHAŁEM POSPISZYLEM, HISTORYKIEM
Mokradło nie zna granic. Nie do końca wiemy, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. To przeszkadza każdej władzy.

JACEK TARAN // CHRISTOPH LINGG / ANZENBERGER / FORUM // AMIT DAVE / REUTERS / FORUM // KATARZYNA CZECZOT / ARCHIWUM PRYWATNE // BETTMANN / GETTY IMAGES // MARTIN SCHUTT / DPA / PAP

6 Śmierć z przesłaniem
ANNA ŁABUSZEWSKA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Ostatnia prosta w kontrastach
MAREK KĘSKRAWIEC: *Z każdym tygodniem kampanii rośnie polaryzacja społeczeństwa*

23 Chleb i masło jest
DOMINIKA KLIMEK *o seniorach, którym często brakuje na jedzenie*

26 Bałam się drzew nade mną
JACEK TARAN

WIARA

30 Infamia
ARTUR SPORNIAK

33 Czy koniec zwieńczy dzieło
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *Wieści o śmierci Opus Dei są przesadzone*

37 Siedemdziesiąt imion Boga
MARCIN MAJEWSKI: *Osobowość Stworzyciela jest o wiele bogatsza od stereotypu surowego sędziego*

ŚWIAT

42 Jeden naród, jedna alternatywa
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU

46 Bitwa o Kupiańsk
ANTONINA PALARCZYK Z KUPIAŃSKA: *To miasteczko jest dziś często wymieniane w wojskowych komunikatach*

48 Morze zostało za frontem
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ZAPOROŻA: *Za sprawą rosyjskiej agresji mieszkańcy utracili miejsca, które znali od dziecka*

TEMAT TYGODNIKA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

12 Nie zgadzajmy się
DARIUSZ ROSIAK
Zamknięcie na dyskusję z ludźmi o odmiennych poglądach ma opłakane konsekwencje intelektualne, moralne i polityczne.

FELIETONY

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 WOJCIECH BONOWICZ **63** JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

51 Derusyfikacja w Karlowych Warach
MARTYNA WASIUTA Z KARLOWYCH WARÓW *o końcu pewnej epoki w słynnym czeskim uzdrowisku*

54 Smok traci siły
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO: *Gospodarka Chin popadła w tarapaty*

HISTORIA

55 Rozstrzelana fotografia
ANETA JONASZEK: *Jest lato 1943 r., trwa wojna, ale na tym rodzinnym zdjęciu oni są przez chwilę szczęśliwi, uśmiechnięci*

NAUKA

58 Przetasowania w wyścigu mocarstw
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

60 Psychofizyka AI
MATEUSZ HOHOL: *Duże modele językowe, takie jak popularny ChatGPT, są wdzięcznymi obiektami badań dla psychologów*

KULTURA

64 Dziki i dziwny
PIOTR KOFTA

68 Morze Gościnne
JAN BŁASZCZAK *o muzycznych fascynacjach Raphaela Rogińskiego*

70 Kino wysokiego konceptu
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Coraz częściej z kina będziemy gnać do sklepu*

74 Irlandzkie lato
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Cicha dziewczyna"*

75 Książka niespodziewana
LEKTOR *o „Ubożętach, półbożętach" Karoliny Grodziskiej*

ZMYSŁY

78 Ale bagno
ROZMOWA Z MICHAŁEM POSPISZYLEM, HISTORYKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Sztuka powszechnie nieznana [Podkast]
Czym była „smocza krew" używana przez średniowiecznych malarzy? – **MAGDALENA ŁANUSZKA** opowiada o smoku w sztuce i literaturze | **TygodnikPowszechny.pl/podkast**

Co obejrzeć w weekend
Czasem nie trzeba wielkiego kina: wystarczy obecność Tildy Swinton – **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale na VoD | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

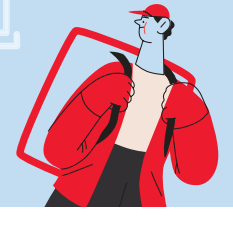

OBRAZ TYGODNIA

ŚMIERĆ Z PRZESŁANIEM

Na podstawie badań DNA rosyjski Komitet Śledczy podał, że szef Grupy Wagnera istotnie zginął w rozbitym samolocie. Co ta pokazowa rozprawa z buntownikiem mówi o systemie Putina?

ANNA ŁABUSZEWSKA

POWYŻEJ:
Jedno z powstałych spontanicznie miejsc pamięci po śmierci Jewgienija Prigożyna, Moskwa, 27 sierpnia 2023 r.

Bandyckie państwo ma swoje bandyckie reguły. Jedną z nich jest bezwzględna lojalność wobec bossa, za jej złamanie grozi surowa kara. Wzniecając pod koniec czerwca bunt, Jewgienij Prigożyn na oczach Rosji i świata wystawił autorytet Putina na szwank. Sprawił, że prezydent okazał strach i bezradność. Bunt zakończył się zawarciem zakulisowych porozumień. Wyglądało na to, że Prigożyn wyszedł obronną ręką i nadal może działać. Ale, jak pokazał rozwój wypadków, wymierzenie kary tylko odroczono.

Wraz ze śmiercią Prigożyna Putin odzyskał – może tylko chwilowo – sterowność; brak reakcji na bunt byłby odczytany przez elity jako nieudolność. Nie sięgnięto po środki prawne, nie postawiono buntownika przed sądem – podczas śledztwa i procesu mogłyby zostać ujawnione różne tajemnice, poza tym zwolennicy Prigożyna mieliby okazję do konsolidacji, a to też byłoby niepożądane z punktu widzenia Kremla. Natomiast tak ostentacyjna kara (wet za wet: śmierć w samolocie w odpowiedzi na zestrzelenie przez buntowników samolotu i śmigłowców) pozwoli Putinowi odbudować autorytet w grupie trzymającej władzę – niektórych nastraszy, innych zachwyci.

PO ELIMINACJI Prigożyna z gry Putin ma wyczyszczone przedpole i pokazuje, że to on decyduje w sprawach życia i śmierci. To przesłanie dla elity, by nie dała się wodzić na pokuszenie pomysłodawcom kolejnych buntów (których nie da się wykluczyć w przyszłości, zwłaszcza wobec dalszego braku sukcesów na froncie czy pogarszania się sytuacji w gospodarce). Z punktu widzenia reżimu to szczególnie ważne na progu planowanych na marzec 2024 r. wyborów prezydenckich.

Co z Grupą Wagnera? Od sławetnego buntu co kilka dni dochodziły

sprzeczne doniesienia o dalszych planach wobec „psów wojny”. Teraz, kilka dni po śmierci Prigożyna, Putin podpisał dekret zobowiązujący wagnerowców i najemników innych prywatnych firm wojskowych do składania przysięgi na wierność „ustrojowi konstytucyjnemu państwa”. To dziwne sformułowanie w kraju, w którym konstytucja jest jedynie rekwizytem potrzebnym w fasadowej ceremonii zaprzysiężenia prezydenta. Bo prawa spisane w ustawie zasadniczej już dawno zastąpił bandycki kodeks, w którym jedyne prawo to siła. Trudno przewidzieć, na ile to „przymuszanie do wierności” okaże się skuteczne w uregulowaniu problemu najemników, zdezorientowanych po śmierci swego herszta.

BYĆ MOŻE Prigożyn chciał uwierzyć, że nad trajektorią jego losu nadal świeci szczęśliwa gwiazda, a on sam cieszy się wyjątkowym statusem jako osoba zasłużona. Na dwa dni przed katastrofą lotniczą watażka nagrał filmik, w którym zapewniał, że Grupa Wagnera „wzmacnia obecność” w Afryce, przez co „czyni Rosję jeszcze bardziej potężną na wszystkich kontynentach”. I sposobił się do wykonywania postawionych zadań. Tymczasem przez ostatnie dwa miesiące Putin dokonał inwentaryzacji i przejęcia poszczególnych komponentów imperium Prigożyna: prywatnej firmy militarnej CzWK Wagner, biznesu w gastronomii, fabryki trolli, mediów, wreszcie interesów w Afryce. Na co liczył Prigożyn? Że zdrada – a tak Putin zaklasyfikował bunt – zostanie puszczona w niepamięć?

Prigożyna trudno uznać za naiwniaka, latami umiejętnie poruszał się za kulisami, brał udział w operacjach zlecanych przez władze (na ogół pokątnie, bez rozgłosu), był wtopiony w system. Zdawać by się mogło, że doskonale wie, jak grać z Putinem. Po buncie przestał być dla bossa godnym zaufania partnerem, stał się brzemieniem. I został zapewne zlikwidowany w ramach operacji specjalnej, nie pierwszej i pewnie nie ostatniej przeprowadzonej przez komando śmierci na polecenie ze szczytu władzy.

KATASTROFA POD TWEREM obrosła licznymi teoriami spiskowymi. Naczelny kapłan putinowskiej propagandy Władimir Sołowjow postawił tezę, że zamachu na Prigożyna dokonali „banderowcy”. W telewizyjnych talk show pojawiła się też wersja o sprawstwie brytyjskim. Dowody? Po co dowody? Wystarczy przekonanie. Nie brakuje też podejrzeń, że śmierć Prigożyna była inscenizacją, on sam przeżył, zmienił tożsamość itd.

Afryka Prigożyna, czyli jak zarobić na wojnie

W KILKA LAT Jewgienij Prigożyn zbudował w Afryce dochodowe imperium, z którego zyski pozwalają dziś Rosji prowadzić wojnę w Ukrainie i przeciwstawiać się Zachodowi. Złotonośny interes jest zbyt opłacalny, by miał zostać zwinięty po jego śmierci.

W 2014 ROKU, gdy Rosja zaczęła wojnę w ukraińskim Donbasie, Kreml polecił Prigożynowi, by z byłych żołnierzy, którzy po zwolnieniu z armii szukali zarobku w rozmaitych firmach ochroniarskich, stworzył najemnicze wojsko. A nawet więcej: najemniczą korporację zarabiającą na wojnach. Chętnych zebrał Dmitrij „Wagner” Utkin (kilka dni temu zginął z Prigożynem), były komandos, nacjonalista zafascynowany faszyzmem i muzyką Ryszarda Wagnera. Prigożyn, były kryminalista, który wybił się na oligarchę, miał zarządzać korporacją. Poniżej: ostatnia upubliczniona fotografia Prigożyna, wykonana gdzieś w Afryce kilka dni przed jego śmiercią.

TELEGRAM / AFP PHOTO / EAST NEWS

W ZAMIAN za usługi mające zapewnić bezpieczeństwo i długie rządy ich klientom wagnerowcy żądali kontraktowej zapłaty, a przede wszystkim koncesji na wydobycie skarbów mineralnych. W Wenezueli i Syrii zdobyli pola naftowe. Do Afryki ruszyli przede wszystkim po diamenty i złoto, którymi Kreml, sposobiący się do kolejnego najazdu na Ukrainę, chciał się ubezpieczyć przed zachodnimi sankcjami. Dobijając targu z prezydentami, dyktatorami i watażkami, Prigożyn zbudował imperium, które objęło Republikę Środkowoafrykańską, Mali, sudański Darfur i Cyrenajkę na wschodzie Libii. Wyprawa Grupy Wagnera do Mozambiku zakończyła się klęską, ale na ważnym strategicznie Sahelu rosyjscy najemnicy są o krok od przejęcia Burkina Faso i Nigru.

PO ŚMIERCI PRIGOŻYNA o „spadek” po Grupie Wagnera ubiegają się inne najemnicze firmy, stworzone przez innych oligarchów: „Reduta” b. kagebisty Giennadija Timczenki, czy związane z koncernem Gazprom „Potok” i „Pochodnia”. ©℗ WJ

Wśród rozpatrywanych wersji katastrofy dominują dwie: bomba na pokładzie i atak rakietowy (rakieta ziemia-powietrze lub powietrze-powietrze). Rzecznik Putina zaznaczył, że wysuwane przez komentatorów sugestie o sprawstwie Kremla są bezpodstawne. Komitet Śledczy stawia na przyczyny techniczne. Wersja o zestrzeleniu cywilnego bądź co bądź samolotu potwierdzałaby, że Rosja to państwo, w którym obowiązują mafijne porządki. Oficjalne gadające głowy dołożą starań, aby taką wersję wyeliminować.

ZAGADKOWĄ SYTUACJĄ, która rozgrywa się na marginesie głównego nurtu, jest los generała Siergieja Surowikina. W przeddzień śmierci Prigożyna podano, że stracił on stanowisko dowódcy Sił Powietrzno-Kosmicznych, które objął w styczniu. Nie wiadomo, gdzie jest – może został aresztowany, jak podają niektóre źródła? Surowikin uchodził za osobę bliską Prigożynowi. Gdy w 2022 r. szef wagnerowców krytykował ministra obrony i szefa sztabu generalnego, jednocześnie za wzór stawiał właśnie Surowikina, sławił jego kompetencje. Ale jako dowódca operacji przeciw Ukrainie (od października 2022 r. do stycznia 2023 r.) Surowikin nie zdołał przełamać impasu na froncie, co więcej – oddał Chersoń.

W dniach buntu Prigożyna generał w Rostowie nad Donem rozmawiał z wagnerowcami, a w mediach społecznościowych zamieścił filmik, w którym namawiał zbuntowanych do złożenia broni. Potem zniknął. Można się spodziewać, że trwa wytężona praca nad zdławieniem niezadowolenia w armii – pozbycie się Surowikina może być sygnałem ostrzegawczym dla wojskowych, którzy krytykują kierownictwo resortu. Czy to zapewni władzy kontrolę nad armią? Pytanie pozostaje otwarte.

JEST JESZCZE wątek Alaksandra Łukaszenki. Według oficjalnych komunikatów był on głównym negocjatorem między zbuntowanym Prigożynem a Kremlem w czasie, gdy 23-24 czerwca wagnerowcy maszerowali na Moskwę. Białoruski uzurpator najwyraźniej chciał przy tej okazji wytargować dla siebie jakieś benefity, np. pozyskać od Putina pieniądze na utrzymanie u siebie wagnerowców albo uczynić z nich filar swojej armii. Wyeliminowanie Prigożyna z tej gry to komunikat dla Łukaszenki, by położył uszy po sobie i przestał się bawić w rozgrywającego. ©

Tekst ukończono 28 sierpnia o godz. 9.30

NATALIA KOLESNIKOVA / AFP / EAST NEWS

Papież, Węgier – dwa bratanki

EDWARD AUGUSTYN

Watykan stawia na Węgry – teraz w nich Franciszek pokłada nadzieję na zakończenie wojny w Ukrainie. Piątkowe spotkanie z prezydent Kataliną Novák (na zdjęciu), drugie w ostatnim półroczu, jest tego dowodem. Węgierska polityk przyjechała do Watykanu wprost po rozmowach z prezydentami Recepem Erdoğanem i Wołodymyrem Zełenskim.

VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

Dwa lata temu Franciszek z rezerwą podchodził do władz w Budapeszcie, uznając je za populistyczne, nacjonalistyczne, niechętne emigrantom i Europie. Spotkanie z Viktorem Orbánem, podczas pierwszej papieskiej wizyty na Węgrzech, ważyło się do ostatnich chwil. Papież ostentacyjnie podkreślał, że celem jego podróży był Kongres Eucharystyczny, a nie Węgry – krótki pobyt w tym kraju połączył z dłuższymi odwiedzinami Słowacji, co było dodatkowym afrontem.

Wszystko zmieniło się po rosyjskiej inwazji. Gdy w kwietniu 2022 r. Orbán odwiedzał Watykan, byłem świadkiem krótkiej wymiany zdań między wysokim urzędnikiem Sekretariatu Stanu a Luisem Badillą, szanowanym watykanistą i szefem opiniotwórczego portalu Sismografo, oraz Eduardem Habsburgiem-Lothringenem, ambasadorem Węgier przy Stolicy Apostolskiej. „Franciszek ma identyczne zdanie jak Orban" – mówił watykański hierarcha, który uczestniczył w rozmowie papieża z premierem.

Ta wspólnota myśli (podważanie sensu walki obronnej Ukraińców, krytyka dostaw broni i sankcji na Rosję, szukanie sposobu, by Putin mógł „wyjść z twarzą" z konfliktu), dopełniona znanym filorusyzmem Franciszka (widocznym np. w apoteozie Wielkiej Rosji, wygłoszonej w ostatni piątek do uczestników spotkania młodych w Petersburgu), sprawiły, że stosunki Watykan–Budapeszt są dziś ciepłe, jak nigdy, a Węgry wyrosły na największego wspólnika papieskich inicjatyw pokojowych. Niemała w tym zasługa wspomnianego ambasadora – umiejętnie, ale i dyskretnie lobbującego na rzecz swojego rządu w rzymskiej kurii, i wpływowych mediów. ©℗

NA PUNKTY

START
PiS nie pokazał jeszcze list wyborczych, ale wiadomo, że Jarosław Kaczyński będzie kandydował ze Świętokrzyskiego – poza Warszawą największego okręgu, gdzie dobry wynik może przynieść dodatkowe mandaty. Na wyjazd rywala ze stolicy zareagował Donald Tusk: „Żebyś nie czuł się samotny, żebyś poczuł się trochę lepiej – i robię to tylko dla ciebie, Jarosławie Kaczyński – wystawię na tej liście, na naszej liście, twojego wicepremiera Romana Giertycha na ostatnim miejscu" – zapowiedział.

LĄDOWANIE
Pierwsze komentarze wskazują jednak, że Giertych na listach PO irytuje bardziej elektorat tej partii niż Kaczyńskiego. A poseł Franciszek Sterczewski zapytał nowego kolegę, czy popiera dopuszczalność aborcji do 12. tygodnia, co – zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami Tuska – miało być warunkiem obecności na jej listach.

TURBULENCJA
Miejmy nadzieję, że ani Kaczyński z Warszawy, ani Giertych z Włoch nie będą latać na spotkania wyborcze helikopterami. Podczas niedawnego pikniku pod Ciechanowem policyjny śmigłowiec Black Hawk zahaczył o linię energetyczną, wywołując panikę wśród publiczności. ©℗

Klub państw zaangażowanych

WOJCIECH JAGIELSKI

Przywódcy BRICS – organizacji grupującej Brazylię, Rosję, Indie, Chiny i Republikę Południowej Afryki – postanowili na szczycie w Johannesburgu, że od stycznia 2024 r. wstęp do ich elitarnego dotąd towarzystwa będą miały także: Iran, Egipt, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie (to ukłon wobec krajów Bliskiego Wschodu), Etiopia i Argentyna. To pierwsze rozszerzenie organizacji od 2010 r., gdy Chiny doprosiły RPA, a BRIC zmienił nazwę na BRICS. „Wymyślili" ją ekonomiści z banku Goldman Sachs, którzy w 2001 r. pisząc o krajach, które – poza Zachodem – będą miały największy wpływ na stan rzeczy w świecie, wskazali alfabetycznie właśnie Brazylię, Rosję, Indie i Chiny.

Szóstka nowych członków może uważać się za wybrańców, bo o przyjęcie do klubu prosiły trzy tuziny państw, w tym Indonezja, Nigeria, Algieria, Kongo, Gabon czy Kazachstan. Rozszerzenie organizacji cieszy Chiny i Rosję, które przedstawiają BRICS jako alternatywę wobec Zachodu. Ale Indie, Brazylia i RPA, a także nowo przyjęci członkowie (z wyjątkiem Iranu) nie chcą wojny z Zachodem – a jedynie nie musieć wybierać między nim a jego wrogami.

W czasach zimnej wojny walczył o to Ruch Państw Niezaangażowanych, który pod przewodem Indii, Indonezji, Jugosławii, Ghany i Egiptu głosił, że sam będzie wybierać sobie przyjaciół i nie da się wciągnąć w cudze awantury. BRICS chętnie odwołuje się do tamtej idei. Mówi, że jest głosem globalnego, ubogiego Południa. Nie szuka jednak „trzeciej drogi", lecz pod wodzą najsilniejszych – Chin i Rosji – pragnie sprzeciwić się Zachodowi i położyć kres jego dominacji. O tym, jak wielu w świecie te zachodnie porządki pragnęłoby zmienić, świadczą liczba i różnorodność ubiegających się o przyjęcie do BRICS. ©℗

Dialog bez stron

JACEK TARAN

Od początku wojny z Ukrainy wyjechało ponad 7 milionów osób, około 100 tysięcy z nich to Romowie. Fundacja W Stronę Dialogu opracowała raport, z którego wyłania się ponury obraz dyskryminacji tej grupy w Polsce. Badania prowadzono w województwie podkarpackim, głównie w Przemyślu, gdzie stosunek do Romów spowodował utrudniony dostęp do pomocy humanitarnej.

Problem zaczyna się już na etapie retoryki – jeden z przedstawicieli Urzędu Miejskiego w Przemyślu o społeczności romskiej mówił: „Przyjeżdżają po zasiłek, nic więcej. To nie są uchodźcy, to są podróżnicy zarobkowi".

Romowie stali się obiektem drwin i agresywnych komentarzy. W opinii badaczy taki charakter wypowiedzi przekracza ramy debaty publicznej. Retoryka ta jest również powielana przez organizacje pomocowe i wolontariuszy, co ma znaczący wpływ na jakość świadczonej pomocy.

Joanna Talewicz, prezeska fundacji, mówi „Tygodnikowi": – Ten raport idzie pod prąd narracji władz mówiącej, że wszystko jest w porządku. Romowie, którzy przyjechali z Ukrainy, to w większości osoby już wcześniej żyjące w biedzie i wykluczeniu, to są najsłabsi z najsłabszych.

Talewicz skarży się też na brak dialogu z władzami centralnymi i zaznacza, że jedynie kontakty z władzami Warszawy wyglądają nieco lepiej. – Przemyśl to mikroobrazek tego, co w skali makro możemy obserwować w całym kraju – mówi. – Jest ogromny problem z brakiem mieszkań, z edukacją. Nie ma pomysłu, co zrobić z dziećmi, które mają opóźnienia lub które nie chodziły do szkoły.

Nauczyciele nie mają środków, by równocześnie zajmować się dziećmi polskimi i romskimi, są z tym problemem zostawieni sami sobie.

Raport podsuwa niektóre rozwiązania, np. wskazuje, jak koordynować zakwaterowanie i pomoc w aktywizacji zawodowej Romów. Jednak władze nie mają pomysłu, jak rozwiązać najpoważniejsze problemy, co gorsza – nikt tego pomysłu nie szuka. Chyba że za taki pomysł uznać osadzenie Romów na peryferiach miast, z dala od oczu i powszechnie dostępnych usług publicznych. To jednak nie sprzyja rozwiązaniu narastających problemów, a utrudniony dostęp romskich dzieci do edukacji skutkować może nowymi. Od piętnujących słów do czynów powodowanych nienawiścią droga bywa krótka. ©℗

Legionella będzie wracać

MAŁGORZATA SOLECKA

Pierwsze zakażenia legionellą wystąpiły na Podkarpaciu pod koniec lipca, ale miesiąc później źródło infekcji wciąż było nieustalone. Być może przełomem okażą się wyniki badań wody z wodociągów i ujęć w gospodarstwach osób zakażonych – nie zmieni to jednak faktu, że tempo dochodzenia epidemiologicznego trudno uznać za sukces, skoro pod koniec sierpnia źródło zakażenia pozostawało aktywne. Świadczą o tym kolejni pacjenci zgłaszający się do szpitali, a zapewne również poradni POZ czy nocnej pomocy lekarskiej, z dolegliwościami mniej poważnymi, aczkolwiek dokuczliwymi (objawy grypopodobne, biegunka).

Eksperci mówią znów: „Testy!". Podobnie jak w przypadku covidu (z tą różnicą, że bakteria legionelli nie przenosi się między ludźmi), również tutaj newralgiczny okazuje się etap rozpoznania – jeśli nie mamy wiedzy na temat zakażonych, dużo trudniej ustalić jest źródło choroby. O zapewnienie dostępności do testów antygenowych wszystkim placówkom, w których chorzy mogą szukać pomocy, zaapelował do minister zdrowia Katarzyny Sójki dr Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej.

Zakażenia legionellą 27 sierpnia odnotowano już w trzech województwach. Łączna liczba chorych to 143, z czego 141 przypadków stanowią mieszkańcy Podkarpacia (głównie Rzeszowa i powiatu rzeszowskiego). Zakażony został jeden mieszkaniec województwa lubelskiego (który wcześniej przebywał na Podkarpaciu), a w niedzielę wieczorem służby wojewody małopolskiego poinformowały o pierwszym przypadku w Małopolsce; chorą jest mieszkanka jednego z ośrodków dla seniorów, która w stanie ciężkim trafiła do szpitala. Osiem ofiar śmiertelnych pokazuje, że sytuacji nie można lekceważyć, nawet jeśli wiemy, że ogniska wygasną.

Niestety, legionella będzie się cyklicznie pojawiać, czemu sprzyjać mogą zmiany klimatu, skutkujące długotrwałymi upałami – te w południowo-wschodniej Polsce utrzymywały się przez ostatnich kilka tygodni. Bakterie legionelli występują w słodkiej wodzie w sposób naturalny, bez szkody dla ludzi. Problem zaczyna się, gdy gwałtownie się namnażają, a do tego dochodzi m.in. przy utrzymującej się stale odpowiedniej temperaturze wody (powyżej 35 stopni, optymalne warunki to 40-60 stopni). Źródłem problemu mogą być też systemy klimatyzacji. Musimy się nauczyć myśleć o nowych zagrożeniach, które zostaną z nami jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo. ©

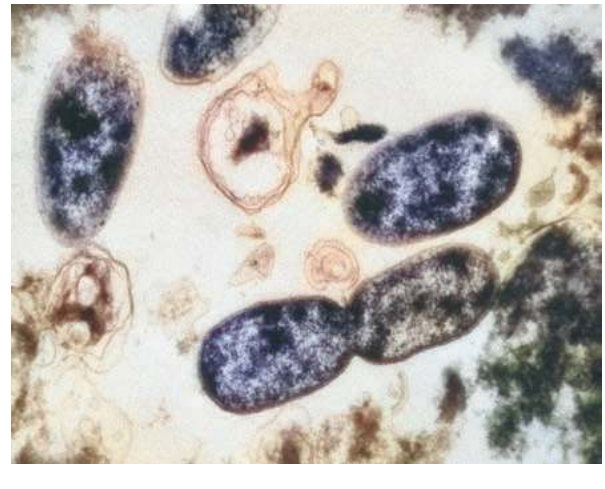

Pałeczki Legionella pneumophilia pod mikroskopem. Bakteria dostaje się do dróg oddechowych człowieka wraz z unoszącymi się w powietrzu kropelkami wody.

MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSITY OF MINNESOTA

NOAH BERGER / MATERIAŁY PRASOWE UCSF

Interfejsy mózg–komputer pozwalają na komunikację takim pacjentom jak Ann, która 18 lat temu doznała udaru pnia mózgu.

Cyfrowa proteza języka

MEDYCYNA ▪ W ostatnich latach różnym zespołom badawczym udało się pokazać, że można nauczyć sztuczną inteligencję rekonstruowania obrazów, które oglądają uczestnicy badań, wyłącznie na podstawie analizy wzorców aktywności ich mózgu. Rekonstrukcje nie mają jeszcze wysokiej rozdzielczości, ale nie ma wątpliwości, że algorytmy coraz lepiej czytają nasze myśli.

Najnowszym osiągnięciem jest wygenerowanie przez sztuczną inteligencję fragmentu klasycznego utworu „Another Brick in the Wall" zespołu Pink Floyd wyłącznie na podstawie aktywności mózgu uczestników badania. W eksperymencie piosenki tej słuchali pacjenci z lekooporną epilepsją, którym ze względów medycznych na powierzchni mózgu podłączono sieć miniaturowych elektrod. Wyniki badania przedstawili w połowie sierpnia w „PLOS Biology" Ludovic Bellier z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i współpracownicy. Zrekonstruowany dźwięk nie był czysty, ale słowa dało się zrozumieć, a rytm utworu został zachowany.

Tego rodzaju badania są kluczowe dla rozwoju technologii interfejsów mózg–komputer przeznaczonych dla osób po urazach mózgu, które utraciły jakieś funkcje poznawcze. W najnowszym wydaniu „Nature" ukazały się raporty dwóch zespołów badawczych współpracujących z pacjentami zmagającymi się m.in. z utratą mowy. Zespół Francisa Willetta z Uniwersytetu Stanforda pracował z Pat Bennett – 67-latką cierpiącą na stwardnienie zanikowe boczne – chorobę polegającą na stopniowym obumieraniu neuronów ruchowych i objawiającą się utratą kontroli nad mięśniami. Z kolei zespół Edwarda Changa z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco pracował z Ann, 47-latką, która przed 18 laty przeszła udar pnia mózgu.

Obu pacjentkom badacze wszczepili do mózgu urządzenia, które rejestrowały aktywność ich komórek nerwowych, gdy Ann i Pat próbowały coś powiedzieć. Pat Bennett posługiwała się finalnie rozległym słownikiem zawierającym ok. 125 tys. wyrazów, Ann formułowała zdania z około tysiąca słów. Algorytmy AI wytrenowano tak, by rozpoznawały w czasie rzeczywistym, jaki wzorzec aktywności mózgu odpowiada intencjom wypowiedzenia przez pacjentki określonego słowa. Na tej podstawie syntezator mowy generował słowa.

System pozwalał na skuteczną komunikację – w pierwszym przypadku w tempie 62 słów na minutę, w drugim 78 – z poprawnością ok. 75 proc. (co czwarte słowo interpretowane było błędnie). Nie jest to jeszcze tempo typowej konwersacji, wynoszące ok. 160 słów na minutę, ale stanowi poważny krok w tę stronę – poprzednia, opisana w 2021 r. wersja systemu opracowanego przez zespół Willetta działała około trzykrotnie wolniej i była bardziej podatna na błędy. Choć autorzy badań zastrzegają, że do komercyjnej wersji urządzenia, przeznaczonej dla różnych pacjentów, wciąż daleko.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Reżim Ortegi delegalizuje zakon jezuitów

KOŚCIÓŁ W NIKARAGUI. ▪ W ubiegłą środę Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Nikaragui zdelegalizowało działalność zakonu jezuitów. Socjalistyczny prezydent kraju Daniel Ortega twierdzi, że Towarzystwo Jezusowe złamało prawo, nie składając sprawozdań finansowych za 2021 i 2022 r. Cały majątek jezuitów, łącznie z nieruchomościami będącymi własnością Towarzystwa Jezusowego, zostanie skonfiskowany.

Tydzień wcześniej Ortega oskarżył jezuicki Uniwersytet Środkowoamerykański (na zdjęciu) o terroryzm, zarzucając władzom uczelni zdradę stanu i łamanie konstytucji. Uniwersytet od lat był uważany za jeden z głównych ośrodków opozycji, udzielał wsparcia manifestantom w czasie masowych protestów w 2018 r., gdy Nikaraguańczycy domagali się zmiany rządu. Dwa tygodnie temu Krajowa Rada Uniwersytetów w Nikaragui cofnęła władzom uniwersyteckim pozwolenie na prowadzenie działalności oraz zmieniła nazwę instytucji na Uniwersytet Narodowy im. Casimira Sotela. Ortega zapowiedział, że począwszy od 25 września uniwersytet będzie publiczny, a naukę na nim będą mogli podjąć wyłącznie obywatele o niskich dochodach. W przeciągu ostatnich dwóch i pół roku rząd zamknął 27 prywatnych uniwersytetów.

STRINGER / AFP / EAST NEWS

Towarzystwo Jezusowe wydało oświadczenie, w którym uznało decyzję reżimu za nieuzasadnioną i zwróciło się do rządu o zaprzestanie represji oraz poszanowanie wolności i niezależności jezuitów. To kolejny cios Daniela Ortegi wymierzony przeciwko Kościołowi katolickiemu, który w Nikaragui jest bastionem opozycji. Uniwersytet Środkowoamerykański, otwarty w 1960 r., był pierwszą prywatną uczelnią w Ameryce Środkowej. © DOMA MATEJKO

Ekwadorczycy przeciwni ropie z Amazonii

ŚRODOWISKO NATURALNE ▪ Do historii przejdzie referendum, które 20 sierpnia odbyło się w Ekwadorze razem z wyborami prezydenckimi. 59 proc. uczestników zagłosowało przeciw odwiertom w amazońskim Parku Narodowym Yasuni. Wynik zobowiązuje władze do porzucenia projektu wydobycia znanego jako Ishpingo-Tambococha-Tiputini (ITT) albo po prostu: Pole Naftowe 43.

Yasuni to jeden z najbogatszych ekosystemów na świecie. Na jednym hektarze tej ziemi żyje często więcej gatunków drzew niż w całej Ameryce Północnej i tysiące gatunków zwierząt, często niespotykanych nigdzie indziej. Park narodowy jest też domem dla społeczności Tagaeri i Taromenane, jednych z ostatnich ludzi, którzy wybrali życie w izolacji od świata. W kampanię przed referendum zaangażowali się nie tylko przyrodnicy, ale też przedstawiciele wielu rdzennych ludów Ekwadoru.

MARTIN BERNETTI / AFP / EAST NEWS

Członkowie rdzennej wspólnoty Waorani agitują za głosowaniem na „tak" w referendum nt. zaprzestania wydobycia ropy naftowej w Parku Narodowym Yasuni, Ekwador, sierpień 2023 r.

Ekwadorczycy uznali petrodolary, od których mocno zależy budżet ich kraju, za mniejszą wartość niż amazońska dżungla. Walka o jej los trwa od ponad dekady. W 2007 r. ówczesny prezydent Rafael Correa oświadczył światu, że Ekwador zostawi dżunglę w spokoju, jeśli zrzuci się na to społeczność międzynarodowa. Poprosił o, bagatela, 3,6 mld dolarów, czyli połowę wartości złóż ukrytych w Yasuni. Niezależnie od tego, czy była to przemyślana propozycja czy polityczna demonstracja, pomysł upadł, bo do 2013 r. bogatsze państwa wpłaciły zaledwie 3 proc. tej kwoty. W 2016 r. na 2 tys. hektarów dżungli ruszyło wydobycie i eksport ropy, głównie do Stanów Zjednoczonych. Po referendum firmy wydobywcze, w tym państwowy koncern Petroecuador, będą musiały w ciągu roku spakować manatki i zrekompensować szkody już wyrządzone przyrodzie.

Przyroda i dobro rdzennych ludów kontra szybkie zyski z ropy i złota to główna oś sporu politycznego w ubogim Ekwadorze. Odchodzący prezydent Guillermo Lasso chciał nie tyle utrzymać, co zwiększyć wydobycie. O tym, kto go zastąpi, zdecyduje druga tura wyborów 15 października, ale w kwestii ochrony ekosystemów Ekwadorczycy już się wypowiedzieli. W drugim pytaniu referendalnym przegłosowali też zakaz wydobycia złota w Chocó Andino blisko stołecznego Quito. W Yasuni pod ziemią na zawsze ma pozostać 726 mln baryłek ropy. Tyle, ile spalamy na całym świecie w 8 dni. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Nie dla każdego energetyk

ZDROWIE PUBLICZNE ▪ Zakaz sprzedaży napojów energetycznych osobom poniżej 18. roku życia wprowadzają przepisy podpisane przez prezydenta. Puszki z energetykami mają też zniknąć z automatów umieszczonych m.in. w szkołach. Chodzi o produkty zawierające kofeinę w ilości większej niż 150 mg/l lub taurynę, co dotyczy wielu popularnych energetyków.

Wprowadzenie ograniczeń postulowali zgodnie od kilku lat posłowie obozu władzy i opozycji, a także Rzecznik Praw Dziecka – lista zagrożeń zdrowotnych jest bowiem długa. Chodzi przede wszystkim o objawy przedawkowania kofeiny, o co w przypadku dziecka nietrudno: mała puszka energetyka zawiera jej ok. 80 mg, a spożycie kofeiny nie powinno przekraczać 2,5 mg na kilogram masy ciała dziennie. Nadmiar zaś wywołuje efekty toksyczne: m.in. kołatanie serca, ból w klatce piersiowej, ból głowy i brzucha, podrażnienie jelit, płytki oddech, zawroty głowy. Pogarsza się jakość snu, pojawia się rozdrażnienie i uczucie niepokoju. Negatywne skutki mogą być podbijane przez inne składniki, jak tauryna, ekstrakt z miłorzębu japońskiego czy korzeń żeń-szenia. Szkodzi też cukier, którego w energetykach jest bardzo dużo.

W 2022 r. Polacy kupili 800 mln puszek energetyków. Według danych Ministerstwa Zdrowia (opartych jednak na badaniach z 2015 r.) energetyki spożywa 67 proc. polskiej młodzieży w wieku 12-20 lat, a 16 proc. sięga po nie nawet codziennie. Nowszy raport brytyjskiego „BMJ" z 2022 r. wykazał, że jedno na troje dzieci w Wielkiej Brytanii pije energetyki przynajmniej raz w tygodniu. Polskie przepisy, które wejdą w życie od 2024 r., będą należały do bardzo restrykcyjnych. Dotychczas zakaz sprzedaży tych napojów nieletnim wprowadziły Litwa i Łotwa, ograniczenia istnieją w Korei Płd., w niektórych stanach USA oraz w Finlandii. Na zaostrzenie prawa – mimo długiej debaty publicznej – nie zdecydowała się Wielka Brytania, ale sprzedaż ograniczyły tam dobrowolnie niektóre sieci supermarketów.

©℗ MACIEJ MÜLLER

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

NIE ZGADZAJMY SIĘ

Zamknięcie na dyskusję z ludźmi o odmiennych poglądach ma opłakane konsekwencje intelektualne, moralne i polityczne. Otwarta wymiana myśli jest niezbędna, żeby zrozumieć, dlaczego „tamci" są wciąż popularni.

DARIUSZ ROSIAK

Brałem niedawno udział w publicznej debacie na temat migracji z udziałem znakomitych partnerów, których poglądów wcześniej nie znałem. Rozmowa była wielowątkowa – współuczestniczka debaty mówiła o dyskryminacji romskich uchodźców wojennych na granicy polsko-ukraińskiej, pojawiły się też tematy migracji wewnętrznej w Chinach, uchodźców klimatycznych, niedawnych zamieszek we Francji, kuriozalnych pomysłów rządu brytyjskiego na uszczelnienie granic, reakcji Polski, Litwy i Łotwy na sterowany przez Putina i Łukaszenkę napływ migrantów przez granicę z Białorusią oraz kilka innych tematów.

Bez dyskusji

Na zakończenie rozmowy wyraziłem opinię, że jedynym krajem, w którym współcześnie rozumianą masową migrację można uznać za eksperyment udany, są Stany Zjednoczone, co wynika zapewne z jasnych reguł, na jakich każdy kandydat na Amerykanina może się osiedlić w tym kraju, czego nie można powiedzieć o zasadach migracji do krajów europejskich. Nie wiem, czy mam rację, może tak, może nie. Zauważyłem również, że aczkolwiek Zachód ma wiele na sumieniu, jeśli chodzi o stosunek do Afryki, niektórych państw Azji czy Bliskiego Wschodu, to w ostatnich dekadach poziom tolerancji, akceptacji i wrażliwości na los ludzi spoza naszego kręgu geograficznego i cywilizacyjnego wzrósł niepomiernie, z czego powinniśmy być dumni. Choćby tego rodzaju krytyczna debata, w której właśnie uczestniczyliśmy, mogłaby się odbyć w Polsce, USA, Wielkiej Brytanii i w innym każdym kraju, gdzie panuje wolność słowa i zgromadzeń, ale jest niewyobrażalna w Chinach, Rosji, Iranie, Etiopii, Arabii Saudyjskiej i wielu innych krajach, w których – nawiasem mówiąc – żyje znacząca większość światowej populacji. Mamy ogromne szczęście – mówiłem – że mieszkamy w świecie, w którym ludzie o odmiennych poglądach prowadzą dialog, a nie mordują się nawzajem, co – przypomniałem – nie tak dawno było regułą również w Europie.

Po zakończeniu panelu jedna ze słuchaczek wyraziła zdumienie moją pochwałą USA, które powstały na fundamencie „ludobójstwa"; Unii Europejskiej, która przy pomocy agencji Frontex dokonuje ludobójstwa, „topiąc ludzi w Morzu Śródziemnym", oraz Polski, która „dokonuje ludobójstwa na granicy białoruskiej". Ostro zaprotestowała przeciwko mojemu podziwowi dla Ameryki i podkreślaniu osiągnięć Zachodu, takich jak tolerancja i szacunek dla odmienności, który w podobnym stopniu jak w naszej kulturze nie istnieje nigdzie indziej.

Nie jestem specjalnie przewrażliwiony na głosy krytyki, ciągle je słyszę i jakoś żyję. Każda osoba występująca publicznie wystawia się przecież na ocenę innych. Żałowałem tylko, że karykaturalność oceny roli USA, Unii Europejskiej czy Polski uniemożliwiła nam dalszą rozmowę. Akurat w przypadku migracji, historii USA oraz działań Unii Europejskiej – warto się spierać i poddawać krytyce każdy głos, zwłaszcza te najgłośniejsze i najbardziej wyraziste, czyli bogate w emocje i wątłe w konkretne treści.

Farbowany lis

John Stuart Mill bronił w XIX wieku wolności słowa, podając dwa powody praktyczne. Po pierwsze, opinia sprzeczna z moją może być prawdziwa w całości lub w części. Zatem powinienem jej wysłuchać po to, by zmienić lub skorygować swój pogląd. Ale nawet jeśli opinia mojego rozmówcy jest całkowicie błędna, to i tak warto jej wysłuchać, bo prawda w konfrontacji z fałszem zyskuje większą jasność i odporność. Przypominają mi się przy tej okazji słowa ks. Józefa Tischnera o tym, że nieznane są przypadki utraty wiary w Boga po przeczytaniu „Kapitału", częste za to po spotkaniu z księdzem. Tischner uznawał najwyraźniej, że to relacja z drugim człowiekiem, a nie ideologia,

↦

↦ w decydujący sposób wpływa na nasze wybory. Nie da się zarazić ateizmem, można go jednak nabyć w efekcie doświadczenia.

Dziś, gdy prawie nikt nie czyta „Kapitału" ani Milla, słowa Tischnera wydają się szalenie staroświeckie i prawdopodobnie dla wielu ludzi biorących udział w tym, co nazywa się w Polsce debatą publiczną, nie do końca zrozumiałe. Toczy się ona w mediach społecznościowych, gdzie nawet jeśli okazałbym się na to podatny, bardzo trudno byłoby mi zarazić się opinią, z którą się nie zgadzam, bo algorytm podsuwa wyłącznie takie, z którymi się zgadzam.

Zamknięci w ideologicznych i estetycznych fortecach uznajemy siebie i znajomych za dobrych i pięknych, a ludzi spoza naszej bańki za złych i brzydkich.

Nawet, a może zwłaszcza, jeśli przedmiot sporu dotyka garstki ludzi – tak jak ostatni mikroskandal wokół udziału tzw. symetrystów w debacie na Campus Polska – potrafimy wywindować jego rangę do granic śmieszności wyłącznie po to, by dać wyraz swoim uprzedzeniom i pogrążyć przeciwnika, którym zwykle zresztą nie jest wyraziciel poglądów, z którymi nie zgadzamy się fundamentalnie, ale tzw. farbowany lis, co to teoretycznie powinien być nasz, ale podważa wspólną linię i zakłóca przekaz wątpliwościami i niuansami. Taki, co nie rozumie, że dzisiejsza sytuacja wymaga jasnych i jednoznacznych działań, a nie szukania dziury w całym. Zbliżają się wybory, nie czas na eksperymenty z udziałem pięknoduchów. Dziś każde zdanie wypowiedziane publicznie to manifest nie tylko polityczno-ideowy, ale konkretno-partyjny. O tym, czy jesteś od nas, czy od nich, decydują ci, którzy krzyczą najgłośniej, którzy rozumieją, że polityka dziś polega na zdławieniu przeciwnika wszelkimi sposobami.

Mglisty dyskomfort

Poza toporną redukcją człowieka do funkcji trybiku w politycznej ubojni jest w tym incydencie jeszcze jeden ważny przekaz. W deklaracji odwołującej „panel symetrystów" Fundacja Campus Polska powołuje się na sygnały od osób, które wyrażały „niezadowolenie i poczucie dyskomfortu związane z wypowiedziami publicznymi" jednego z zaproszonych panelistów.

Żyjemy w czasach, gdy indywidualne poczucie dyskomfortu może stać się kryterium doboru gości do debaty publicznej. Organizatorom nie chodzi o zorganizowanie interesującej i inspirującej dyskusji, w każdym razie nie chodzi im o to w pierwszej kolejności. Ważniejsze jest zapewnienie uczestnikom debaty dobrego samopoczucia, czego warunkiem jest usunięcie zagrożenia ze strony uczestników, których słowa i zachowania trudno przewidzieć. Niektóre z nich mogą być dla pewnych osób trudne do przyjęcia, a nawet, o zgrozo, obraźliwe. Zatem celem debaty nie ma być wymiana wolnej myśli, ale wymiana takiej wolnej myśli, która nie powoduje dyskomfortu u słuchaczy.

Dyskomfort jest pojęciem mglistym jak symetryzm, każdy rozumie go inaczej, każda mikroagresja może powodować mikrouraz, który w okamgnieniu może stać się urazem makro. Zamiast wymiany poglądów w przestrzeni publicznej mamy zatem wymianę oskarżeń i roszczeń, które w istocie stają się negocjowaniem przez różne grupy wpływów i władzy. Czyli *de facto* polityką, w której zasadniczym elementem jest szantaż moralny i emocjonalny.

Do Polski dotarło już szeroko rozwinięte w krajach zachodnich przekonanie, że dorośli ludzie wymagają specjalnej troski ze strony instytucji i grup powołanych (zwykle przez siebie samych) do ich obrony, bo samodzielnie nie poradzą sobie z trudnym zadaniem zmierzenia się z „dyskomfortowymi" komentarzami albo oburzającymi poglądami politycznymi. Nie zdołają np. wyjść z imprezy, której przebieg ich obraża.

Mądrość etapu

Jest w tym podejściu przekonanie, że większość ludzi jest niezdolna do podejmowania decyzji w sposób sprawczy, ale zarazem mnóstwo tchórzostwa i hipokryzji ze strony owych obronnych instytucji czy autorytetów. Uginają się one pod presją przeciwników otwartej wymiany myśli i obrońców czystości przekazu, czym zaprzeczają swoim własnym ideałom. „Campus Polska Przyszłości od pierwszej edycji łączy, nie dzieli. To przestrzeń do otwartej debaty i dialogu, której w Polsce naprawdę brakuje" – napisali autorzy oświadczenia, po czym sami dowiedli, że u nich tak naprawdę takiej debaty zabraknie.

We współczesnym świecie wszystko, co robimy, jest polityką, a my jesteśmy funkcją naszych poglądów. Co ważniejsze, jeśli chcesz brać udział w debacie, musisz mieć zdanie na każdy temat – milczenie, np. z powodu braku wiedzy albo nieustabilizowanych poglądów w danej sprawie, nie wchodzi w grę. Chcesz się liczyć – musisz mówić: głośno, jednoznacznie i bez wątpliwości. Również w Polsce coraz więcej dziedzin życia staje się frontem wojny kulturowej, która jest niczym innym jak bitwą o monopol na prawdę.

Jedno nieuważne zdanie może cię kosztować utratę wiarygodności, jedno odstępstwo od dogmatów, których treść zresztą kształtuje się na bieżąco wraz z postępem frontu – może zmienić twój wizerunek w oczach twoich czytelników czy słuchaczy. Wczoraj byłeś przeciw Agrounii, bo to rosyjska onuca, dziś przestała nią być, bo nasz lider kierowany swoją dalekowzrocznością tak orzekł. A zatem Agrounia jest nasza. Roman Giertych nie tak dawno był skrajnym nacjonalistą i najgorszym ministrem edukacji w historii, potem został antypisowskim wolnościowcem i adwokatem opozycji, dziś nie nadaje się do Senatu. Czyli dobry jest czy niedobry? Wszystko sprowadza się do mądrości etapu.

Ziarno ciekawości

W tej plątaninie głosów i znaczeń gotowość do dyskusji z ludźmi o odmiennych poglądach, podobnie jak większość innych działań publicznych – staje się wyborem politycznym. Tymczasem rozmowa z innymi ma sens sam w sobie i to większy niż wzajemne potakiwanie. Ludzie, z którymi się nie zgadzam, są mniej przewidy-

walni, ciekawsi, są jak wypustki mojego mózgu w nowe rejony; jak piosenki, których jeszcze nie słyszałem. Kontakt z nimi czyni mnie uważniejszym i mądrzejszym. Bez kontaktu z nimi gnuśnieję w intelektualnym letargu, który niektórzy nazywają ideową niezłomnością.

Otwarcie na dyskusję nie wymaga wyrzekania się własnych poglądów, ani nie oznacza ich braku. Rozmowa z drugim człowiekiem nie musi się kończyć i zwykle nie kończy się przekonaniem jednej strony do racji drugiej. Wystarczy, że zasieje w nas ziarno ciekawości, a może zdziwienia wobec komplikacji ludzkiej natury, różnorodności motywacji i wielości możliwych interpretacji tego samego wydarzenia.

Pokusa oddania pola sfrustrowanym, czyli tym, którzy nadają ton w mediach społecznościowych, jest silna, ale nie warto rezygnować.

MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP"

No dobrze, nie zawsze. Jak wiemy z codziennej praktyki, istnieją ludzie po prostu głupi, z którymi rozmowa o nic nie wzbogaca ani nic nie otwiera. Dobrze wyszkolony przeciwnik ściąga cię do swojego poziomu, a następnie pokonuje doświadczeniem. Jesteś bezradny i zaczynasz podważać sens wymiany myśli z innymi. Jak pisał Wojciech Młynarski w odzie do inteligencji:

Polityków paru trochę znam
A bez Ciebie i trzech zdań nie skleję
A gdy z nimi się w dyskusję wdam
Oni nie zmądrzeją ja zgłupieję.

Wygrana głupoty

Pokusa wycofania się i oddania pola sfrustrowanym, czyli tym, którzy nadają ton debacie w mediach społecznościowych, staje się z czasem coraz silniejsza, ale nie warto rezygnować.

Otwarte podejście do dialogu z natury wyklucza uciszanie ludzi, którzy myślą inaczej. Jeśli więc ludzie myślący inaczej niż ja czynią mnie bogatszym duchowo, to ci, którzy próbują uciszyć swoich krytyków – sami siebie czynią głupszymi. Mimo to właśnie uciszanie inaczej myślących staje się dziś coraz bardziej popularne i to – jak pokazują sondaże również w Polsce – zwłaszcza w środowiskach liberałów, którzy chętnie powołują się na Milla i Woltera.

Aby natrafić na pogląd sprzeczny z moim, muszę się postarać. Czyli wykonać pracę, która w kategoriach praktycznych nie ma sensu, wręcz przeciwnie – prowadzi wyłącznie do komplikacji. Jeśli jakimś cudem znalazłem opinię, z którą się wcześniej nie zgadzałem, ale zmieniłem zdanie i uznałem ją za swoją choćby w części, zostanę potraktowany przez moich dotychczasowych kolegów jak zdrajca, zostanę wyrzucony poza nawias ludzi wiarygodnych, czyli w warunkach polskiej cywilizowanej debaty (tj. toczonej przez przeciwników PiS-u) uznany za pisiora i symetrystę. Myślenie samodzielne jest szkodliwe dla twojej kariery, jeśli za kryterium kariery uznajemy popularność w mediach społecznościowych i częstotliwość występów na festiwalach oraz konferencjach reklamowanych jako ponadpartyjne, choć w istocie będących kwintesencją upartyjnienia życia publicznego w Polsce.

To nie działa

Ale może świat poza polityką rzeczywiście nie istnieje? Od ośmiu lat rządząca w Polsce partia rozbija demokratyczne instytucje, szczuje na ludzi w mediach publicznych, lekceważy normy prawa i zasady przyzwoitości, słowem: niszczy wiele dziedzin życia w Polsce, które dotykają każdego z nas. Czy z tych faktów nie wynika, że dywagacje na temat wolności słowa stają się bezprzedmiotowe i powinny ustąpić wobec politycznej konieczności, jaką jest odsunięcie PiS-u od władzy?

Nie wynika. Wręcz przeciwnie, otwarta wymiana myśli w mediach i innych miejscach, które nie zostały przejęte przez władzę, jest niezbędna, jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego partie takie jak PiS czy Konfederacja są popularne i dlaczego ich działania oraz poglądy u jednych wzbudzają odrazę, a u innych podziw.

Popularność partii i polityków zwanych pogardliwie populistycznymi jest zjawiskiem powszechnym w demokracjach od Europy przez USA do Ameryki Południowej. Metody obrzydzania ich wyborcom, czy ośmieszania, nie działają, a w zasadzie działają na korzyść obrzydzanych i ośmieszonych – wyborcy przyjmują ataki na populistów jako zemstę systemu na odważnych ludziach, którzy ośmielili się podważyć jego fundamenty. Donald Trump jest najbardziej spektakularnym, choć nie jedynym przykładem takiego stanu rzeczy.

Bez wniknięcia w przyczyny zjawisk nie da się dokonać zmiany, również zmiany politycznej, bo zmiana taka w systemie demokratycznym następuje przez przekonanie ludzi do swoich racji. Jedynym sposobem rozumienia zachowań ludzkich jest ich badanie i otwarta rozmowa na ich temat. Taka rozmowa wymaga konfrontowania własnych uprzedzeń, zainteresowania motywacjami innych ludzi i odrzucenia prób ograniczania wolności słowa zwłaszcza dla tych, z których poglądami nie zgadzamy się.

Inaczej po wygranych wyborach będziemy mieli to samo co teraz, tylko w innych dekoracjach.

© DARIUSZ ROSIAK

▪ O symetryzmie czytaj też felieton Tomasza Stawiszyńskiego na s. 29

TYGODNIK POWSZECHNY

„Oddech dla duszy”
najnowsza książka
ks. Adama Bonieckiego

W świecie pełnym ekspertów
brakuje autorytetów.
A także uważności spojrzenia,
dojrzałego optymizmu i spokoju.

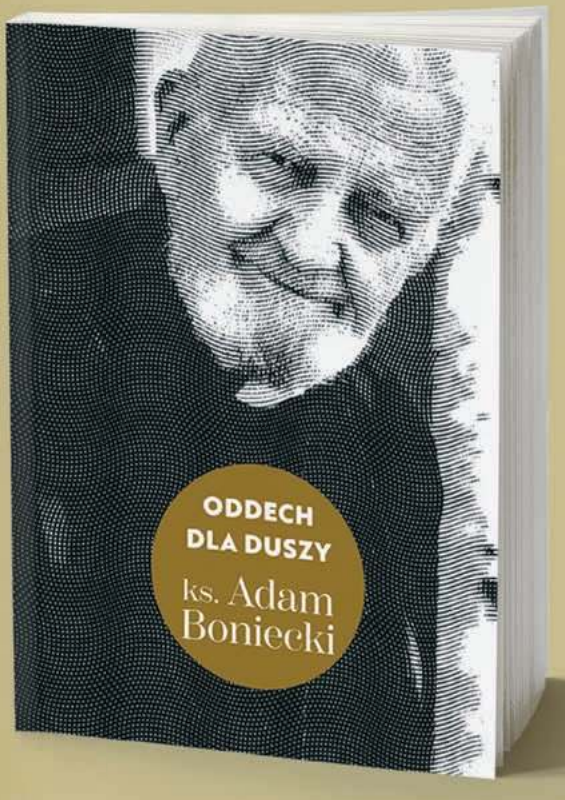

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już w księgarniach i na vivelo.pl

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

POLIN

Muzeum Historii Żydów Polskich

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

Wystawa w ramach programu „Nie bądź obojętny. 80. rocznica powstania w getcie warszawskim"

WYSTAWA CZASOWA

WOKÓŁ NAS MORZE OGNIA

Losy żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim

polin.pl

18.04.2023-08.01.2024

ORGANIZATOR

WSPÓŁORGANIZATORZY

PATRON HONOROWY

WYSTAWA POWSTAŁA DZIĘKI WSPARCIU

Jankilevitsch Foundation

Przy wsparciu Conference on Jewish Material Claims Against Germany | Sponsorowane przez Fundację „Pamięć. Odpowiedzialność i Przyszłość" | Wspierane przez Federalne Ministerstwo Finansów Niemiec

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

THE DAVID BERG FOUNDATION

Fundacja Kronenberga citi handlowy

HEINRICH BÖLL STIFTUNG WARSZAWA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

Program działań antysemickich finansowany jest przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY

Niemiecki Komitet Wspierania Muzeum POLIN

PARTNERZY MEDIALNI

REKLAMA

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zapobiegliwość

Na letnisku wystarczy mi zrobić parę kroków w kierunku innym niż połyskujący srebrzystą taflą zalew, bym ujrzała potrójną ilustrację wersu z przypadającej na ten tydzień porcji Tory. Taki obrazek: na posesji skrzy się nowym sidingiem rezydencja z gołymi płytami balkonowymi. Na ganku puszcza dymka zażywny jegomość. Ku – całe szczęście! – zamkniętej bramie biegnie mi na spotkanie szczerzący zęby bulterier. Cóż mają ze sobą wspólnego te trzy fragmenty mojego wakacyjnego obrazka?

Pismo poucza: „Gdy zbudujesz dom nowy, zrobisz poręcz wokoło dachu twojego – abyś nie sprowadził krwi na dom twój, gdyby kto spadł z niego" (Pwt 22, 8; Cylkow). Na Bliskim Wschodzie wiele domów ma nadal płaskie dachy, na których po skwarnym dniu miło posiedzieć w wieczornym chłodzie. Niejednokrotnie suszy się tam pranie oraz konserwowane w ten sposób płody rolne, np. daktyle, figi. W każdym razie na taki dach ludzie wchodzą często i balustrada chroni ich przed niezamierzonym upadkiem z wysokości.

W naszej szerokości geograficznej dachy są zwykle spadziste, może więc warto pomyśleć o płotkach przeciwśniegowych, lecz nie ma potrzeby instalować na nich barierek. Rzeczonego przykazania – a właściwie dwóch, czyli pozytywnego, by „zrobić poręcz", i negatywnego, by „nie sprowadzić krwi na dom swój" – można przestrzegać w inny sposób, możliwie zmniejszając potencjalne zagrożenia. Dobrze by było zaopatrzyć schody czy balkony w poręcze. Prawo żydowskie określa używaną w epoce Talmudu miarą wysokość balustrady – musi to być co najmniej dziesięć szerokości dłoni – oraz podkreśla, że dorosły mężczyzna powinien móc się o nią spokojnie oprzeć.

„Sprowadzeniem krwi" grozi również pozostawienie nieoznaczonych wykopów oraz nieprzykrycie bądź nieogrodzenie basenu lub innego zbiornika. Szkodliwe substancje oraz stwarzające zagrożenie maszyny i narzędzia też należy w ramach „poręczy na dachu" zabezpieczyć. W obliczu tego zapewne nie zdziwi Państwa zalecenie, by możliwie nie posiadać niebezpiecznego psa. Z jednej strony nasze niedbalstwo może spowodować uszkodzenie ciała innych osób, z drugiej – sami możemy sprowadzić na siebie nieszczęście, np. przechodząc pod chwiejną drabiną bądź mostem w kiepskim stanie technicznym lub przez rwącą rzekę, gdy woda sięga nam wyżej niż do pasa (to przykłady zaczerpnięte z wykładni prawa żydowskiego).

Odkąd wiadomo, że palenie jest szkodliwe, bywa ono przez rabinów zakazywane. Jako minimum oczekuje się od palacza, by nie szkodził innym, nikotynizując się w ich obecności. Można chociażby – jak ten zażywny jegomość – wyjść zapalić na ganek. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Sprawdzam

„Proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali wasze ciała na ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu jako doskonały wyraz waszego kultu. Nie upodabniajcie się do tego świata, ale przemieniajcie się poprzez odnowę myślenia, aby rozeznać, jaka jest wola Boża, co szlachetne, co miłe, co doskonałe". To trudne, i to bardzo, zadanie, jako że nie ma bardziej mozolnego zajęcia, naznaczonego wieloma niepowodzeniami, niż przekonywać siebie do czegoś, a tym bardziej do kogoś. Ten mozół na ile trudny i bolesny, na tyle niezbędny, gdyż „wszystko, co nie wynika z przekonania, jest grzechem", mówi Paweł Apostoł. Inne tłumaczenia: „A cokolwiek nie jest z wiary, grzech jest"; „Wszystko bowiem, co się czyni niezgodnie z przekonaniem, jest grzechem".

W Konstytucji duszpasterskiej o Kościele czytamy, że „ci, którzy nie idą za nakazami sumienia, nie są bez winy". Karl Rahner dopowiada: „Sumienie to ów moment w doświadczaniu wolności przez człowieka, w którym uświadamia on sobie swą odpowiedzialność". Szkopuł w tym, że sumienie, podejmując wysiłek trafnego rozeznania, co warte, a co niewarte naszego wysiłku, narażone jest na popełnienie błędu, i to z dobrej woli.

Według Pawła sprawdzianem dla pobożności, dla kultu, jest sumienne życie, czyli umiejętność odróżniania zła od dobra i branie odpowiedzialności za to, co się wybrało. Mamy tego przykład w Ewangelii według Mateusza. W pewnym momencie „Jezus zaczął tłumaczyć uczniom, że musi iść do Jerozolimy. Tam starsi ludu, wyżsi kapłani i nauczyciele Pisma zadadzą Mu wiele cierpień i zabiją Go, jednak trzeciego dnia zmartwychwstanie. Wtedy Piotr wziął Go na bok i stanowczo Go upominał: Niech Cię Bóg broni! [Inne tłumaczenie: Oby Bóg Ci tego oszczędził] Panie, na pewno się to Tobie nie przydarzy! On zaś odwrócił się i rzekł do Piotra: Idź za Mną, szatanie! Przeszkadzasz Mi, bo nie myślisz po Bożemu, ale po ludzku". Po prostu Piotr nie na takiego Mesjasza czekał i nie może pojąć, jak to możliwe, żeby dzień klęski mógł być jednocześnie dniem zwycięstwa. Kiedy więc dzisiaj słyszymy słowa Jezusa: bierzcie i jedzcie moje Ciało i pijcie moją Krew, nie znaczy to tylko odprawiajcie mszę, ale stańcie się tacy jak Ja. Stańcie się moim ciałem. Nie uciekajcie od rzeczywistości, gdyż tu, a nie gdzieś w zaświatach, jest wasze życie doczesne i wieczne.

Zanim więc zaczniemy błagać Boga o „łaskę, której tak bardzo pragnę i tak bardzo potrzebuję", czyli zdrowie, piękną żonę i dobrego męża, zdanie egzaminu, szczęśliwą podróż, pomyślmy o Piotrze. Chrystus nie obiecał nam łatwego życia, a Kościół nie jest rezerwatem, najcudowniejszą krainą zamieszkiwaną przez wybrane, wiecznie uśmiechnięte okazy *Homo sapiens*. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Skuteczność

Kiedy piszę ten „Okruch", jedynie dziewiętnaście dni dzieli nas od niesłychanie ważnego wydarzenia w naszym Kościele, jakim będzie beatyfikacja rodziny Ulmów. Myślę, że w tej chwili jeszcze nawet nie wychwytujemy wszystkich wymiarów przesłania tej beatyfikacji – a tak naprawdę ich życia i męczeństwa.

Sam chcę się podzielić jedną myślą, która w natarczywy sposób towarzyszyła mi, gdy uczestniczyłem w otwarciu wystawy „Śmierć za człowieczeństwo. Rodzina Ulmów" (wystawę można oglądać przed Pałacem Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie).

O Wiktorii i Józefie Ulmach (oraz o siódemce ich dzieci) mówimy zwykle, że ponieśli śmierć, gdyż ratowali Żydów: „Patrzcie, jak umierają polskie świnie za pomaganie Żydom" – miał krzyczeć do świadków jeden z niemieckich żandarmów. Rzadziej myślimy i mówimy o tym, że Ulmowie oddali swoje życie za Żydów, których ostatecznie nie uratowali.

24 marca 1944 r. w domu Ulmów zostali najpierw zastrzeleni dwaj bracia Goldmanowie oraz Gołda Grünfeld. Następnie – już na podwórzu – zostały zabite cztery kolejne osoby: pozostali Goldmanowie oraz Lea Didner z małą córeczką Reszlą. Dopiero potem zginęli Józef, Wiktoria i wszystkie ich dzieci. Ginęli wpatrzeni w zwłoki ludzi, których przez szesnaście miesięcy usiłowali ocalić... Na próżno. Na darmo. Nieskutecznie!

Myślałem o ich śmierci i dopadło mnie – znów natarczywe – skojarzenie z cmentarzem na Monte Casino. Kiedy się po nim wędruje i czyta nagrobki poległych tam polskich żołnierzy, trudno nie zauważyć, iż raczej większość z nich pochodziła ze wschodnich obszarów przedwojennej Rzeczypospolitej. W chwili, gdy umierali, ich rodzinne tereny zostały już – na mocy decyzji podjętych na konferencji w Teheranie – oddane Rosji sowieckiej. Umierali za Polskę, której *de facto* już nie było. Czy mogli inaczej? Czy Józef i Wiktoria mogli inaczej?

Odpowiedź nie wydaje się zgoła oczywista – w naszym świecie, w którym „skuteczność" urasta niemal do najważniejszego parametru. Jeśli coś jest skuteczne – jest dobre. Jest właściwe. Jeśli jest nieskuteczne – jest bez sensu.

Nie! Ulmowie postąpili, jak postąpili, nie warunkując swojego działania (aż po śmierć) skutecznością. Postąpili tak – bo tak trzeba było. Bo taki był i jest nakaz sumienia. Nie skuteczność, lecz Dobro moralne.

A skuteczność ich życia i męczeństwa? Dziś zależy od nas.

Nie byli w stanie uratować siódemki swoich żydowskich bliźnich... Czy uda im się ocalić nas, nasze sumienia i prawdziwie moralne kategorie myślenia i działania? Daj Boże, by śmierć Józefa i Wiktorii skutecznie ratowała ludzi w naszym pokoleniu. ©

Jeśli potrafisz wiele znieść, zawsze będziesz modlił się z radością.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Wybierz raczej stratę niż haniebny zysk, tamta bowiem raz cię zaboli, ten zaś boleć będzie zawsze.

CHILON LAKOŃCZYK

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 IX)

22. niedziela zwykła: Jr 20, 7-9; Ps 63; Rz 12, 1-2; Mt 16, 21-27;
Poniedziałek: 1 Tes 4, 13-18; Ps 96; Łk 4, 16-30;
Wtorek: 1 Tes 5, 1-6. 9-11; Ps 27; Łk 4, 31-37;
Środa: Kol 1, 1-8; Ps 52; Łk 4, 38-44;
Czwartek: Kol 1, 9-14; Ps 98; Łk 5, 1-11;
Piątek: Mi 5, 1-4a lub Rz 8, 28-30; Ps 13; Mt 1, 1-16. 18-23;
Sobota: Kol 1, 21-23; Ps 54; Łk 6, 1-5;
23. niedziela zwykła: Ez 33, 7-9; Ps 95; Rz 13, 8-10; Mt 18, 15-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

OSTATNIA PROSTA W KONTRASTACH

Z każdym tygodniem kampanii rośnie polaryzacja społeczeństwa, które przestaje stawiać na partie aspirujące do roli trzeciej siły w parlamencie. Znowu liczą się tylko Kaczyński i Tusk.

MAREK KĘSKRAWIEC

Wyciąganie radykalnych wniosków z zalewających media sondaży – przeprowadzanych zbyt często i nie zawsze w pełni przejrzystymi metodami – byłoby lekkomyślne, jednak pewne tendencje zaczynają być wyraźne. W ostatnim sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski PiS i KO zdobywają ponad 65 proc. głosów, natomiast Trzecia Droga (9 proc.), Konfederacja (7,8 proc.) i Lewica (7,1 proc.) notują już tylko jednocyfrowe wyniki, co jest zaskoczeniem zwłaszcza w kontekście partii Sławomira Mentzena, jeszcze niedawno uzyskującej niemal dwukrotnie wyższe poparcie.

Młyn na wodę wielkich

Spór polityczny powoli osiąga zenit, a działania partii władzy – która organizuje kompromitujące państwo referendum i atakuje w sposób nieznany dotąd w III RP lidera opozycji przy pomocy rzekomo publicznych mediów – sprawiają, że wśród Polaków narasta przekonanie o zero-jedynkowości wyborów 15 października.

To oczywiście woda na młyn Prawa i Sprawiedliwości oraz Koalicji Obywatelskiej, które zyskują na tym najwięcej. Potwierdzają to inne badania United Surveys, według których aż 70 proc. społeczeństwa pragnie decydującej debaty między Tuskiem i Kaczyńskim.

Wobec braku dyskusji programowych między partiami na ważne tematy (wiek emerytalny, edukacja, podatki, inflacja) wielu z nas liczy, że może podczas takiego bezpośredniego starcia okaże się, który z głównych pretendentów do rządzenia Polską ma lepsze recepty na przyszłość.

Niestety, z uwagi na wieloletnią niechęć Kaczyńskiego do stawania w takie szranki, publicznie i na żywo, nie ma co liczyć, że na przełomie września i października dojdzie do pojedynku tytanów transmitowanego przez trzy główne polskie telewizje. Najważniejsi politycy PiS obawiają się, że ich 74-letni szef może nie dać rady w takiej dyskusji. Wolą więc postawić na sprawdzone metody, na czele z zaangażowaniem machiny państwowej w partyjną propagandę oraz przepaleniem milionów złotych na ten sam cel pod pozorem referendalnej akcji informacyjnej.

Obawy, jakie pętają nogi wierchuszce PiS w ostatnich tygodniach, widać też wyraźnie przy okazji ostatecznego kształtowania list wyborczych. Biorąc pod uwagę, z jak marnym odzewem spotkał się program 800 plus i oferta darmowych autostrad, trudno uwierzyć, że jakakolwiek obietnica PiS stanie się game changerem. Jest więc niemal pewne, że posłów obecnej partii rządzącej będzie w przyszłym Sejmie sporo mniej. To dlatego działacze walczą jak lwy o względy Kaczyńskiego, by trafić na tzw. miejsca biorące. Tłok jest tym większy, że akces do parlamentu zgłaszają też ci działacze, którzy spodziewają się utracić miejsca w spółkach i agencjach rządowych. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że nawet część polityków PiS podejrzewa, iż to trzymanie w niepewności kandydatów niemal do 6 września (ostateczna data rejestracji list w PKW) jest sposobem na zmuszenie ich do większej aktywności w kampanii – a zarazem formą emocjonalnego szantażu, by zachować dyscyplinę podczas ostatnich głosowań w Sejmie 30 sierpnia.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spotkanie wyborcze z posłami Platformy Obywatelskiej. Skawina, 23 sierpnia 2023 r.

Zwolennicy na wakacjach?

Sytuacji, w której dwie główne siły zajmują się sobą nawzajem, nie umieją wykorzystać mniejsi konkurenci. Prowadzona od miesięcy objazdówka Sławomira Mentzena, który promuje proste recepty na skomplikowane problemy, straciła dynamikę, stała się do bólu przewidywalna. Działacze Konfederacji próbują co prawda dowodzić, że to tylko efekt wakacji, na które masowo wybrali się ich zwolennicy, na chwilę zapominając o polityce – ale brzmi to nieprzekonująco. Wydaje się, że bez nowego pomysłu, który wsparłby widowiskowe eventy, do przeszłości może przejść czas, gdy partia Mentzena i Bosaka notowała regularnie 14 proc. Dzieje się to bowiem w sytuacji, w której Konfederacja jest już po ujawnieniu swoich głównych pomysłów programowych, więc z tej strony trudno liczyć na jakiś dopalacz, mogący w ostatnich tygodniach kampanii napędzić partię.

Trzeba jednak przyznać, że cokolwiek sądzimy o pomysłach Mentzena, łatwo jest do nich dotrzeć. To w ogóle wyróżnia mniejsze partie od PiS i KO: zadbały na swoich stronach internetowych, by można było zapoznać się z ich pomysłami na reformę Polski po rządach PiS, o ile oczywiście partia Kaczyńskiego straci władzę.

Kłopot w tym, że przy tak emocjonalnej kampanii, opartej na ciągłych, wzajemnych oskarżeniach o wszystko – od głupoty po zdradę – nie ma co liczyć, że elektorat będzie siedział przed komputerami i rozkminiał różnice w pomysłach np. na transformację energetyczną Polski. Z takimi tematami trzeba umieć wyjść do ↦

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Lider Polski 2050 Szymon Hołownia z wizytą w Białymstoku. 24 sierpnia 2023 r.

ludzi, a to szwankuje zwłaszcza w przypadku Lewicy. Ugrupowanie to wciąż nie potrafi przekonać szerszych grup społecznych, czym właściwie różni się od Koalicji Obywatelskiej. Mogliby to zapewne najsprawniej robić aktywni i nawykli do spotkań publicznych działacze Razem, ale widać wyraźnie, że między Włodzimierzem Czarzastym i Adrianem Zandbergiem nie ma chemii, a kampania stała się pasywna. To wyjątkowo zaskakujące w kontekście lewicowej partii toczącej walkę wyborczą w czasach silnej pauperyzacji dużych grup społecznych.

Inna sprawa, że działacze Lewicy nie są jedynymi odpowiedzialnymi za ten stan rzeczy. Faktem jest również, że główne polskie media niespecjalnie palą się do analiz i porównań programów poszczególnych ugrupowań. Emocjonalny spór między Tuskiem i Kaczyńskim jest dla nich o wiele ważniejszy, także dlatego, że po prostu lepiej „się sprzedaje". Dla takiej narracji zawsze ważniejsze będzie mocne włączenie się w kampanię KO Rafała Trzaskowskiego, który ma walczyć o głosy w bastionach PiS, i przełożenie tego na punkty procentowe niż próba rozstrzygnięcia, kto ma lepszy pomysł na walkę z inflacją.

Ofiarą polaryzacji stała się też Polska 2050 Szymona Hołowni. Ugrupowanie ma na swym zapleczu sprawny think tank ze świetnie wykształconymi ekspertami, ale nie potrafi przebić się z ich pomysłami do opinii publicznej. Nie ma nawet jednej platformy, na której wyborcy mogliby się zapoznać ze wspólną ofertą Trzeciej Drogi. Hołownia i Kosiniak-Kamysz prowadzą *de facto* dwie osobne kampanie i w pewnym stopniu jest to rezultat kryzysu wokół niedawnego pomysłu PSL, by do sojuszu włączyć Agrounię Michała Kołodziejczaka.

Można oczywiście zrozumieć Hołownię, który nie chciał wchodzić w układy z często zmieniającym zdanie, antyunijnym zwolennikiem skrajnego protekcjonizmu w gospodarce, ale w kontekście przyszłego wyniku wyborczego Trzeciej Drogi (koalicja musi walczyć o przekroczenie progu 8 proc.) była to decyzja kontrowersyjna.

Va banque Tuska

Oporów nie miał Donald Tusk. Nie przestraszył się reakcji swojego elektoratu, i chyba się nie pomylił. Głosy krytyczne wobec jego osobistej decyzji o transferze Kołodziejczaka i niektórych jego ludzi zgasły po dwóch dniach. I nawet jeśli dla większości elektoratu Agrounii posunięcie Kołodziejczaka było zdradą wsi, więc nie przyniesie KO spektakularnych wzrostów, to zarazem nie sprawi, że wyborcy KO odsuną się od Tuska. Nie odejdą raczej do Trzeciej Drogi, która sama chciała bratać się z Kołodziejczakiem, ani do Lewicy, której postulaty Tusk w większości już zaimplementował do swych haseł programowych. Poza tym zwolennicy lidera KO, nawet jeśli nie zareagowali z entuzjazmem na Kołodziejczaka, to zarazem dostali ważny sygnał o poszerzeniu pola walki i wejściu Koalicji na teren wiejski, gdzie dotychczas królowały PiS i PSL.

Dla tej ostatniej partii posunięcie Tuska stało się impulsem do kolejnego cichego konfliktu z Hołownią, zażegnanego wcześniej przez z natury spolegliwego Kosiniaka-Kamysza, który zrezygnował z pomysłu współpracy z Agrounią, by ratować sojusz z Polską 2050. Skorzystał na tym najsilniejszy konkurent w obozie demokratycznym, co jest źródłem powtórnego gniewu ludowców na Hołownię. Są oczywiście wśród nich tacy, którzy bali się, że po aliansie z Agrounią stracą dobre miejsca na listach wyborczych, jednak dla kierownictwa liczył się przede wszystkim potencjalny wiatr w żagle, jakim mogło być ogłoszenie, że działacze wiejscy łączą się, by odbić wieś z rąk PiS. Fiasko tej idei wbiło kolejny klin w Trzecią Drogę i choć sojusz nie idzie w stronę „dróg rozstajnych", to jednak widać wyraźnie, że jest to już tylko małżeństwo z rozsądku, a nie żadna nowa jakość w polskiej polityce.

Defensywę, w jakiej znalazło się środowisko Hołowni, widać wyraźnie na przykładzie wspólnej listy paktu senackiego, którą udało się liderom opozycji (z wyjątkiem oczywiście odseparowanej Konfederacji) ustalić. Na 100 miejsc Koalicja Obywatelska zaklepała sobie większość, czyli 51, PSL otrzymał 21, Lewica 15, a Polska 2050 – tylko 8 (reszta trafiła do samorządowców i dwóch kandydatów pozapartyjnych). Widać więc wyraźnie hegemonię środowiska Tuska, ale również pewną nadreprezentację PSL i Lewicy w stosunku do notowań Polski 2050. Można rzec, że Hołownia został w pewnym sensie upokorzony. Wynikać to może ze słabego osadzenia kandydatów jego ugrupowania w lokalnych społecznościach – choć to nigdy nie było kluczowe w Polsce, gdzie wysyłanie znanych partyjnych bonzów na tzw. prowincję ma potężne tradycje.

Jedno jest pewne: jeśli polaryzacja będzie się pogłębiać, wszystkie trzecie siły będą nerwowo patrzeć na sondaże, martwiąc się o gwałtownie topniejącą ich reprezentację w Sejmie. A to oznacza, że walka o ich przetrwanie może skupić się w podobnym stopniu na zaznaczaniu różnic z Kaczyńskim, jak i z Tuskiem.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Chleb i masło jest

DOMINIKA KLIMEK

Gdy wolontariuszka chciała zrobić śniadanie jednej z seniorek, znalazła w kuchni trzy rzeczy: herbatę z 1998 roku, stare płatki kukurydziane i przeterminowany jogurt.

Osiem ziemniaków, dwie pietruszki, burak, kilka cebul – to dla osób, które gotują. Do tego owoce i pomidory na kanapki, chleb, kilka bułek. Każdy adres ma swoje wytyczne: tutaj torba bez cytrusów, tam pieczywo, tylko żytnie. Dziś jedna z wolontariuszek przywiozła ananasy. Trafią do osób, które jeszcze radzą sobie z nożem.

– Owoce są drogie, niektórzy się od nich odzwyczaili – tłumaczy Magda, koordynatorka. – Bywało, że przyjeżdżaliśmy do seniora po tygodniu, a one leżały nieruszone.

Paczki rozwozi fundacja, która powstała na początku pandemii, kiedy ośrodki pomocy społecznej miały przerwę w działaniu. Przejęła dostarczanie posiłków potrzebującym seniorom i tak już zostało.

– Część podopiecznych ma rodziny, ale nie utrzymują z nimi kontaktu – mówi Magda. – Może sobie na to zapracowali, może nie. Dzieci niektórych od lat są za granicą. A czasem rodzina po prostu nie potrafi się zająć bliskim. Zajrzy do lodówki: chleb jest, masło jest. Jedzie do swoich spraw.

Przez kilka tygodni też odwiedzam seniorów z paczkami. Rozmawiamy o wnukach, o tym, że znowu wszystko boli. Albo że ktoś się zgubił po raz pierwszy tam, gdzie nie gubił się nigdy. Niektórzy nie pamiętają, kim jesteśmy. Pani z kamienicy bierze nas za swoje wnuki. Pani z wieżowca nas poznaje, cieszy się, że zapamiętała imiona, że rozmawia z człowiekiem: – Z tej samotności zaczynam gadać do zdjęć.

Pukamy do drzwi byłych kierowców karetek, pracowników fabryk, inżynierów, aktorów, malarzy.

Dwadzieścia kilo mniej

Znamy tylko szacunki: niedożywienie, słyszę od ekspertów, może dotyczyć niemal co trzeciego seniora mieszkającego w domu rodzinnym i nawet 60 proc. z DPS-ów.

Dr n. med. Anna Mirczak, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie: – Jako społeczeństwo przyzwyczailiśmy się do tego, że starszy człowiek źle się czuje. Zawroty głowy, osłabienie, przecież w tym wieku to normalne. Tak umykają pierwsze oznaki niedożywienia.

Może ono być objawem innych chorób, np. alzheimera. Trudniej zapamiętać listę zakupów, znaleźć na półkach produkty. Z głowy znikają dobrze znane przepisy. Słabnie apetyt. Czasem choremu przypomina się, że trzeba coś zjeść, dopiero wieczorem.

Ale niedożywienie bywa też przyczyną dalszych problemów. Zabiera siły, więc może prowadzić do upadku, kontuzji i unieruchomienia. W rezultacie: pogorszonego nastroju, izolacji, a nawet depresji, która niedożywienie jeszcze pogłębia. Da się zatrzymać tę lawinę, ale wtedy potrzeba już nie jednego specjalisty, tylko zespołu: dietetyka, rehabilitanta, psychologa.

Jedną z przyczyn niedożywienia jest samotność. Antoni po śmieci żony schudł 20 kilo. Opiekował się nią, zanim zmarła. Andrzej, też wdowiec, mówi, że wszystko jedno, kiedy umrze. Magda próbuje coś proponować. Spacer? Nowe hobby? Antoni nie ma na to ochoty. – Czym mam się interesować, jak mam 85 lat?

Proszę poczytać w internecie

Jerzy ostatnio nie czuje się dobrze. Dopiero co wyszedł ze szpitala, groziła mu amputacja stopy cukrzycowej. – Powtarzałyśmy Jurkowi, że źle się odżywia, ale nie słuchał – mówi koleżanka z klubu seniora. – Lekarz niby przemówił mu do rozsądku, ale jak Jurek wrócił do domu, od razu zjadł chleb z mielonką.

↦

↦ Inne koleżanki Jerzego rozumieją. Mówią, że jedzenie to przyjemność. Co innego zostało w życiu? Na coś trzeba umrzeć.

Grupę prowadzi Teresa. Wspomina rozmowę z jedną z seniorek: – Przyszła do mnie zapłakana po wizycie u lekarza. On postawił diagnozę, zalecił dietę i powiedział, żeby poczytała o niej w internecie. Nie zapytał, czy umie tam szukać informacji.

Dr. hab. Dariusza Włodarka, lekarza, dietetyka i wykładowcy SGGW, nie dziwi ta historia: – Lekarz powinien móc powiedzieć: proszę zastosować taką dietę, zapraszam do pokoju obok, gdzie czeka dietetyk. To nie powinno być zrzucone na barki lekarzy, którzy mają 15 minut na całą wizytę.

Gdyby nawet koleżanka Teresy w miarę sprawnie poruszała się w sieci, dla hasła „dieta w chorobie wieńcowej" zobaczyłaby w wyszukiwarce trzysta tysięcy wyników. Wśród nich reklamy suplementów diety. Mogłaby zajrzeć do prasy. W jednym z najpopularniejszych magazynów dla osób starszych znalazłaby dziesiątki porad, przepisów na kuracje, herbatki i napary, do tego reklamy cukierków ziołowych, a na końcu – pięć sposobów na żeberka.

Myślenie doraźne

– Niedożywienie pacjenta to dla systemu ochrony zdrowia ogromne koszty – mówi dr n. med. Marta Lewandowicz, dietetyczka. – Powoduje powikłania, trudno gojące się rany. Pacjent z niedożywieniem średnio dwa razy dłużej przebywa w szpitalu.

Dariusz Włodarek: – Porady dietetyczne są tanie w porównaniu do leczenia skutków nieprzestrzegania diety i niedożywienia. Potrzeba gabinetu, komputera, wagi i pensji dietetyka. Mimo to zakres refundacji porad dietetycznych w ramach NFZ wciąż jest niewystarczający. Oszczędności byłyby potężne, ale zauważylibyśmy je za kilka lat. Muszę tu też zaznaczyć, że właściwe żywienie osób starszych to nie tylko element leczenia chorób. Ma ono znaczenie dla utrzymania ich wydolności fizycznej i dobrej jakości życia.

Dariusz uczy seniorów o żywieniu na uniwersytecie trzeciego wieku. Mówi im, żeby się nie bali: da się jeść i smacznie, i zdrowo. Podobnie Marta. Prócz wykładów, spotyka się z seniorami w poradni. Trafia do niej rocznie czterysta osób starszych. Porady są darmowe, dofinansowuje je miasto.

Gdy studiowała dietetykę, temat żywienia seniorów pojawiał się rzadko. A jeszcze rzadziej – co zrobić, gdy mówi on w gabinecie, że na jedzenie może wydać 300 zł miesięcznie. Marta twierdzi, że nie jest to niemożliwe, chociaż bywa trudno, zwłaszcza po ostatnich podwyżkach. Dlatego uważnie śledzi promocje. Gdy zauważy dobry tani produkt w markecie, robi zdjęcie i wysyła SMS swoim klientom.

Kwestia szacunku

Teresa mieszka w osiemnastometrowej kawalerce bez kuchni. Używa tylko mikrofalówki i czajnika elektrycznego, stoją na szafce w przedpokoju. Gdyby nie wsparcie z ośrodka pomocy społecznej, obiadów nie jadłaby wcale.

Tam, gdzie mieszka, nie ma tanich bazarków, ale z koleżankami wypatrzyły mały sklep. Wszystko, co lekko obite, właściciel wystawia w skrzynkach za budynkiem. Można brać. – Dobrze, że towar wynoszą, kiedy się jeszcze nadaje. Nie wszędzie tak jest. A to kwestia szacunku do nas, żeby człowiek nie grzebał w tej zgniliźnie.

Na tanie zakupy Teresa poleca też sklep socjalny. Prowadzi go Fundacja Wolne Miejsce. Produkty z krótką datą przydatności pozyskuje jako darowizny lub kupuje je w obniżonych cenach. Można się spodziewać pieczywa, nabiału, pewnie warzyw, ale co dokładnie będzie – nigdy nie wiadomo. Dziś dojechał makaron, jutro mogą być banany. Niektóre produkty są nawet o połowę tańsze. Do zakupów uprawnia skierowanie z OPS-u lub decyzja wydana na miejscu. W soboty zakupy może zrobić każdy.

Wywiady i progi

W małym pomieszczeniu na terenie dawnej jednostki wojskowej stoją kartony czekolad z pistacjami. Do sklepów już nie trafią, choć data ważności upłynie dopiero za rok. – Gdy bok palety się rozerwie, wszystko idzie do wyrzucenia – wyjaśnia Jan.

Przeciskamy się dalej, przez stosy bombonier i zgrzewki napojów gazowanych z Niemiec. – Wyrzucili wszystko, bo jedna butelka się wylała. Może ci się wydawać, że tego wszystkiego jest mnóstwo. Kasze, makarony, wafle ryżowe. Ale jak naraz przychodzi do nas 600 osób, to co to jest; dwa dni i nie ma.

Janowi Piontkowi w głowie się nie mieści, że w XXI wieku ludzie są głodni. Dlatego wrocławska Fundacja Weź Pomóż, którą założył, siedem razy w tygodniu po godzinie 14.00 wydaje żywność. Osobom niemobilnym, w większości seniorom, rozwozi ją do domów.

– Ludzie słyszą o nas w telewizji, dzwonią, mówią, że mają tylko suchy chleb. Boją się skontaktować z OPS-em, bo instytucja to wywiad: dzień dobry, imię nazwisko, ile pani ma emerytury, musimy panią zweryfikować, proszę czekać.

Czekać trzeba m.in. dlatego, że OPS, zanim przyzna wsparcie finansowe, może kontaktować się z rodziną. Zasoby ośrodków są ograniczone, więc to bliscy są zobowiązani do pomocy w pierwszej kolejności. Część osób, gdy o tym słyszy, rezygnuje. Nie chce wciągać w to rodziny. Jeszcze inni rezygnują, gdy widzą dokumenty, a w nich klauzule i zgody. Boją się oszustów.

Jan złości się też na progi. Szczególnie na ten dla osoby gospodarującej samotnie: 776 zł. Po jego przekroczeniu traci się prawo do części świadczeń. – Progi odbierają godność – mówi. – U mnie progów nie ma. W Urzędzie Miasta usłyszałem, że rozwalam system, który dobrze funkcjonuje. Więc pokazałem notes z nazwiskami osób, do których jeździmy, które od tego systemu nie mają pomocy. Opiekunowie z OPS-ów sami dzwonią do mnie i mówią: Janek, podjedź i pomóż tej pani, bo my nie możemy.

Grupa mało roszczeniowa

Osób, których emerytura wynosi mniej niż minimalna, jest w Polsce prawie 370 tys. Dostają miesięcznie kilkaset, a nawet kilkadziesiąt złotych. Łącznie w skrajnym ubóstwie w 2022 r. żyło 3,9 proc. osób powyżej 65. roku życia.

– W ich przypadku koszyk dóbr jest na tyle skromny, że zagraża to zdrowiu i życiu – mówi dr Rafał Bakalarczyk, badacz polityki senioralnej. – Ale są też inne dane: według badania jakości życia osób starszych w 2020 r. co czwarta osoba w wieku 60 plus mówiła, że musi na co dzień bardzo oszczędnie gospodarować pieniędzmi. Co piąta, że nie może związać końca z końcem.

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Seniorzy to grupa zróżnicowana pod względem społeczno-ekonomicznym. Ich sytuacja zależy od wysokości świadczeń, warunków mieszkaniowych i nawyków konsumenckich.

– W takim razie niedożywienie seniorów wynika z kwestii finansowych? – pytam.

– Nie zawsze, seniorzy to zróżnicowana pod względem społeczno-ekonomicznym grupa – tłumaczy Bakalarczyk. – Ich sytuacja zależy od wysokości świadczeń, warunków mieszkaniowych, tego, czy osoba żyje sama, czy z innymi, jakie ma nawyki konsumenckie i umiejętności, np. w zakresie przygotowania posiłków. Jeśli ktoś jest schorowany i niesamodzielny, wydatki gwałtownie rosną.

Według GUS ponad 40 proc. gospodarstw domowych złożonych wyłącznie z osób starszych ocenia swoją sytuację materialną jako dobrą lub raczej dobrą, połowa jako przeciętną. Jednocześnie prawie co piąty senior jest dotknięty co najmniej jedną formą ubóstwa.

Jak pogodzić te sprzeczne dane? Rafał Bakalarczyk ma pewną teorię: – Wbrew stereotypom seniorzy są grupą mało roszczeniową. Subiektywnie mogą swoją sytuację oceniać nieźle. Ale część z nich, zwłaszcza tych najstarszych, jest przyzwyczajona do bardzo skromnego życia. Przez lata żyli w warunkach niestabilnych ekonomicznie lub na pewnym etapie życia ulegli marginalizacji. Część wycofała się z pewnych form uczestnictwa społecznego: chodzenia do kawiarni, kina czy restauracji, także z powodów pozaekonomicznych, chociażby braku osób towarzyszących. Sprowadzili swoje potrzeby do bardzo podstawowych wydatków, np. na żywność i lekarstwa. Innych nawet nie biorą pod uwagę.

Znikają kolejne rzeczy

O tym, że pan Mieczysław nie ma działającej lodówki, Magda dowiedziała się przypadkiem. Powiedział, że miał dobry dzień, bo kupił kiełbasę, którą uwielbia. „Czemu nie mógł kupić? Zwykle nie było?", zastanawiała się Magda. „Dziś i jutro ma być zimno, to kiełbasa wytrzyma na parapecie" – usłyszała.

Magda nie wie, jak długo parapet był lodówką pana Mieczysława. Podobnych sytuacji pamięta więcej. Gdy wirus trochę odpuścił, wolontariusze zaczęli wchodzić za progi. Zobaczyli puste szafki, zepsute kuchenki. Seniorzy nie gotowali, bo garnki się zużyły, talerze potłukły i został jeden, nie ma kto naprawić kuchenki. Przyzwyczaili się. Mówili, że sobie radzą. A radzili sobie coraz gorzej.

Niektórzy potrzebowali już profesjonalnej opieki, jak pan Kazimierz. Leżał w łóżku, był po operacji biodra. Niewiele mówił, patrzył w telewizor, palił jednego papierosa za drugim. OPS przyznał mu opiekunkę. Gdy pojechała na urlop, przyszła druga, na zastępstwo. Ta, zdaniem Magdy, nie starała się. Magda zastała pana Kazimierza głodnego, nieprzewijanego i ze złamaniem. Wezwała karetkę i policję.

– Na opiekę są skargi – przyznaje Katarzyna. Pracowała jako koordynatorka w firmie, która realizowała usługi opiekuńcze na zlecenie OPS-u. Przyczyn skarg wymienia wiele: praca ciężka, pensje niskie, ciągle brakowało ludzi do pracy. Wszyscy mieli grafik upakowany pod korek. Często robili nadgodziny.

– Nie mogliśmy zostawić nikogo bez opieki – mówi. – Mieliśmy tyle zleceń, że opiekunom brakowało czasu na dojazdy. Wiele z nich to starsze osoby, które dorabiały do emerytury. Niektóre schorowane, w wieku swoich podopiecznych. Dojeżdżały autobusem lub tramwajem. Musiały wystać swoje na przystankach, w korkach, kosztem czasu usługi.

Z braku ludzi Katarzyna sama chodziła w teren. Gdy chciała jednej z seniorek zrobić śniadanie, znalazła w kuchni trzy rzeczy: herbatę z 1998 roku, stare płatki kukurydziane i przeterminowany jogurt. A zlecenie zakupów nie obejmowało. – Pani była leżąca, trochę chodząca. Podobno przychodził do niej brat dwa razy w tygodniu, więc OPS założył, że musi jej coś przynosić. Ale nie przynosił. A ona się nie upomni.

W przypadku najmniej samodzielnych osób można się starać o miejsce w domu pomocy społecznej. W zależności od regionu na miejsce czeka się nawet trzy lata. Katarzyna: – Miejsce zwalnia się dopiero, gdy ktoś umrze.

O kolejkach oczekujących na DPS słyszę też od osób, którym rozwozimy posiłki. Do DPS-u próbował się dostać pan Kazimierz. Inicjatywa wyszła od Magdy. Uznała, że już nie może mieszkać sam. Złożyła dokumenty. Zanim pracownikom socjalnym udało się znaleźć jego syna, bo trzeba było przeprowadzić wywiad, pan Kazimierz zmarł.

Dieta sucharkowa

Kiedy nie wykłada i nie przyjmuje w poradni, Marta Lewandowicz pracuje w dziennym domu opieki medycznej. W przeciwieństwie do DPS-u, jego podopieczni po południu wracają do domów. – Pacjent może przyjść do nas maksymalnie na pół roku – mówi. – Nawet jeśli ↦

↦ u nas nawiąże relacje, pojawi się apetyt, bo w gronie osób lepiej się je, to później wraca do samotności.

Lukę dostrzega też Grzegorz, ratownik medyczny. Niektórych niedożywionych pacjentów regularnie przywoził karetką do szpitala. Personel stawiał ich na nogi, karmił, poił, wyrównywał parametry. Potem wracali do domów. Mieszkali sami, bez wsparcia, więc za kilka tygodni znowu trafiali na internę.

Na jadłospis osób z tej grupy Anna Mirczak zna nazwę – dieta sucharkowa. Suche pieczywo popijane herbatą.

Lukę widać nawet na papierze, wykazała ją kontrola NIK. W raporcie z 2016 r. czytamy, że liczba osób niezdolnych do samodzielnej egzystencji, potrzebujących opieki środowiskowej, wynosi ok. 2 mln i rośnie, a opieką domową objęto niewiele ponad 1 proc. osób powyżej 60. roku życia. Jedną z przyczyn jest brak monitorowania sytuacji mieszkańców. Potrzebę wsparcia trzeba zgłosić samemu lub mieć nadzieję, że zrobi to ktoś inny.

A nawet jeśli wszyscy potrzebujący seniorzy zgłosiliby do OPS-ów, że lodówki mają puste i potrzebują pomocy z zakupami, to w co piątej gminie zakupy do nich nie dotrą. Gminy te usług w miejscu zamieszkania nie zapewniają.

© DOMINIKA KLIMEK

OGŁOSZENIE

KLUB TP Katowice
KLUBTYGODNIKA.PL

KATOWICE: Klub „TP” w Katowicach to miejsce spotkań z autorami ciekawych książek i publikacji. Bliska nam jest historia i tematyka regionu i cenimy sobie współpracę z Biblioteką Śląską. Zapraszamy!

Koordynatorka
Urszula Chyrowicz
katowice@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP” na **klubtygodnika.pl**

jt STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

Bałam się drzew nade mną

JACEK TARAN

Nie poddałam się i teraz też się nie poddam. Mam cel. Sprowadzić Lukrecję do Polski – mówi Tatcher, młoda Kamerunka, której udało się przejść przez białoruską granicę.

Tatcher ma 21 lat. To, co miała najcenniejsze, zostawiła w Kamerunie. – Całe swoje życie – mówi.

Całe życie Tatcher to trzyletnia córka Lukrecja i jej nieżyjący już brat bliźniak. Drugi syn, Godwin, urodził się w Polsce. Innych dobrych wspomnień nie ma.

– Wychowywałam się sierocińcu, wyszłam za mąż, gdy miałam 17 lat – gdy mówi, zasłania twarz dłońmi. Może płacze, a może to tylko wahanie i namysł, bo kiedy zabiera dłoń, uśmiecha się pogodnie do mnie i do małego Godwina. – Mój mąż był żołnierzem, to nas zgubiło – dodaje.

Przy granicy

W Kamerunie od lat trwa wojna między anglojęzycznymi secesjonistami a francuskojęzycznym rządem. Jej korzenie sięgają 1961 r., kiedy anglojęzyczny Kamerun Południowy zjednoczono z obszarami francuskimi.

W walkach straciły życie setki tysięcy ludzi, ponad milion zmuszono do ucieczki. W 2016 r. dziesiątki tysięcy osób z regionów anglojęzycznych rozpoczęło protesty m.in. przeciwko używaniu języka francuskiego w szkołach i sądach. Spotkało się to ze zbrojną reakcją rządu. Lokalny konflikt stał się idealnym podłożem dla działalności ekstremistów – włączyła się organizacja Boko Haram, której żołnierze bez trudu docierają tu z sąsiedniej Nigerii.

Tatcher jest chrześcijanką. Pochodzi z okolic miasta Bamenda, niecałe sto kilometrów od granicy. Tu żyje się najtrudniej. Starcia sił secesyjnych z rządowymi, porwania, gwałty – to codzienność.

– Mój mąż został zabity przez secesjonistów. Zostałam sama, w ciąży. Rodzina męża odwróciła się ode mnie. Po jego śmierci nie byłam im już potrzebna, chcieli też zabrać mi dzieci. Do tego terroryści żądali ode mnie okupu. Za co miałam im płacić, skoro mąż już nie żył? Nie mogłam dłużej żyć w takiej atmosferze, w takim miejscu. Jeszcze przed śmiercią mąż prosił, żebym uciekała z kraju, kiedy to tylko będzie możliwe. W naszej okolicy nie ma nikogo, kto spędziłby tu całe życie.

Miały być Niemcy

W czerwcu 2022 r. Tatcher podejmuje dramatyczną decyzję: zostawia Lukrecję pod opieką przyjaciółki. Poznały się w sierocińcu, w którym obie spędziły dzieciństwo, są dla siebie jak siostry. Sama w szóstym miesiącu ciąży wyjeżdża do Europy z myślą, by potem sprowadzić tam córkę.

W agencji turystycznej kupuje bilet na samolot do Mińska z przesiadką w Istambule. Wydaje na to oszczędności swojego nieżyjącego męża – około tysiąc pięćset euro. Dociera do Mińska. Tam ktoś, o kim Teatcher mówi „przyjaciel”, kontaktuje ją z cywilem obiecującym jej przerzut przez granicę. O Polsce jeszcze nic nie wie. Jest przekonana, że Europa to Niemcy i że to będzie jej punkt docelowy.

– W Mińsku powiedzieli nam, że zawożą nas na granicę Europy i jak tylko ją przejdziemy, będą Niemcy. Zostawili nas jednak w lesie. Nie miałam już wtedy wyjścia. Co mogłam zrobić tysiące kilometrów od domu? Powiedział: „Idź, tam jest granica”. Szłam.

JACEK TARAN

Tatcher i jej syn Godwin na krakowskich plantach. Kraków, 27 lipca 2023 r.

W ciemności i deszczu. Bałam się – mówi.

Tatcher długo szła z grupą ludzi z krajów muzułmańskich. Aż znaleźli się przy barierkach, które udało się im przekroczyć.

– Niedługo po tym zatrzymała nas polska straż graniczna – opowiada dalej. – Myślałam, że nam pomogą, a oni zabrali nam telefony, ładowarki, dokumenty i wszystko zniszczyli. Potem wywieźli nas z powrotem na Białoruś. Tam białoruscy żołnierze zagrodzili nam drogę, kazali wracać do Polski. Utknęliśmy.

Tatcher ponownie próbuje przekroczyć w lesie granicę. Znów kończy się tak samo: zatrzymanie przez straż graniczną, wypchnięcie na Białoruś, a tam kordon żołnierzy Łukaszenki.

Nikt nie chce z nimi rozmawiać, nikt nie chce przyjąć wniosków azylowych – co, jak dowie się później, jest obowiązkiem funkcjonariuszy.

Jak w celi

Podczas trzeciej próby przekroczenia granicy grupa stwierdza, że ciężarna Tatcher za bardzo ją spowalnia. Zostaje w lesie sama. Nie pamięta dziś, ile się po nim błąkała – może tydzień, może dwa.

– Pamiętam, że było ciągle zimno, chociaż to podobno było lato. Nie miałam już jedzenia ani picia. Raz znalazłam w lesie ludzkie zwłoki, wygrzebane z płytkiego grobu przez zwierzęta. Już wcześniej ludzie, z którymi szłam, mówili mi, że słyszeli o takich przypadkach, ale co innego zobaczyć to na własne oczy. Byłam bardzo słaba, bałam się, że niebawem spotka mnie ten sam los.

Po kilku dniach wędrówki Tatcher dociera do jakiegoś domu, za ogrodzeniem widzi ujadającego psa. Wie, że ktoś jest wewnątrz, ale na jej wołania nikt nie odpowiada. W końcu dostrzega przez zarośla światła kogutów radiowozu. Polscy policjanci przewożą ją najpierw do szpitala, a potem do zamkniętego ośrodka w Białymstoku. Tu składa wniosek o azyl.

Po radości przychodzi rozczarowanie. W ośrodku Tatcher nie wolno korzystać z telefonu, z nikim się kontaktować, wychodzić na zewnątrz.

– Byliśmy traktowani jak przestępcy. W małym pokoju stały piętrowe łóżka dla czterech osób. Było bardzo ciasno i tylko jedno małe okienko, które się nie otwierało, a za nim tylko mur i drut kolczasty. Wszystkie byłyśmy w ciąży – mówi Tatcher. – Nie rozumiałam, dlaczego nas zamknięto. Przecież nie zrobiłyśmy nic złego. Co jest złego w tym, że chcesz dobrego życia dla siebie i rodziny? W tym ośrodku było też dużo dzieci. One również ciągle pytały o to, dlaczego są w więzieniu.

Tatcher nie traci jednak nadziei i nie żałuje decyzji podjętej w Kamerunie: – Wierzyłam, że to tylko na chwilę, że to stan przejściowy. Co mogło gorszego mnie spotkać?

Tam została Lukrecja

We wrześniu 2022 r. Tatcher zostaje przeniesiona do otwartego ośrodka w Białej Podlaskiej. – Tam czułam się dużo lepiej, wreszcie nabrałam wiary, że sprawy idą w dobrą stronę. W Białej Podlaskiej mogliśmy wychodzić na miasto, nikt nas nie zamykał – opowiada.

Tu rodzi się Godwin. Matka zdrabnia jego imię po polsku: Godwinek.

Po urodzeniu syna Tatcher trafia do Warszawy. Ktoś daje jej kontakt do Fundacji Wolno Nam z Krakowa. Przyjeżdża, jest początek listopada 2022 r. ↦

↦ Prowadzony przez fundację hostel Challenging Hope jest pierwszym miejscem, w którym czuje się bezpiecznie. Dotarcie do niego z przygranicznych lasów zajęło jej blisko trzy miesiące.

– Nie chcę wyjeżdżać z Polski. Widziałam straszne rzeczy, ale wszystko, co najlepsze, spotkało mnie tutaj. Tu urodził się mój syn. Bałam się lasu, dużych drzew kołyszących się nade mną, bagien. Bałam się, że moje ciało też zostanie w lesie, że rozszarpią je zwierzęta. Ale przez cały ten czas nie bałam się tak bardzo jak wtedy, gdy żyłam w Kamerunie. Strach to najmocniejsze wspomnienie, jakie stamtąd przywiozłam.

– A inne wspomnienia? – pytam.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, taką jak teraz moja córka Lukrecja, marzyłam, żeby zostać lekarzem, chirurgiem. Życie jednak potoczyło się inaczej. Miałam trzy lata, kiedy trafiłam do sierocińca, moja rodzina uległa rozproszeniu. Dobrze się uczyłam, zdałam maturę, wyszłam za mąż, myślałam, że już będzie lepiej, ale śmierć męża przerwała wszystko. Nie poddałam się i teraz też się nie poddam. Mam cel. Sprowadzić Lukrecję do Polski.

Uda się

Agnieszka Widacka, wolontariuszka, która pomaga Tatcher okiełznać biurokrację i załatwić formalności, pokłada w swojej podopiecznej ogromne nadzieje. – Wierzę, że jej się uda – mówi. – Jest przedsiębiorcza, mówi biegle w dwóch językach zachodnich, po francusku i angielsku. Jest teraz w procesie rekrutacyjnym do jednej z zachodnich korporacji, która ma biuro w Krakowie.

Tatcher ma już przyznaną ochronę uzupełniającą. To rodzaj pomocy udzielanej w przypadkach, gdy powrót do ojczystego kraju mógłby się wiązać z zagrożeniem życia lub zdrowia. Ma też przyznaną kartę pobytu, która daje prawo podjęcia legalnej pracy. Na jej wydanie wciąż jednak czeka.

Procedura sprowadzenia Lukrecji do Polski jest długotrwała i kosztowna. – Potrzebujemy pieniędzy na opłacenie prawników, opłaty za pełnomocnictwo, notariusza, tłumaczenia przysięgłe – mówi Agnieszka Widacka. – Założyłam zbiórkę na rzecz Tatcher. Najtrudniej będzie z wizą dla dziewczynki. Najbliższa ambasada Polski znajduje się w Abudży w Nigerii, to ponad tysiąc kilometrów od jej obecnego miejsca zamieszkania. A jeszcze paszport! Potem trzeba opłacić przelot do Polski dla niej i dla opiekuna. To potrwa, ale wierzę, że się uda, że dziewczyny będą razem.

Tatcher uczy się języka. Wprawdzie polskie liczebniki wymawia z wyraźnym akcentem ukraińskim – Ukrainki są najliczniejszą grupą zamieszkującą hostel – ale nie można jej odmówić determinacji.

Na swoje utrzymanie chce zarabiać – szyje afrykańskie stroje, plecie warkoczyki. Przyjaciółka z Kamerunu przysyła jej afrykańską biżuterię, sandały, piękne, kolorowe chusty. Z tego, co uda się zarobić na sprzedaży, odkłada na sprowadzenie córki.

– Uciekłam z kraju, w którym ciągle się bałam, przeszłam przez las, w którym widziałam ludzkie zwłoki. Miałabym nie poradzić sobie z biurokracją czy brakiem pieniędzy? – pyta retorycznie Tatcher, nie przestając karmić piersią Godwinka. – Pewnie, że sobie poradzę. Jestem silna.

©℗ JACEK TARAN

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 272/23 toczy się postępowanie z wniosku Katarzyny Małgorzaty Kowalczyk o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Łubki, obręb 0006, gminie Wojciechów stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 6/6 o powierzchni 1,36 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej, I Wydział Cywilny informuje, że pod sygnaturą I Ns 291/22 toczy się postępowanie z wniosku Giełdy Praw Majątkowych Vindexus S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Stanisławie Hałat, synu Feliksa i Heleny z domu Penkala, urodzonym 24 kwietnia 1961 roku, zmarłym 24 kwietnia 2021 r. w ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Bielsku-Białej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców ustawowych i testamentowych do zgłoszenia się w tutejszym sądzie i udowodnienia swoich praw do spadku w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym wypadku mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie Wydziale I Cywilnym toczy się w sprawie sygn. akt I Ns 171/23 postępowanie z wniosku Gminy Karsin o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Kupryk, córce Bazylego i Jadwigi, zmarłej 6.12.2016 r. w Cisewiu, ostatnio stale zamieszkałej w Cisewiu.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Janiny Kupryk, aby w terminie 3 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po niej pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

Sąd Rejonowy w Gnieźnie Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 278/23 toczy się sprawa z wniosku Powszechnej Kasy Oszczędności Bank Polski SA w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Longinie Gbiorczyku, urodzonym 28 maja 1935 r. w Lesznie, synu Ludwika i Anny z domu Stelmaszyk, zmarłym 30 listopada 2021 r. w Gnieźnie, mającego ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Gnieźnie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Jerzym Longinie Gbiorczyku.

TOMASZ

Stawiszyński: *O odmowie dyskutowania*

Nie warto, a nawet nie wolno dyskutować z ludźmi o odmiennych przekonaniach – słyszę o tym i czytam od lat, w mediach społecznościowych i nie tylko. Przekłada się to oczywiście na praktykę: nieustannie ktoś gdzieś przed udziałem w jakiejś dyskusji demonstracyjnie albo ukradkiem się wzbrania. Demonstracyjnie albo ukradkiem rezygnuje ze spotkania z kimś o odmiennych przekonaniach, wycofuje się z obecności na takim spotkaniu albo też *a priori* deklaruje, że nigdy by w nim pod żadnym pozorem nawet nie myślał uczestniczyć. Po czym najczęściej publicznie wzywa innych do poparcia go w tym postanowieniu. A niekiedy w ogóle do anulowania całego przedsięwzięcia, w którym nie dość, że sam udziału nie weźmie, to jeszcze zabiega, żeby go nie wzięli także pozostali. Powstają wręcz jakieś mniej lub bardziej nieformalne czarne listy osób, z którymi dyskutować się nie godzi. Ktokolwiek by – niepomny tych zakazów – uznał, że może jednak podyskutować z nimi miałby chęć, ryzykuje poważnie, że za chwilę sam na taką mniej lub bardziej nieformalną czarną listę zostanie wpisany.

W mediach społecznościowych liczni sekundanci tych, którzy odmawiają dyskusji z osobami o odmiennych przekonaniach, ochoczo przyklaskują każdej takiej odmowie. Jednocześnie z niechęcią, a czasami nawet z furią, traktują wszystkich, którzy uważają, że niekoniecznie jest to akurat najlepsza możliwa strategia. Ci ostatni natomiast, zazwyczaj stronnicy światopoglądowi człowieka z dyskusji wykluczonego, protestują gorąco właśnie przeciwko temu wykluczeniu. Nie zmienia to jednak faktu, że – owszem, tak się wcale nierzadko zdarza – w innych okolicznościach sami potrafią gorąco zachęcać do niedyskutowania. Zazwyczaj wtedy, kiedy w ich domenie pojawi się nagle ktoś reprezentujący poglądy, z którymi to oni się z kolei nie identyfikują. Wytwarza się w ten sposób tyleż specyficzna, co typowa oscylacja: jednego dnia dana osoba oburza się, że ktoś został z jakiejś debaty wykluczony, drugiego dnia natomiast oburza się, że ktoś inny ośmiela się siadać do stołu z rozmówcą, z którym rozmawiać wszak w żadnym razie się nie powinno. Przy czym w obu przypadkach aprobata lub dezaprobata dla dyskutowania wyrażana bywa z jednolitym emocjonalnym zaangażowaniem. W obu przypadkach w służbie tych przeciwstawnych sobie postaw zaprzęga się dokładnie te same energetyczne i retoryczne zasoby. Korzystając z tych zasobów, produkuje się następnie całe mnóstwo rozmaitych uzasadnień, mających w sposób jednoznaczny wykazać, że debatowanie z osobami o odmiennych przekonaniach jest w najgorszym razie groźne, w najlepszym zaś jałowe i niepotrzebne.

Wywodzi się zatem np., że i tak nie da się z nimi prowadzić żadnej rozmowy, bo – no właśnie – mają odmienne przekonania. Czytają inne książki, myślą inaczej, czują inaczej, są po prostu jakieś inne – i w związku z tym nie ma nie tylko możliwości, ale i sensu, żeby w ogóle wchodzić z nimi w bliższy kontakt.

Albo też argumentuje się, że zapraszanie do rozmowy osób o odmiennych przekonaniach może narazić na dyskomfort te osoby, które się od nich przekonaniami różnią. To bowiem oczywiste, że rozmawianie z osobami o tych samych przekonaniach jest źródłem komfortu, który znika momentalnie, kiedy tylko w polu rozmowy – a być może już w polu widzenia – pojawi się osoba o przekonaniach odmiennych. Przy czym dla niektórych ten dyskomfort może być tak wielki, że wręcz niebezpieczny dla zdrowia – tym bardziej więc należy ich wszelkimi dostępnymi środkami chronić przed groźbą podobnej interakcji.

Lub też dowodzi się, dajmy na to, że sam pomysł rozmowy z osobami o odmiennych przekonaniach – zwłaszcza rozmowy prowadzonej w sposób racjonalny, spokojny i zorientowany na posługiwanie się argumentami, a nie krzykiem – jest jedynie historycznie uwarunkowanym konstruktem kulturowym. Na dodatek wymyślonym przez określoną tożsamościową grupę – wiadomo, tych nieszczęsnych białych, heteroseksualnych mężczyzn – a zatem na zasadzie jakiejś magicznej korespondencji nieodwołalnie skażonym wszelkimi opłakanymi cechami owej grupy. Ostatecznie zatem, w takim ujęciu, rozmowa z osobami o odmiennych przekonaniach okazuje się narzędziem strasznej opresji.

Wreszcie podnosi się argument, że – tak czy inaczej – zapraszanie do dyskusji kogoś o odmiennych przekonaniach mogłoby dowodzić, że się te jego przekonania uznaje za dopuszczalne, a przecież dopuszczalne są tylko te przekonania, z którymi on się właśnie nie zgadza. ©

POŻEGNANIE

Krystynie Pilawskiej

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Męża Czesława

składają

Teresa i Marian Kucharscy

WIARA

INFAMIA

Wydarzenia z plaży w Świnoujściu, których efektem była śmierć księdza, powinny nas skłonić do refleksji nad odpowiedzialnością za słowo w przestrzeni publicznej.

ARTUR SPORNIAK

Nie znamy wszystkich szczegółów, rekonstrukcji faktów można dokonać tylko z dostępnych informacji. W czwartek 17 sierpnia około godziny 16 na plaży w Świnoujściu został przyłapany na masturbacji mężczyzna. Interweniowała policja. Mężczyzna otrzymał mandat za „nieobyczajny wybryk" zgodnie z artykułem 140. Kodeksu wykroczeń. Przyjął karę.

Nie zgodziła się na nią natomiast kobieta, która – jak napisała potem w mediach społecznościowych – przy pomocy przechodnia zatrzymała owego mężczyznę i wezwała policję. Twierdziła, że mężczyzna masturbował się, patrząc na jej córeczkę, uznała więc go za pedofila. Policjanci nie potwierdzili jej zeznania. Rzecznik świnoujskiej policji wyjaśniał potem mediom, że przepytane zostały wszystkie osoby znajdujące się wówczas na plaży i gdyby mężczyzna dopuścił się tego czynu w obecności dziecka, zostałby zatrzymany. Nie potwierdzili też obecności córki (miała ona zostać odprowadzona do domu przed wezwaniem policji).

Najprawdopodobniej kobieta uznała, że policja nie rozpoznała właściwie całego wydarzenia, gdyż jeszcze tego samego dnia zamieściła emocjonalny wpis, w którym oskarżyła mężczyznę o pedofilię, ujawniła, że jest księdzem (skądś się o tym dowiedziała), zamieściła zrobione mu zdjęcie i wezwała rodziców do czujności. Internauci szybko rozpoznali, że ksiądz pracuje w jednej ze szczecińskich parafii, ucząc dzieci katechezy. Szczegółowe dane – w której szkole i przedszkolu ksiądz pracuje oraz w której parafii jest wikarym – ujawniła na swoim profilu w piątek 18 sierpnia szczecińska radna Koalicji Obywatelskiej Dominika Jackowski.

W sobotę 19 sierpnia ksiądz już nie żył. Jak doniosły media, około godziny 14 śmiertelnie potrącił go pociąg towarowy na nieczynnym przejeździe w Reptowie w powiecie stargardzkim. Post identyfikujący jego tożsamość zniknął z profilu radnej (choć nie z internetu), wszelkie dane usunięte zostały też z mediów społecznościowych kobiety, która ujawniła jego wizerunek.

Po śmierci księdza Dominika Jackowski napisała w oświadczeniu: „Kierując się wyłącznie dobrem dzieci, uczniów Gumieniec, udostępniłam post matki wraz z wcześniej udostępnionymi danymi sprawcy. Zaznaczam, że policja potwierdziła ukaranie sprawcy mandatem, a zwierzchnik księdza zapowiedział współpracę w śledztwie. Z przyczyn mi nieznanych policja poinformowała, że na miejscu nie było dzieci. Jestem w stałym kontakcie z matką, autorką postu, która podtrzymuje, że przy całym zajściu obecna była jej córka. Złapanie sprawcy na gorącym uczynku przez matkę, potwierdzenie zdarzenia przez policję, przyjęcie mandatu przez sprawcę, a tym samym przyznanie się do winy oraz działania kurii oznaczały, że sprawy nie da się zamieść po cichu pod dywan. Być może to było przyczyną decyzji, jaką podjął sprawca".

Zatem zdaniem radnej przyczyną targnięcia się księdza na swoje życie było wiele rzeczy, tylko nie infamia spowodowana publicznym ujawnieniem przez nią tożsamości księdza. ↦

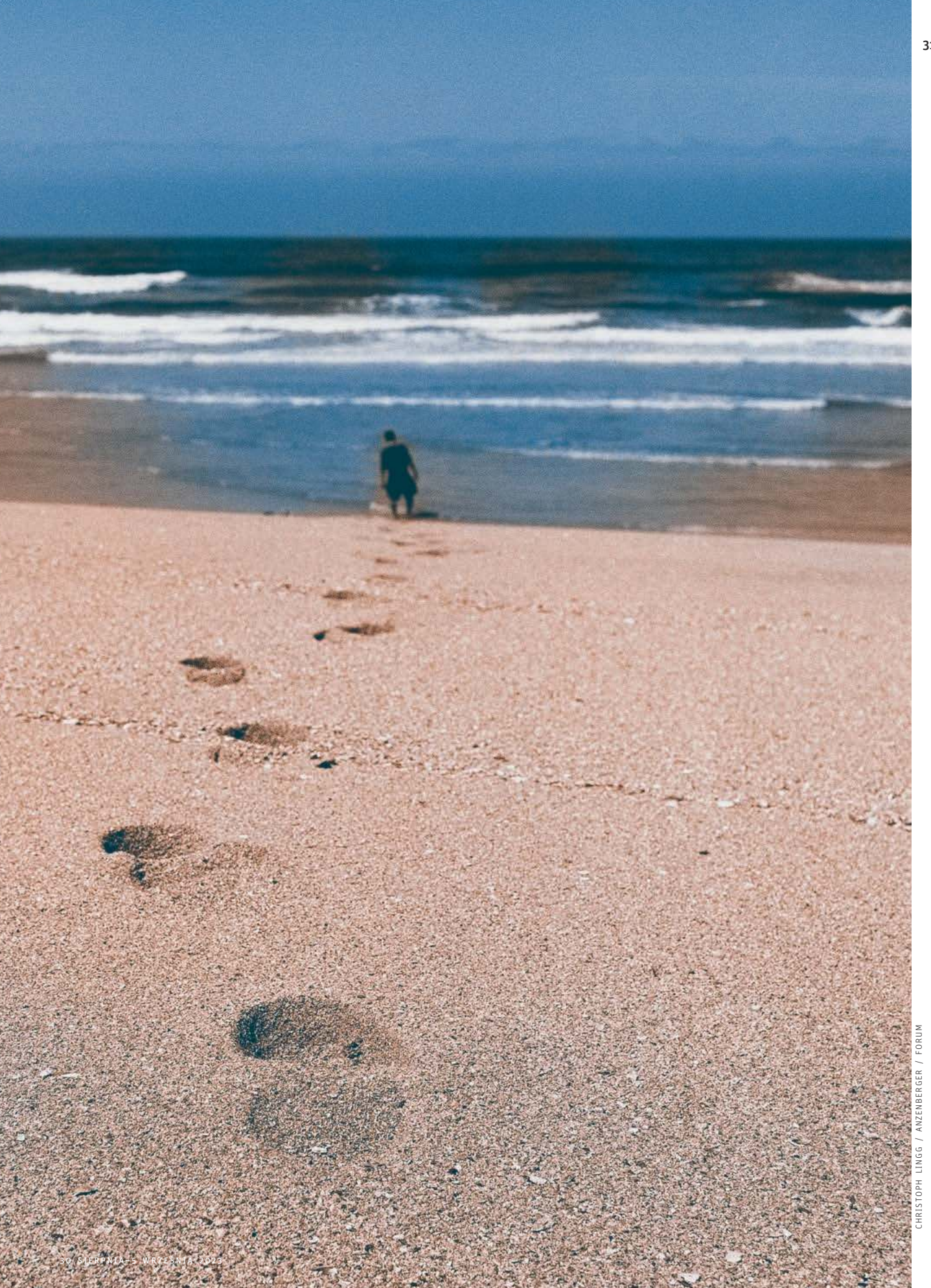

CHRISTOPH LINGG / ANZENBERGER / FORUM

Poczucie wstydu

– Żeby mówić o przestępstwie pedofilii, należałoby najpierw stwierdzić, czy było to intencjonalne zachowanie księdza w stosunku do osoby małoletniej – mówi ks. Jacek Prusak, psychoterapeuta zaangażowany m.in. w pracę jezuickiego Centrum Ochrony Dziecka w Krakowie. – Kobieta twierdzi, że tak było w stosunku do jej córki, ale policja tego nie potwierdziła. Ksiądz przyznał się do nieobyczajnego zachowania na plaży, ale to nie jest dowód na pedofilię. Nawet jeżeli córka widziała jego zachowanie, była razem z matką, mogła zresztą z powodu wieku nie rozumieć, co się dzieje. Ten ksiądz nie miał bezpośredniego kontaktu z osobą małoletnią, więc nazwanie go pedofilem nie miało uzasadnienia.

Ks. Prusak zauważa, że matka dziewczynki miała prawo zgłosić sprawę na policję i z niego skorzystała. – Miała też prawo, z którego nie skorzystała, zgłosić sprawę do organów kościelnych [do Inspektorii Salezjańskiej w Pile, której ksiądz podlegał, sprawę zgłosili dziennikarze, w wyniku czego rozpoczęła ona postępowanie wyjaśniające – red.].

– Nie miała prawa natomiast – kontynuuje psychoterapeuta – upubliczniać jego wizerunku. Ani też, podobnie jak radna szczecińska, ujawniać danych personalnych księdza.

Czy to mogło doprowadzić do samobójstwa?

– Wstyd jest najbardziej toksyczny z wszystkich emocji – zauważa ks. Prusak. – Gdy zrobisz coś złego, masz poczucie winy. Poczucia wstydu doświadczasz wtedy, gdy uznasz siebie, albo ktoś cię uzna, za złego. W języku polskim o tym doświadczeniu mówimy: „zapadłbym się pod ziemię". Ów ksiądz nie mógł „zapaść się pod ziemię", bo wszyscy wiedzieli, kim jest. On już nie mógł się publicznie ukryć.

Uczucie wstydu rozpalić mogło oskarżenie o pedofilię. – Są badania pokazujące, że na hasło „pedofil" ludzie mają bardzo niską tolerancję w powstrzymaniu negatywnych emocji i chęci karania – tłumaczy psychoterapeuta. – W społeczności więziennej pedofile są traktowani w najbardziej brutalny sposób przez innych więźniów. A z badań opinii publicznej wiemy, że ludzie są gotowi bardzo surowo karać pedofilów bez uwzględniania kontekstu ich zachowania. Wiemy też, jaka dzisiaj jest wrażliwość społeczna na hasło „ksiądz pedofil".

Słowo „pedofilia" zaczęło być w dyskursie społecznym nadużywane, co ostatecznie zaciera wagę rzeczywistego problemu, który opisuje.

Ks. Prusakowi wtóruje s. Barbara Chyrowicz, etyczka z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: – Kobieta, ujawniając zdjęcie księdza i oskarżając o pedofilię w obecnym klimacie, jaki panuje wokół pedofili duchownych, spowodowała śmierć cywilną tego człowieka. Można domniemywać, choć nie jesteśmy tego w stanie stwierdzić, że on tego nie zniósł i popełnił samobójstwo. Mógł wyobrazić sobie, że będzie musiał walczyć z oskarżeniem pedofilii, że i tak stracił dobre imię i społeczną pozycję, że straci pracę w szkole, zostanie usunięty z parafii, że jest skompromitowany wśród przyjaciół i bliskich i po prostu tego nie zniósł.

– Nie wiemy, czy to zachowanie było jednostkowe, czy ów ksiądz miał na sumieniu inne rzeczy i bał się, że przy okazji tej sprawy wyjdą na jaw także tamte. W każdym razie mógł stwierdzić, że został tak silnie społecznie naznaczony, iż jego kariera jako księdza jest przegrana. Gdyby natomiast jego problematyczne zachowanie wynikało z jakichś problemów psychicznych, mógł nie mieć zasobów, żeby z taką stygmatyzacją społeczną poradzić sobie w inny sposób niż przez odebranie sobie życia. Zauważmy, że on się nie wyparł swojego zachowania na plaży. I tym się już różni od przeciętnego pedofila, który by temu zaprzeczył – dopowiada ks. Prusak.

Nie znając sytuacji księdza, nie możemy twierdzić, że samobójstwo było nieuchronne. – Mogło mu się wydawać, że nie może wrócić, bo społeczność go odrzuci. I prawdopodobnie tak by było – zauważa ks. Prusak. – Jego obecność byłaby związana z publicznym zgorszeniem. Ale mógł skorzystać z zasobów i wsparcia instytucji Kościoła. Nie chodzi o to, żeby zamiatać tę sprawę pod dywan. Zakon powinien był mu pomóc rozpoznać, co to było za zachowanie, co za nim stoi i jakiej pomocy psychologicznej potrzebował.

S. Chyrowicz: – Myślę, że on to zrobił w ogromnym wzburzeniu, pod wpływem rozpaczy. Gdyby poczekał, ochłonął, może dałby sobie pomóc. Według mnie to był człowiek przerażony. Być może nie miał w zgromadzeniu przyjaciół. Dzisiaj nikt nie chce w zakonach skompromitowanych ludzi, bo oni ciągną wspólnotę w dół.

Psychoterapeuta dodaje: – Ten ksiądz miał prawo, by oceniał go profesjonalista, a nie polityk czy osoba, która nie rozróżnia problematycznych zachowań seksualnych, wszystko nazywając „pedofilią".

Tragedia

Mimo niepełnego wglądu to, co jest wiadome, upoważnia do jednoznacznej oceny. I tu oboje eksperci są jednomyślni.

– Doszło do podwójnego samosądu: najpierw dokonanego przez matkę dziecka, która oskarżyła księdza o pedofilię, ujawniając jego wizerunek, a potem dokonanego przez polityczkę, która wykorzystała niesprawdzoną informację i nadała jej rozgłos, wspierając autorytetem osoby publicznej, dodatkowo ujawniając dane wrażliwe dotyczące mężczyzny. W ten sposób dokonała się publiczna stygmatyzacja – przekonuje ks. Prusak.

– Nawet kiedy się w nas budzi słuszny gniew na czyjeś zachowanie, emocje powinniśmy miarkować, a w tym przypadku mamy do czynienia z formą linczu. Kobieta sama wymierzyła karę. Nie było żadnego dowodu, że ksiądz był pedofilem – mówi Chyrowicz. – Gniew jest tak długo słuszny, dopóki jest proporcjonalny do zawinienia.

Niełatwo jest jednak miarkować emocje i mierzyć czyny. Etyczka z KUL przyznaje, że nie da się tu stosować precyzyjnej normy. Odwołuje się do roztropności – starożytnej cnoty etycznej, która nakłada na nas obowiązek odnajdywania właściwej proporcji reakcji w stosunku do rzeczywistości w danej sytuacji.

Jednocześnie s. Chyrowicz przypomina o obowiązku walki z pedofilią: – Jak najbardziej ujawniajmy przypadki pedofilii w Kościele, ale znajdźmy miarę w samodzielnym ocenianiu tych przypadków. Tym bardziej że jeśli dzisiaj wpuścimy do internetu jakąś informację, to ona tam już zostanie, nie da się jej wycofać. Wiąże

się z tym ogromna odpowiedzialność. Wspomniana kobieta nie poczekała, ksiądz też nie poczekał. Dla mnie to wydarzenie ma wymiar tragedii: tragedii człowieka, który popełnił błąd, ale w ogólnym klimacie demaskowania pedofilii został ukarany w sposób, którego nie uniósł.

Lekcja

Pytany o wnioski ks. Prusak odpowiada: – Nie lekceważmy destrukcyjnej, a często autodestrukcyjnej roli wstydu.

S. Chyrowicz zauważa: – Ludzie popełniają błędy, ale nie od razu zasługują na społeczne potępienie. Spotykam się na co dzień w życiu społecznym z kłamstwem i oszustwem i ci ludzie nie są piętnowani, a przecież społeczna szkoda ich działań jest bez porównania większa niż publiczne zachowanie mężczyzny, który nie mógł sobie poradzić z własnym popędem. Bo generalnie wciąż nie potrafimy poradzić sobie z odpowiednią oceną kwestii związanych z seksualnością – albo są oceniane zbyt łagodnie, albo zbyt rygorystycznie, a nie w sposób proporcjonalny do ich rzeczywistego znaczenia.

Etyczka przypomina także o miłosierdziu wobec bliźniego, który popełnia błędy i przyznaje się do nich. – Tym bardziej że sami bezgrzeszni nie jesteśmy.

Zatem wydarzenia z plaży w Świnoujściu, których efektem była śmierć księdza, powinny być dla nas pretekstem do refleksji nad odpowiedzialnością za słowo w przestrzeni publicznej. Powinno też niepokoić nas, że słowa „pedofil/pedofilia" zaczęły w dyskursie społecznym być nadużywane, co ostatecznie zaciera wagę rzeczywistego problemu, który opisują.

Ciąg dalszy

Czy te wnioski mają szansę realizacji? Sprawa księdza z plaży już ma dalsze polityczne reperkusje. Jak podała szczecińska „Gazeta", „znany z inicjowania hejtu i tropienia rzekomej christianofobii szczeciński radny Suwerennej Polski Dariusz Matecki już grozi, że ci, którzy »zaszczuli księdza ze Szczecina, odpowiedzą karnie«".

Piłeczka znalazła się po drugiej stronie. Jak długo potrwa rozgrywka ping-ponga?

©℗ ARTUR SPORNIAK

IPA / ABACA / FORUM

Prałat Opus Dei ks. Fernando Ocáriz Braña (pierwszy z lewej) na prywatnej audiencji u papieża Franciszka, Watykan, listopad 2021 r.

Czy koniec zwieńczy dzieło

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Wieści o śmierci Opus Dei są przesadzone. Ale czy ostatnie decyzje papieża ograniczą jego wpływy w Kościele i świecie?

Prałatura personalna Opus Dei *de facto* przestała istnieć i straciła członków świeckich" – przekonuje na łamach włoskiego portalu „Settimana News" włoski teolog ks. Giancarlo Rocca. Podobnymi sugestiami sypią komentatorzy z konserwatywnych nurtów Kościoła.

Odpowiedź samego Opus Dei jest o wiele ostrożniejsza. „Zmiany, które proponuje papież, nie są aż tak radykalne. Prałatura Opus Dei nadal istnieje i będzie istnieć oraz spełniać swoją misję w wierności temu charyzmatowi, jaki przekazał nam Założyciel, pozostaje też prałaturą personalną, a nie stowarzyszeniem kleryckim" – komentuje w rozmowie z KAI ks. Stefan Moszoro-Dąbrowski, wikariusz regionalny Opus Dei na Europę Środkową i Północną. Przełożony tej instytucji wzywa zaś do „synowskiego posłuszeństwa" decyzjom papieskim. „Proszę Was, żebyśmy byli wszyscy bardzo zjednoczeni także w tej postawie. Naśladujemy w ten sposób ducha, z jakim św. Josemaría i jego następcy ↦

↦ przyjmowali wszystkie rozporządzenia Ojca Świętego związane z Opus Dei. Skoro Dzieło jest Boże i jest częścią Kościoła, to Duch Święty prowadzi nas nieustannie" – napisał prałat (przełożony) Opus Dei ks. Fernando Ocáriz.

Jak zatem jest? Opus Dei to jedna ze sztandarowych instytucji „archipelagu ortodoksji" (by rozszerzyć rozumienie terminu, którym Paweł Milcarek określał zwolenników linii Jana Pawła II i Benedykta XVI w polskim Kościele) i przykład „wiosny Kościoła". A także organizacja, która w popkulturze (nie tylko za sprawą Dana Browna) i w mediach uchodzi za współczesną katolicką wersję masonerii, działającą na granicy moralności. Czy przestanie ona istnieć w dotychczasowym kształcie? Czy Franciszek, tak jak jego poprzednik Klemens XIV, który skasował zakon jezuitów, uległ duchowi świata i uznał, że „katolicka masoneria" nie powinna istnieć? Czy za kolejnymi decyzjami prawnymi stoją „ciemne siły", które nie chcą odrodzenia konserwatywnego katolicyzmu i niszczą wszystkie przyczółki, które mogłyby być przeciwne kontynuacji linii Franciszka? I jak to możliwe, że rzekomo wszechpotężna organizacja nie jest w stanie zatrzymać zmian, które zagrażają jej statusowi?

Garnitur szyty na miarę

Aby odpowiedzieć na te pytania, konieczne jest uświadomienie sobie, czego dotyczą dokonujące się już od ponad roku zmiany. Dzieło miało od 1982 r. nadany przez Jana Pawła II, absolutnie wyjątkowo, status prałatury personalnej. Co on oznacza? „Prałatura niewiele odbiega od diecezji, ale jej granice wynikają raczej z umowy niż z geografii. Kieruje nią prałat, zazwyczaj biskup. Przynależność do prałatury nie oznacza wyjęcia katolika spod władzy właściwego diecezjalnego biskupa (...). W sprawach, które dotyczą wszystkich katolików, członkowie Opus Dei podlegają lokalnym biskupom (...) Jurysdykcja prałata dotyczy w zasadzie tylko wewnętrznych spraw organizacji. Członkowie wyrażają zgodę na jego zwierzchnictwo w tych dziedzinach, w których inni katolicy mają swobodę decyzji" – wyjaśnia amerykański watykanista John L. Allen Jr w książce „Opus Dei".

Ta prawna specyfika sprawiała, że Dzieło mogło być traktowane jako instytucja katolicka, skupiająca księży niezakonnych i świeckich (numerariuszy i numerarii, czyli mężczyzn i kobiet żyjących w celibacie w ośrodkach wspólnoty, jak i pozostających w małżeństwach supernumerariuszy), która nie jest ani zgromadzeniem zakonnym, ani instytutem świeckim. Ten model prawny sam założyciel Opus Dei Josemaría Escrivá de Balaguer określał mianem „garnituru szytego na miarę". Powstawał on przez wiele lat, bowiem nie od razu udało się znaleźć zasady, które umożliwiałyby kanoniczne ujęcie Dzieła, które miało początek w mistycznym przeżyciu młodego hiszpańskiego duchownego. 2 października 1928 r., podczas ośmiodniowych rekolekcji odbywanych w domu zakonnym księży misjonarzy w Madrycie, Escrivá miał otrzymać „wizję Dzieła jako całości". Jaki charakter miało to przeżycie, trudno ustalić, bo sam Josemaría nie wchodził nigdy w szczegóły.

Kłopot z tą wizją, ale także z planami Escrivy, był jednak taki, że nie istniało w Kościele prawo mogące być wyrazem zupełnie nowego sposobu życia. Nie potrafił tego rozwiązać ani założyciel Opus Dei, ani nawet biskup madrycki, z którym od początku konsultował wszystkie decyzje. Ostatecznie w 1941 r. uznano nową instytucję za „stowarzyszenie pobożne". „W wyniku rozmów z Josemarią stało się dla mnie jasne, że Opus Dei nie było w żaden sposób zgromadzeniem zakonnym. Josemaría nigdy nie myślał o pójściu tą drogą. Nie czynił żadnych prób w tym kierunku i wyraźnie odrzucał takie rozwiązanie. Dlatego, jeśli nie było to i nie mogło być zgromadzeniem zakonnym, jedyną otwartą drogą w ówczesnej kanonicznej strukturze były stowarzyszenia wiernych świeckich. Biorąc pod uwagę różne formy tych stowarzyszeń, było jasne, że Opus Dei nie mógł być trzecim zakonem czy konfraternią: stąd jedyną możliwością, jaka pozostała, było stowarzyszenie pobożne" – pisał późniejszy kardynał Bueno Monreal, wtedy prokurator w madryckiej kurii.

Ten model szybko okazał się niewystarczający, bowiem od początku Escrivá chciał do nowego bytu dołączyć księży, którzy poświęciliby się wyłącznie służbie świeckich członków dzieła. To dlatego w 1943 r. powołano Stowarzyszenie Kapłańskie Świętego Krzyża, które skupiać miało księży niezakonnych, ale żyjących charyzmatem Opus Dei i służące ludziom świeckim, którzy się wedle niego formowali. Rozwiązanie to oddzielało jednak świeckich od duchownych i nie pozwalało zachować jedności życia, stąd podjęto starania o kolejne zmiany. I tak w 1947 r. Opus Dei zostało Instytutem Świeckim na prawie papieskim. Ale i to rozwiązanie nie było zdaniem Escrivy odpowiednim, bowiem zależność od Kongregacji ds. Zakonów oraz parazakonna forma życia instytutów świeckich przesłaniać miały zasadniczą intencję Opus Dei, jakim było prowadzenie życia świeckiego, a nie zakonnego. Tyle że takiej możliwości nie przewidywało prawo kanoniczne.

Zmienić to miał dopiero Sobór Watykański II, podczas którego zapowiedziano możliwość powoływania prałatur personalnych. To właśnie takie rozwiązanie miało być zdaniem Escrivy „garniturem szytym na miarę". W kolejnych latach podejmowano więc kolejne działania, studia, rozmowy, debaty prawne, by wreszcie 28 listopada 1982 r. ustanowić Konstytucją Apostolską „Ut sint" Opus Dei prałaturą personalną.

Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 r. regulował powoływanie prałatur w kanonach 294-297. Jednak Franciszek swoimi kolejnymi decyzjami ów „garnitur na miarę" rozerwał i nakazał jego uszycie na nowo. Rok temu za sprawą listu apostolskiego „Ad charisma tuendum" pozbawił Dzieło własnego biskupa i przeniósł jego umocowanie prawne z Dykasterii ds. Biskupów do Dykasterii ds. Duchowieństwa. Decyzje z 8 sierpnia tego roku, które likwidują w Kościele prałatury personalne, oznaczają zaś, że Opus Dei musi na nowo określić swój prawny status.

Początek końca?

Co będzie musiało się zmienić? To wcale nie jest jasne, ale wiele wskazuje na to, że Franciszek chciał jeszcze mocniej pokazać, że świeccy członkowie Opus Dei podlegają wyłącznie swojemu lokalnemu biskupowi. Księża zaś zorganizowani będą w publiczne zgromadzenie, podporządkowane prałatowi, by wypełniać misyjne i duszpasterskie zasady. Problem w tym, jak to przełożyć na praktykę życia Opus Dei. Tak się składa, że jej członkami, mieszkającymi w ośrodkach Dzieła, są nie tylko księża, ale także świeccy. To numerariusze i numerarie żyjący w celiba-

Czarny PR

Fatalna opinia o Opus Dei, której popkulturowym wyrazem stała się powieść Dana Browna „Kod Leonarda da Vinci", ma swoje źródła w zarzutach, które przez lata formułowano wobec stowarzyszenia.

TAJNOŚĆ – zarzut sformułowany już w pierwszych latach działania Opus Dei przez generała jezuitów o. Włodzimierza Ledóchowskiego, który uważał Dzieło za szkodliwe dla Kościoła z powodu „zamaskowanego dążenia do dominacji", a jego członków uznał za „chrześcijańską masonerię".

INTEGRYZM – zarzut sformułowany przez Hansa Ursa von Balthasara, który uznał Opus Dei za jeden z najgroźniejszych przykładów katolickiego fundamentalizmu.

UŚWIĘCANIE KAPITALIZMU – młody Escrivá był pod wpływem hiszpańskiego prawicowego polityka i myśliciela Ramira de Maeztu, twórcy idei „nacjonalkatolicyzmu" i zwolennika kultu pracy, która przynosi bogactwo – indywidualne i instytucjonalne, uważane za cnotę religijną.

FRANKIZM – poparcie dla gen. Franco podczas wojny domowej zaowocowało błyskotliwymi karierami działaczy Opus Dei po przejęciu władzy przez dyktatora – obejmowali katedry uniwersyteckie i funkcje w urzędach, wielu weszło pod koniec lat 50. do tzw. rządu technokratów. Choć nie było nakazu politycznego wsparcia reżimu, niewielu było wśród członków Opus Dei przedstawicieli antyfrankistowskiej opozycji.

WPŁYWY W WATYKANIE – trzy dekady pobytu Escrivy w Rzymie zaowocowały przyjaźniami z wpływowymi przedstawicielami kurii, którzy skutecznie lobbowali na rzecz Dzieła. Jednym z efektów było przyznanie stowarzyszeniu statusu prałatury osobistej Ojca Świętego w 1982 r.

©℗ EA

cie i stanowiący około 30 proc. wszystkich członków, kierują ośrodkami, prowadzą formację duchową supernumerariuszy, z nich wreszcie wybierani są i formowani duchowni. Ich rola jest w Dziele niezwykle istotna, więc prawne ich pominięcie demoluje funkcjonowanie i życie Opus Dei.

Czy rzeczywiście może być to krok do jakiejś formy kasaty Dzieła? A może chodzi tylko o uporządkowanie sytuacji prawnej? Jak sądzę, obie te hipotezy są nieprawdziwe. Franciszek, choć wśród jego współpracowników w Kurii Rzymskiej są przecież także duchowni i świeccy z Opus Dei, chce, jak się zdaje, ujednoznacznić to, kto jest kim w Opus Dei, a także bronić realnej świeckości jego członków. Jeśli bowiem coś, przynajmniej dla zewnętrznych obserwatorów (ale także dla części z kanonistów) pozostaje niejasne, to właśnie status numerariuszy i numerarii w Opus Dei. Z perspektywy Dzieła są to osoby świeckie, wykonujące pracę zawodową, żyjące w celibacie apostolskim i w całkowitej dyspozycyjności do zadań, jakie stawia przed nimi Prałatura. Czy zatem można ich życie określić mianem świeckiego? Czy ich dyspozycyjność, a także posłuszeństwo wobec innych odpowiedzialnych w Dziele, nie sprawia, że są oni w istocie osobami konsekrowanymi? Franciszek, likwidując poprzedni model kanoniczny Dzieła, wymusza na jego członkach ponowne przemyślenie nie tylko własnej struktury, ale i charyzmatu.

A jest to tym istotniejsze, że w ostatnich latach wokół modelu życia numerarii (szczególnie tzw. numerarii pomocniczych, czyli kobiet, które prowadzą domy, gotują, sprzątają w ośrodkach zarówno żeńskich, jak i męskich) narasta szereg poważnych wątpliwości. W Argentynie, której sprawy Franciszek zna najlepiej, już w 2021 r. 41 latynoskich kobiet oskarżyło Opus Dei o wykorzystywanie ich pracy, brak wynagrodzenia, religijny przymus i okłamywanie. Jedna z nich, Lucía Giménez, została zachęcona do wstąpienia do Opus Dei w wieku 14 lat. Od razu zdecydowała się na życie numerarii pomocniczej, bo obiecano jej także zdobycie wykształcenia. Jednak zamiast tego – jak wspominała w rozmowie z Associated Press – uczono ją gotowania, sprzątania, prac domowych, aby mogła służyć w rezydencjach i domach spokojnej starości Opus Dei. Lucía przez 18 lat pracowała w ten sposób przez 12 godzin dziennie, z przerwami jedynie na posiłki i modlitwę. „Nigdy nie widziałam pieniędzy w rękach" – opowiada. „Nie dają ci czasu na przemyślenie, na krytykę i powiedzenie, że ci się to nie podoba. Musisz wytrwać, bo musisz całkowicie poddać się Bogu" – wspomina kobieta. Żadna z 41 kobiet nie była ubezpieczona, żadna nie otrzymywała wynagrodzenia.

W odpowiedzi organizacja powołała własną komisję śledczą, która – co ciekawe – wcale nie odrzuca wszystkich oskarżeń. „Być może kobieta prowadząca akademik, w którym mieszkały numerarie pomocnicze, miała wspólną kasę i stamtąd pokrywała wszystkie wydatki" – powiedziała dziennikowi „La Nación" Catalina Maria Donnelly z argentyńskiego Opus Dei. „Dzisiaj jest to niezrozumiałe" i zostałoby uznane za „źle zrobione, ale wtedy robiono to tak, jak to robiono w rodzinach" – dodała Donnelly.

Opowieść numerarii pomocniczych z Argentyny pozwala postawić pytanie, czy rzeczywiście można powiedzieć, że kobiety te żyły życiem świeckim? Czy ten model nie był jednak stylem życia zakonnego? Odpowiedź Opus Dei będzie jednoznaczna: nic bardziej błędnego. Numerarie pomocnicze prowadzą świeckie życie kobiet, które – choć w celibacie – spełniają swoje powołanie, wykonując prace pomocnicze w ośrodkach. „Numerarie pomocnicze – szczególne powołanie do umacniania więzi rodzinnych w Opus Dei" – można przeczytać na stronach Dzieła. Pytanie, które ciśnie się jednak na usta osobie spoza Dzieła, brzmi: czy nie jest to piękne teologiczne uzasadnienie wykorzystywania pracy kobiet? Czy tych samych zadań nie mogliby w swoich ośrodkach wypełniać sami mężczyźni? Świecki żyjący w celibacie w świecie zazwyczaj nie ma sprzątającej mu i gotującej numerarii pomocniczej, a jeśli kogoś takiego potrzebuje, to za pracę płaci. ↦

↦ Na to nakłada się jeszcze jedno istotne pytanie: czy rzeczywiście do Opus Dei dotarło równouprawnienie i emancypacja kobiet? Nigdzie bowiem nie ma mowy o numerariuszach pomocniczych, którzy mieliby za zadanie wykonywać głównie prace fizyczne i „umacniać więzi rodzinne w Opus Dei".

Modlitwa i polityka

Struktura Dzieła i kierowana do członków świeckich zachęta do zaangażowania w życie społeczne i polityczne rodzi, szczególnie po lewej stronie sceny politycznej, pytania o to, na ile członkowie Dzieła są zobowiązani do posłuszeństwa prałatowi, np. w kwestiach wyborczych. Odpowiedź w teorii jest dość oczywista: choć pewna część członków Opus Dei jest zaangażowana w życie polityczne czy gospodarcze, to Dzieło nigdy nie narzuca im kierunku partyjnego. „Opus Dei nigdy nie prowadzi działalności; działają tylko jego członkowie" – mówił Josemaría Escrivá. Członkowie Dzieła we frankistowskiej Hiszpanii mieli wolność wyboru strony politycznej. Jedni zostawali ministrami w rządach reżimowych, inni w latach 60. i 70. angażowali się w działalność opozycji.

Jeszcze lepiej tę wolność polityczną widać było, gdy Stolica Apostolska chciała – przewidując, że reżim generała Franco wkrótce upadnie – stworzyć przy pomocy Opus Dei silną formację chadecką w Hiszpanii. Josemaría Escrivá zdecydowanie wówczas odmówił, wskazując, że nie taka jest rola założonej przez niego organizacji. Dlaczego to zrobił? Odpowiedź możemy znaleźć w wypowiedzi z 1970 r. „Gdyby Opus Dei wdało się kiedykolwiek, choćby na minutę, w rozgrywki polityczne, w tym samym momencie bym je opuścił. Z jednej strony bowiem nasze ośrodki i cele mają zawsze i wyłącznie cel nadprzyrodzony. Z drugiej strony każda jednostka, mężczyzna czy kobieta, ma w sprawach świeckich absolutną, szanowaną przez wszystkich wolność osobistą, a więc tym samym wynikającą z tego logicznie osobistą odpowiedzialność. Jest więc niemożliwe, by Opus Dei wiązało się kiedykolwiek z inicjatywami, które nie mają jednoznacznie duchowej i apostolskiej natury" – wskazywał założyciel Opus Dei.

> Franciszek, likwidując dotychczasowy model kanoniczny Opus Dei, **wymusza na jego członkach ponowne przemyślenie** nie tylko własnej struktury, ale i charyzmatu.

Prawdziwość tych słów można dostrzec także w polskiej polityce i życiu społecznych, choć w naszym kraju Opus Dei nigdy nie odniosło sukcesu porównywalnego choćby z innym hiszpańskim ruchem, jakim jest Droga Neokatechumenalna. Supernumerariuszem Opus Dei jest np. Roman Giertych, polityk opozycji, doradca i adwokat Donalda Tuska, ale jest nim także numerariusz i wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski z Suwerennej Polski. Kto jeszcze? Media wspominają o pośle PiS-u Jerzym Polaczku, a także o kilku dziennikarzach, ale funkcjonują także całe „listy członków Opus Dei", na których znaleźć można każdego, kto ma choćby minimalnie prawicowe poglądy i przyznaje się do Kościoła.

Prawdy w tym jednak jest niewiele, bowiem bycie członkiem Opus Dei jest trudne, czasochłonne i wymagające, także w roli supernumerariusza. Wielu na spotkaniach Opus Dei się pojawia, wielu ogrzewa się w cieple prowadzonych przez Dzieło szkół, ale niewielu wstępuje. Z własnego doświadczenia (bo i ja, choć nigdy członkiem Opus Dei nie byłem, to korzystałem z jego formacji) mogę zaś powiedzieć, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie słyszałem, by prowadzący spotkania formacyjne ksiądz wygłaszał opinie polityczne lub wskazywał, na kogo głosować. I dotyczy to także księży, którzy zanim zdecydowali się na drogę kapłańską, byli świeckimi zaangażowanymi w życie polityczne (jak ks. Damian Pukacki, w młodości związany z Młodzieżą Wszechpolską). Tego typu działania nie wchodzą w grę.

Czy to oznacza, że członkowie Opus Dei nie mają poglądów politycznych? To też byłaby nieprawda. Mają, i to często konserwatywne (choć nie zawsze, by wymienić tylko Ruth Kelly, brytyjską polityczkę z Partii Pracy), w Polsce bliższe zapewne prawicy niż lewicy. Wynika to jednak raczej ze specyfiki modelu życia religijnego, jaki jest prezentowany w Opus Dei, z typowego dla tej organizacji rozdziału kobiet i mężczyzn, a nie z przymusu polityczno-partyjnego. Jednak zaangażowanie członków raczej po stronie prawicowej nie buduje zaufania Franciszka do tej akurat formy pobożności. I choć papież spotyka się z prałatem i dziękuje mu za działalność członków Dzieła, to bez ryzyka większego błędu można stwierdzić, że bliższe są mu inne ruchy, metody zaangażowania i style pobożności.

Jak się zdaje, Franciszek chciałby też, aby Opus Dei bardziej jednoznacznie oddzieliło przestrzenie zaangażowania świeckich od zaangażowania osób, które choć określane są mianem świeckich, *de facto* prowadzą życie konsekrowane. Ich zaangażowanie polityczne, nawet jeśli kanonicznie nie jest nadużyciem, często idzie na konto Kościoła, a tego papież z Argentyny, który doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jakie koszty za takie powiązania się płaci, chce uniknąć. I sądzę, że dlatego zdecydował się na kolejne kroki prawne.

Nie oznacza to jednak ani kasaty, ani też utraty znaczenia. Opus Dei prowadzi bowiem nie tylko świetne uniwersytety (Santa Croce w Rzymie i Uniwersytet Navarry), ale także wiele szkół, instytucji szkoleniowych, kursów, dzięki którym ludzie przychodzą do Kościoła. Z tego Franciszek ani kuria rzymska rezygnować nie zamierzają. © TOMASZ P. TERLIKOWSKI

POŻEGNANIE

Beacie Stelmach

wyrazy najgłębszego współczucia po śmierci

Ojca

SKŁADAJĄ

ANTONINA Z MARKIEM I JOANNA Z JANUSZEM

Beata, myślami jesteśmy z Tobą

Siedemdziesiąt imion Boga

MARCIN MAJEWSKI

Osobowość objawiającego się w Biblii Stworzyciela jest o wiele bogatsza od stereotypu surowego sędziego.

DOMENA PUBLICZNA

Dirk Bouts Starszy (prawdopodobnie), Mojżesz i krzew gorejący, ok. 1460-1475 r., Muzeum Sztuki w Filadelfii

Mojżesz zapytał Głos, który usłyszał na górze Synaj: „Dobrze, pójdę do Izraelitów (...) Lecz gdy oni mnie zapytają, jakie jest Jego imię, to cóż mam im powiedzieć?" (Wj 3, 13; cytaty biblijne w przekładzie własnym). Pytanie o imię Boga jest kluczowym pytaniem objawienia w krzewie gorejącym. W kulturze semickiej poznaje się poprzez imię. Imię to nie tylko kategoryzacja czy odróżnienie. Imię posiada rzeczywisty mistyczny związek z osobą je noszącą. Jeśli je znamy – wiemy coś specyficznego, wręcz sekretnego o tej osobie.

Stąd nic dziwnego, że w judaizmie czasów biblijnych i pobiblijnych rozwinęło się wiele tradycji poszukiwania imion Boga i ich interpretacji. Biblia wymienia przynajmniej kilkanaście imion Jedynego. Wiele dodaje literatura rabiniczna, a jeszcze więcej żydowscy mistycy. Jak napisał Gershom Scholem, badacz żydowskiego mistycyzmu: „W ostateczności cała Tora jest niczym innym jak jednym wielkim i świętym Imieniem Boga". Według tej optyki niemal każde słowo i każdy czyn Boga są formą Jego autoprezentacji i w związku z tym można odnaleźć w nich kolejną emanację Bożego imienia. Tradycja biblijna staje się źródłem, które emituje niepoliczalną wręcz obfitość imion i określeń Jedynego.

W Wielkim Midraszu do Księgi Wyjścia z około XI w. n.e. czytamy: „Święty powiedział: Chcecie poznać moje imię? Nazywam się zgodnie z moimi uczynkami. Kiedy osądzam stworzenia, jestem Elohim, a kiedy okazuję miłosierdzie mojemu światu, nazywam się Adonaj Jhwh" (Exodus Rabba 3, 6). Te słowa dobrze oddają prawdę, iż Bóg Biblii – choć jeden i ten sam – ma wiele oblicz, które można ująć za pomocą kolejnych zawołań.

Poznając Boże imiona, lepiej poznajemy Niepoznawalnego, wchodzimy w bardziej bezpośredni z Nim kontakt, jako że odzwierciedlają one Jego charakter i osobowość. Reprezentują hebrajską koncepcję boskiej natury i stosunku Boga do Jego ludu. Wyrażają Bóstwo Najwyższe i Jego zasadnicze atrybuty. Każda nowa manifestacja Bożej troski czy Bożego panowania może dać początek nowemu imieniu. Rozważanie Jego imion to szczególna forma pobożności, która prowadzi nie tylko do lepszego poznania Boga, ale i do bliższej relacji.

Imię, czyli Obecność

W Księdze Wyjścia Bóg zapewnia: „Oto Ja posyłam przed tobą anioła, aby cię strzegł w drodze i doprowadził do miejsca, które ci przeznaczyłem. Szanuj go i słuchaj jego głosu. Nie sprzeciwiaj się mu w niczym (...) bo imię Moje jest w nim" (Wj 23, 20-21). Cytat ten daje do zrozumienia, że imię Boże jest równoznaczne z Jego obecnością i Jego mocą. Wymówić imię Boga to stanąć w Jego obecności. Przeczytać Jego imię to spotkać się z Nim. Tu ma swoje korzenie rozbudowana doktryna o świętości i niewymawialności imienia Boga – zwłaszcza nadaremno, do czczych rzeczy czy do praktyk magicznych.

Starożytni, wierząc w moc imienia Bożego, które utożsamia się z Jego obecnością i potęgą, niejednokrotnie używali go do zaklęć, wróżbiarstwa czy przysiąg. Poskutkowało to zakazem, który znalazł się w Dekalogu jako jedno z najważniejszych obostrzeń Tory: „Nie będziesz wzywał ↦

↦ imienia Pana, twojego Boga, do czczych rzeczy, gdyż Pan nie pozostawi bez kary tego, który wzywa Jego imienia do czczych rzeczy" (Wj 20, 7). Moment kodyfikacji tej zasady jest wyraźną cezurą, od której zacznie się pogłębiać proces tabuizacji Bożego imienia.

Siedem imion Boga

Judaizm wręcz uważa pewne imiona Boga za tak święte, że raz zapisane nie powinny być wymazywane czy niszczone. Taki szczególny status ma w judaizmie siedem imion Boga: El, Elohim, Adonaj, Jhwh, Ehje-aszer-Ehje, Szaddaj i Cewaot (Sabaot). Wymagają one szczególnej troski skryby, a w pisowni i wymowie są często zastępowane innym słowem: np. „ha-Szem" („to Imię") zamiast Jhwh, „Elokim" zamiast Elohim czy „B-g" zamiast Bóg (po ang. „G-d" zamiast God). Już w starożytnych targumach, czyli tłumaczeniach czy bardziej adaptacjach Biblii hebrajskiej na język aramejski, formę Jhwh zastępowano np. dwiema jotami z „waw" ponad nimi.

Oprócz powyższych imion w Biblii znajduje się wiele zawołań Boga, które zdradzają coś z Jego natury. Autorzy biblijni lubią np. nazywać Boga „Skałą": „Bo któż jest Bogiem, jeśli nie Pan? Któż jest Skałą, jeśli nie nasz Bóg?" (2 Sm 22, 32; por. też Ps 94, 22; Pwt 32, 4; 1 Sm 2, 2; Iz 44, 8 itd.). W czasach, gdy nie było dynamitu i metalowych wierteł, skała uchodziła za materiał niezwykle odporny i trwały, symbolizujący niewzruszony fundament. Bóg-Skała jest dla człowieka bezpieczną przystanią, najpewniejszą pomocą i niezachwianym odniesieniem. Skała jest miejscem zbawienia, a więc ratunku w powodzi nieszczęść – a nadzieja w Niej pokładana jest niezachwiana (Ps 18, 3). Jezus zapożycza to starotestamentowe imię Boga i każe uczniom budować na skale, czyli na sobie: „Każdy więc, kto słucha słów moich i wypełnia je, jest jak człowiek mądry, który dom swój zbudował na skale" (Mt 7, 24).

Imię Boże może być w Biblii wyrażone wprost, jak w przypadku „Skały", może też być ukryte. W Księdze Sędziów czytamy słowa, które Bóg skierował do Gedeona: „Pokój z tobą" (Sdz 6, 23). A ponieważ kilka wersetów wcześniej słyszymy: „Pan jest z tobą dzielny wojowniku" (Sdz 6, 12) oraz „Ja jestem z tobą" (Sdz 6, 16) – rabini wyciągnęli logiczny wniosek, iż „Pokój" to jedno z imion Boga. Słowo „szalom", znane powszechnie, wyraża ideę kompletności, zdrowia i powodzenia – i oznacza coś więcej niż „spokój" czy „brak wojny". Wyraża sumę dóbr mesjańskich i jest imieniem Pomazańca pańskiego: „Księcia pokoju" (Iz 9, 5).

Słowo to od głębokiej starożytności do dziś jest podstawowym życzeniem, jakie przekazują sobie ludzie na Bliskim Wschodzie. Stało się więc utartym pozdrowieniem tak przy powitaniu, jak i przy pożegnaniu – *szalom czy salam* słychać na ulicach, targach czy w świątyniach. Talmud zastrzega jednak, że skoro Szalom to imię Boga, to nie wolno pozdrawiać drugiego tym słowem w bezbożnych miejscach (traktat Szabat 10b).

Siedemdziesiąt

Te różne zawołania Boga – poza siedmioma wskazanymi wyżej – reprezentują *de facto* Jego atrybuty, z których wiele może być wspólnych dla ludzi, np. Chasid, czyli „Miłosierny" (Jer 3, 12). Rabin Sacha Pecaric, wielki promotor judaizmu w Polsce, wymienia zgodnie z tradycją dokładnie 70 imion Boga („Tora Pardes Lauder. Bemidbar", s. 117-119). Są wśród nich takie zawołania, jak: Echad – Jedyny (Za 14, 9), Adir – Potężny (Ps 93, 4), Emet – Prawda (Wj 34, 6), Erech Apajim – Cierpliwy (Wj 34, 6), Emuna – Ufny (Pwt 32, 4), Baruch – Błogosławiony (Ps 72, 19), Goel – Wykupiciel (Iz 47, 4), Zocher – Pamiętający (Rdz 9, 15), Tehor Ejnajim – Czystych Oczu (Ha 1, 13), Joszew Seter – Przebywający w Ukryciu (Ps 91, 1), Nora – Przerażający (Ps 68, 36) czy Kana – Żądający Wyłączności (Wj 20, 5). Nie brakuje wśród nich i zwierzęcych określeń Jhwh, jak Cwi – Gazela (Pnp 2, 9) czy Ofer – Jeleń (Pnp 2, 9), co jest o tyle zabawne, że judaizm biblijny jak ognia wystrzega się zoomorficznych reprezentacji swojego bóstwa, cechy tak charakterystycznej dla religii Egiptu.

Liczba 70 imion Boga – dziesięciokrotność boskiej liczby siedem – wynika z kilku przesłanek. Najpierw z liczby osób, które wraz z Jakubem przyszły do Egiptu: „Wszystkich razem z rodu Jakuba, którzy przybyli do Egiptu, było siedemdziesiąt osób" (Rdz 46, 27; Wj 1, 5). Następnie taką liczbę starszyzny Izraela ustala Bóg na Synaju: „Wstąpcie do Pana, ty i Aaron, Nadab i Abihu oraz siedemdziesięciu ze starszych Izraela i złóżcie pokłon z daleka" (Wj 24, 1. 9; Ez 8, 11). Niewola babilońska miała trwać 70 lat (Jer 25, 11-12; 29, 10; Za 1, 12; Dn 9, 2), a 70 tygodni to symboliczny okres nastania czasów mesjańskich (Dn 9, 24). Wreszcie odpowiada to 70 imionom, jakie w tradycji żydowskiej nadaje się Izraelowi, i 70 nazwom, jakie nadaje się Jerozolimie – także na podstawie zawołań odnalezionych w Tanachu.

Praktyka poszukiwania imion Boga nie ustała po wyznaczeniu symbolicznej liczby 70 zawołań. Wszak każde odnalezione nowe imię Jhwh to nowy wgląd w Jego naturę czy sposób działania. Poza Biblią (Torą spisaną) utrwaliły się w judaizmie pobiblijnym (Torze ustnej) takie imiona Boga, jak ha-Gewura – Majestat, ha-Makom – Wszechobecność, Baruch-hu – Niech Będzie Błogosławiony, czy po prostu zaimek „Ani" – Ja. Praktyka ta stała się motywacją i zachętą do nieustannego odkrywania, kim jest i jaki jest Bóg Abrahama, Jakuba i Mojżesza.

Z kolei w żydowskiej kabale – szkole duchowego i mistycznego odkrywania znaczenia Tory – mówi się o 72 imionach Boga. Tu jednak podkreśla się mocno Jego niepoznawalność i nieprzeniknioność,

choćby przez używanie imienia Temira de-Temirin – Najbardziej Ukryty z Ukrytych czy Ein Sof – Nieskończony. Oba zawołania wskazują na niepojęty i niewysłowiony charakter boskiego Bytu, który ze swej natury jest niepoznawalny. Liczbę 72 wywodzi się z trzech wersetów z Księgi Wyjścia (14, 19-21). Każdy z nich zawiera 72 litery. Kiedy wersety są czytane naprzemiennie od prawej do lewej i od lewej do prawej dla kolejnych linii, powstają 72 imiona, po trzy litery na każde.

Niewymawialny

Bez wątpienia najważniejszym zawołaniem Boga jest to, które moglibyśmy określić jako Jego imię własne – Jhwh. Celowo piszę sam tetragram – Jhwh – bez wokalizacji. Po pierwsze, z szacunku do wielowiekowej tradycji jego niewymawiania. Po drugie, z przyczyny bardzo praktycznej: by nie utrwalać mylnego wrażenia, iż wiemy, jak je wymówić. Nie znamy wymowy tego słowa. Forma „Jehowa" jest prawie na pewno błędna, a rozpowszechniona dziś forma „Jahwe" jest niewiele bardziej od niej prawdopodobna.

Ilość wariantów i sprzecznych danych, jakie pochodzą ze starożytnych przekładów, które wokalizują to imię, oraz danych wywiedzionych z imion teoforycznych (zawierających cząstkę „Jah", „Jeho", „Jehu", „Jo" itd.) jest wielka. Starożytne świadectwa pisane oraz analizy językowe dają w sumie kilkadziesiąt wariantów wymowy tetragramu – niemal wszystkie z jakimś uzasadnieniem bądź poświadczeniem w źródłach. Jeszcze więcej hipotez zaproponowano, gdy chodzi o znaczenie świętego imienia Jhwh: od tłumaczenia słowa jako „mówiący", „kroczący księżyc", „żarliwy", przez „będący" lub „ten, który powołuje do istnienia", po znaczenia entuzjastycznego okrzyku zaimkowego: „O, Ów" lub onomatopeicznego „Ja-hu!". Najczęściej postrzega się je jako wariację (niewiadomego typu) czasownika „haja", czyli „być", głównie dlatego, iż Biblia zestawia tetragram z czasownikiem „ehje" – „Jestem" czy „ehje aszer ehje" – „Jestem, który jestem".

W judaizmie czasów Jezusa – kiedy to imię Jhwh było już silnym tabu – zaczęto określać je formułą „Szem ha-Meforasz", która oznacza dosłownie „Wyraźne" czy „Dobitne Imię", a opisywać ma wyjątkowość Bożego imienia własnego. Imię to w istocie jest osobliwe. Potem pojawiła się jeszcze inna formuła: „Szem ha-Mejuchad", czyli Imię Wszechjedyne. Dziś najczęściej mówi się po prostu „ha-Szem" – „to Imię", mając na myśli samego Boga.

Bogowie czy Bóg

Kilka imion Boga tworzy się przez połączenie imienia własnego Boga z drugim słowem. Najpopularniejszym takim złożeniem w Biblii jest Jhwh Cewaot (łac. Sabaot), czyli „Jhwh wojsk" czy „Jhwh zastępów". Chodzi tu prawdopodobnie o stare wyobrażenie panteonu pomniejszych bogów (dziś powiedzielibyśmy „aniołów"), które otaczają Jhwh Króla, na wzór ugaryckiego Ila/Ela – ojca bogów, stworzyciela świata i przewodniczącego zgromadzenia bóstw. Inne, bardziej pobożne interpretacje, dostrzegają tu bądź to kosmiczne panowanie Jhwh nad zastępami gwiazd i innych ciał niebieskich, bądź tytuł militarny Pana zastępów wojsk izraelskich.

Imię Jhwh często zestawiane jest także ze słowem „Elohim", tworząc formułę „Jhwh Elohim", po polsku tłumaczoną najczęściej jako „Pan Bóg". Elohim jest chyba drugim najważniejszym imieniem Boga w Biblii. Samo słowo jest w liczbie mnogiej, co wywołuje wśród czytelników Biblii sporą konsternację (ślad politeizmu?). Najczęściej usuwa się ją argumentem, że choć imię Boga – Elohim – występuje w liczbie mnogiej, dosłownie „bogowie", to odpowiadające mu czasowniki i przymiotniki są w liczbie pojedynczej. To wskazuje, że autorowi chodzi o jednego Boga.

W istocie tak jest w większości przypadków. Mamy jednak wiele takich wersetów w Biblii, gdzie słowu „Elohim", odniesionemu do Boga Jhwh, towarzyszą czasowniki i przymiotniki w liczbie mnogiej! Na przykład Jakub spotyka w Betel Boga i z nim rozmawia – tak przeczytamy w większości polskich przekładów (Oz 12, 5). Tymczasem tekst oryginalny, hebrajski, mówi, iż Jakub spotkał w Betel „Elohim(ów) i z nimi rozmawiał". W Księdze Rodzaju Abraham mówi, iż Bóg kazał mu wyruszyć z domu ↦

PATRICK ZACHMANN / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Uczeń żydowskiej szkoły w Hara Kebira, Dżerba, Tunezja, maj 2008 r.

↦ na wędrówkę – znów tak czytamy w przekładach polskich (Rdz 20, 13). Tymczasem tekst oryginalny mówi, iż „Elohim(owie)kazali" Abrahamowi wyruszyć w podróż. Takich sytuacji w Biblii jest więcej. W Rdz 1, 26 czytamy: „Uczyńmy człowieka na nasz obraz", w Rdz 11, 7: „Zejdźmy i pomieszajmy tam ich język", a w Rdz 35, 7: Jakubowi „objawili się Elohim(owie)" (por. też Rdz 3, 22; Iz 6, 8 itd.).

W tak krótkim tekście nie sposób rozwinąć ten wątek, nadmienię tylko, że tajemnicza liczba mnoga ujawniająca się w wielu boskich wypowiedziach w Biblii hebrajskiej nie jest ani objawieniem Trójcy Świętej (jesteśmy w Starym Testamencie!), ani formą *pluralis maiestatis* („my, król, postanawiamy"). Ta liczba mnoga jest raczej jakąś wariacją – lub połączeniem – form *pluralis excellentiae* (honorowej liczby mnogiej, oznaki władzy i godności), *pluralis abstractionis* (wyrażającej pojęcia oderwane: „bóstwo", „boskość") i *pluralis intensivus* (intensyfikacji czy wręcz absolutyzacji pojęcia „boskości"). W Biblii owa niewygodna forma *pluralis* zdaje się wyrażać, że Jhwh to Bóg ponad bogami, kwintesencja boskości i esencja wszechmocy, jedyny Bóg, który reprezentuje sferę boskości, pełnię bóstwa i początek wszystkich bytów. Liczbę mnogą „Elohim" w Biblii można odczytywać nie jako informację o wielu podmiotach, ale formę wzmocnienia: Wielki, Najwyższy, a w końcu także... Jedyny.

Wystarczający

Spośród siedmiu niewymazywalnych imion Boga zostało jeszcze jedno tajemnicze określenie. Stanowi ono zagadkę – mimo to, a może właśnie dlatego w tradycji żydowskiej odgrywa bardzo ważną rolę. Chodzi o tytuł, jakim w Księdze Rodzaju patriarchowie określają Boga – El Szaddaj (Rdz 17, 1; 35, 11; Lb 24, 4 itd.).

Autorzy biblijni lubią nazywać Boga „Skałą". Bóg-Skała jest dla człowieka bezpieczną przystanią, najpewniejszą pomocą i niezachwianym odniesieniem.

Zawołanie składa się z dwóch członów. Słowo „El" to najstarsze semickie określenie bóstwa, w większości języków semickich oznacza po prostu „boga" (hebr. El, arab. Ilah). Najczęściej wiąże się je z wczesnosemickim rdzeniem „'wl" – „być mocnym, potężnym" lub „być pierwszym, stać na czele". Nowsze badania każą jednak widzieć w nim rzeczownik pierwotny, niepochodzący od czasownika. Drugie słowo stanowi niewiadomą. Choć najczęściej tłumaczone jest jako „Wszechmogący" – za bezradną w tym względzie Septuagintą – to *de facto* nie wiemy, co oznacza.

Rabini już dawno zauważyli, iż rdzeń „sz-d-j" jest akronimem formuły „Szomer dirot Jisrael", czyli „Strażnik domów Izraelitów", w związku z czym zaczęto umieszczać to imię m.in. na mezuzie w odrzwiach domów, a także na tefilin, czyli filakteriach. Złożenie „El Szaddaj" pasuje do wzorca imion boskich na starożytnym Bliskim Wschodzie, jak El Eljon – Bóg Najwyższy, El Olam – Bóg Wieczny czy El Haj – Bóg Żyjący. Może to więc być jakiś przymiot czy epitet Boga. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że mamy do czynienia z toponimem (nazwą miejsca), gdyż rdzeniowi „sz-d-j" najbliżej do akadyjskiego słowa „szadu", czyli „góra". Czy zatem El Szaddaj to Bóg ze świętej góry Szad (Synaj?), czy może to „Bóg-góra" w znaczeniu wyżej przywołanym „Bóg-Skała"? A może „góra" jest tu rozumiana jako „góra kosmiczna", wobec czego złożenie oznaczałoby Boga Wszechświata? Nie wiemy.

Tradycja żydowska poradziła sobie z tą zagadką inaczej. Jeśli podzielimy słowo „Szaddaj" na możliwe do wyróżnienia „sza" i „daj", to otrzymamy znaczenie „Ten, który mówi: wystarczy" lub prościej „Ten, który wystarczy". Tak owo imię rozkłada i interpretuje Talmud (traktat Chagiga 12a). W pierwszym sensie formuła może być wczesnym przejawem kabalistycznej idei *cimcum* – wycofania się Boga, samoograniczenia się Boga, aby dać więcej przestrzeni światu i człowiekowi: „Mnie już wystarczy...". W drugim przypadku formuła „Ten, który wystarczy" może oznaczać Boga, który wystarczy Abrahamowi. Patriarchowie już nie potrzebują innych bogów i bożków, bo El Szaddaj – Bóg sam wystarczy. © MARCIN MAJEWSKI

Autor jest teologiem, biblistą, wykładowcą Pisma Świętego, archeologii biblijnej i języka hebrajskiego na UPJPII i UJ.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WARSZAWA,
wtorek 5 września.
Spotkanie z o. Christlinem Rajendramem NVC,
„»Wiara bez przemocy«
– jak ją praktykować w duchu
Porozumienia bez Przemocy" / stacjonarne /

GLIWICE,
środa 6 września.
Spotkanie z o. Wojciechem Mittelstaedt SVD,
„Istnieje inny Kościół"
/ stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

WOJCIECH

Bonowicz: *Ta zła historia*

Kilka miesięcy temu zadałem sobie samemu lekturę: przeczytać raz jeszcze dziennik Victora Klemperera. Już nie na wyrywki, przeskakując, ale po kolei, idąc z autorem zapis po zapisie. Powód był prosty: Klemperer swój sławny dziennik zaczął prowadzić niedługo przed tym, jak Hitler został kanclerzem Niemiec. Idę więc z autorem równo, miesiąc po miesiącu, tyle że w odstępie dziewięćdziesięciu lat. Jesteśmy teraz w sierpniu 1933 roku. „Ani trochę nie mogę uwierzyć – notuje Klemperer – że masy rzeczywiście nadal wspierają Hitlera. Zbyt wiele temu przeczy. Ale wszyscy, dosłownie wszyscy, umierają ze strachu".

Korzystam oczywiście z polskiej trzytomowej edycji, która ukazała się przeszło dwie dekady temu w przekładzie Anny i Antoniego Klubów. To obszerny wybór z tego, co udało się Klempererowi zanotować i przechować. W pierwszym tomie, obejmującym lata 1933-1938, autor opisuje postępy faszyzmu, przyjmując – jak pisze w jednym ze wstępów Michał Głowiński – optykę wąskiego horyzontu, to znaczy koncentrując się na osobistych doświadczeniach oraz przeżyciach osób bliskich i znajomych. Jako nie-Aryjczyk traci najpierw możliwość publikowania, potem prowadzenia zajęć na uczelni, a wreszcie jakiegokolwiek zarobkowania. Część jego rodziny i przyjaciół decyduje się na emigrację; on sam, mimo problemów finansowych, rozpoczyna budowę małego domku pod Dreznem, mając nadzieję, że uda mu się zejść z oczu prześladowcom. Klemperer czuje się Niemcem, nie Żydem; w zapisach co jakiś czas dzieli się swoim rozczarowaniem, rozgoryczeniem, a w końcu złością, że niemieckość, z którą się utożsamia, zdradziła go. Usiłuje też zrozumieć, co właściwie dzieje się z niemieckim społeczeństwem. Czy Niemcy dali się sterroryzować, czy też naprawdę uwierzyli w wizję świata, jaką przedstawiają naziści – wizję, w której dla ludzi takich jak on nie ma miejsca.

Bardzo przejmująca jest scena, w której Klemperer po zakończeniu zajęć na uczelni żegna się z jedną ze swoich najlepszych studentek. Młoda kobieta jest pełna rewerencji wobec profesora, ale równocześnie jest zwolenniczką nowego reżimu i zawsze nosi swastykę, „w postaci szpilki do krawata lub broszki na piersi". „Mniej polityki, więcej nauki – radzi jej uczony. – Niech się pani w te rzeczy zbytnio nie angażuje". Mówi to, choć musi wiedzieć, że młoda kobieta raczej go nie posłucha, „jest przecież organizatorką komórek zakładowych" partii narodowosocjalistycznej. Ale fakt, że mimo swego zaangażowania nie chce zrywać z nim kontaktu, autor dziennika interpretuje jako przejaw wahania. „Sądzę, że zarówno ona, jak i tysiące innych zwolenników i członków partii, to ludzie już nieco rozczarowani. Sądzę też (może to tylko nadzieja?), że to już nie potrwa długo".

My, czytający te słowa dziewięćdziesiąt lat później, wiemy, że to trwało długo. I że upiory wypuszczone wtedy na świat wracały wielokrotnie – i wracają nawet teraz, dzisiaj... Są w polskiej polityce osoby, które otwarcie mówią, że chcą Polski bez Żydów, bez jakichkolwiek „obcych". Są tacy, którzy to mówią, i tacy, którzy im klaszczą. Można sobie żartować z ludzi takich jak Braun czy Mentzen – być może żart jest bronią, której boją się najbardziej – ale nie da się powiedzieć, że to, co oni głoszą, „to zupełnie inna historia". Niestety – to jest ta sama historia. To jest nowa odsłona tej historii, którą z takim poświęceniem dokumentował Klemperer. Czy dlatego czytam teraz jego notatki? By szukać czegoś, co zabrzmi aktualnie? Nie. Nie potrzeba sięgać do Klemperera, żeby wiedzieć, co jest co. Takie książki, jak jego dziennik, czyta się z innego powodu. Czyta się je, by „być z" – być blisko autora, który pisał, narażając swoje życie. Próbuje się tym samym zrobić coś niemożliwego: wziąć na siebie choćby cząstkę ciężaru, który go wówczas przytłaczał, i nieść. A może przede wszystkim – przez sam akt powracania raz po raz do tej lektury, czytania uważnego i skwapliwego – próbuje się w jakimś stopniu wypełnić nadzieję, która towarzyszyła tamtym zapisom. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK

Powstanie Styczniowe. 160 lat pamięci

a w nim **informacje o wystawie** przygotowanej przez Muzeum Historii Polski,
a także rozmowa z historykiem **Wojciechem Kalwatem**:

„W polskiej historiografii trudno jest zbudować powszechnie zrozumiałą opowieść o Powstaniu Styczniowym. Brakuje w nim wyrazistych, łatwo uchwytnych momentów, na których można by oprzeć linię narracji. Składało się ono z bardzo wielu niewielkich potyczek o znaczeniu przede wszystkim lokalnym, które rozgrywały się na terenie całego Królestwa Polskiego i części zaboru rosyjskiego, czyli terenach dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy".

PARTNERZY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MUZEUM HISTORII POLSKI

160. ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

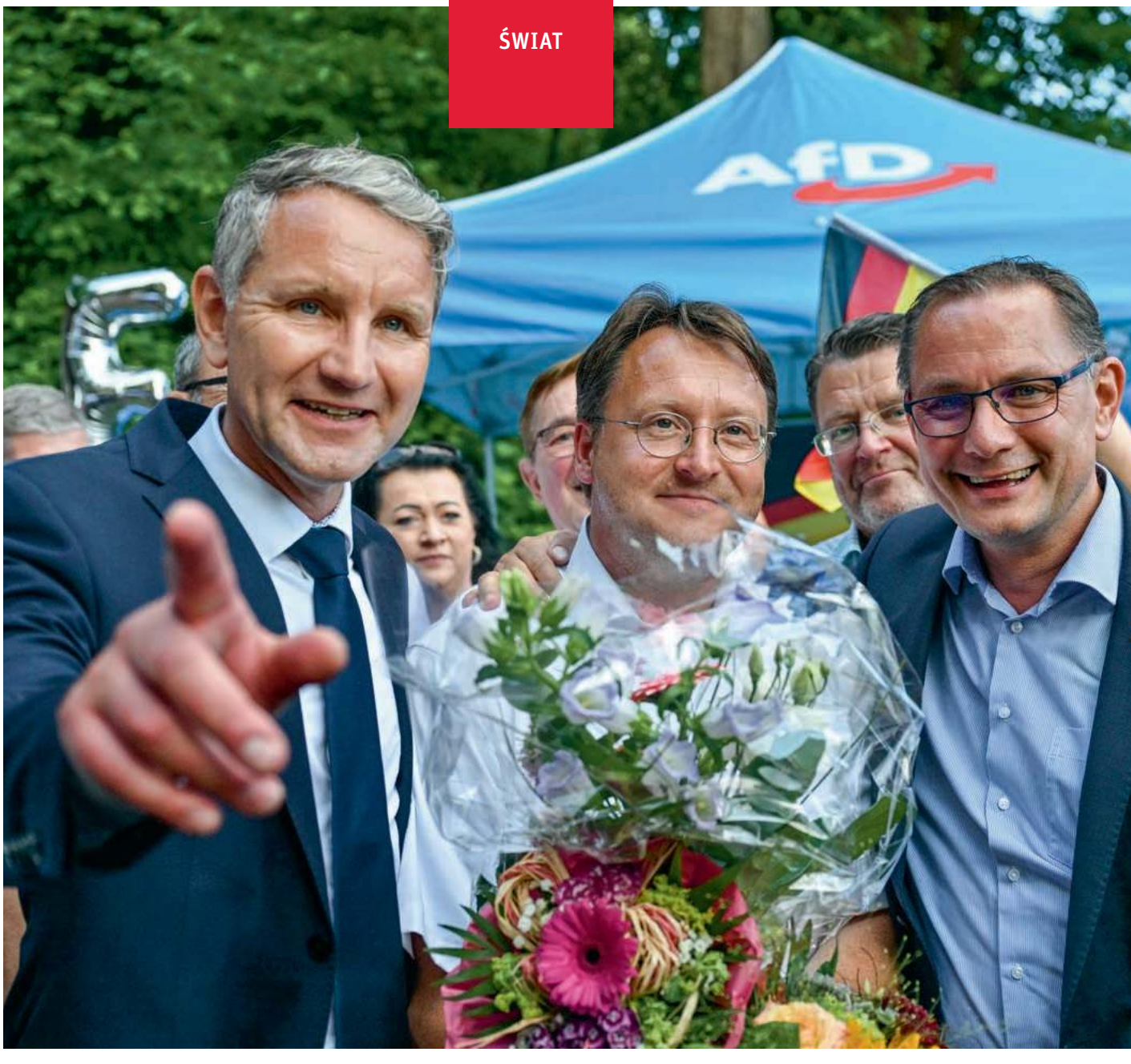

JEDEN NARÓD, JEDNA ALTERNATYWA

Napływ migrantów, inflacja i nieudolność rządzących pchają Niemców w ramiona radykałów. AfD awansuje na drugie miejsce w sondażach i żąda przyspieszonych wyborów.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z HANOWERU

MARTIN SCHUTT / DPA / PAP

Dla AfD był to ważny sukces: w czerwcu wybory landrata – szefa administracji powiatowej (w Niemczech są one powszechne) – po raz pierwszy wygrał kandydat AfD. Na zdjęciu: Robert Sesselmann, przyszły landrat powiatu Sonneberg (w środku), z lewej lider AfD w Turyngii Björn Höcke, z prawej współprzewodniczący AfD Tino Chrupalla, który jako jedyny polityk zjawił się 9 maja na imprezie w ambasadzie Rosji. Sonneberg, 25 czerwca 2023 r.

Kiedyś, gdy nad Niemcami zbierały się ciemne chmury, kanclerz Angela Merkel zgłaszała się do rodaków z orędziem. Swoim chłodnym, pozbawionym emocji tonem przedstawiała sytuację. Na koniec wypowiadała czarodziejską formułkę: „*Wir schaffen das!*". „Damy radę!". Obywatele słuchali. I dawali radę. Tak było w czasie pierwszej fali kryzysu migracyjnego w 2015 r., tak było podczas pandemii.

W czasach Merkel wydawało się, że Niemcy mają nadzwyczajną odporność na panoszącego się po całym świecie wirusa prawicowego populizmu. Wprawdzie skrajna Alternatywa dla Niemiec (AfD) istnieje na scenie politycznej od 2013 r., ale długo była skutecznie marginalizowana.

Dziś okres rządów Merkel to już zamierzchła przeszłość. Kanclerz Olaf Scholz nie ma magicznych zdolności do mobilizowania rodaków. A kryzysów przybywa. Półtora roku temu, po inwazji Rosji na Ukrainę, Scholz zapowiedział *Zeitenwende*, przełomową zmianę. Miał na myśli wzmocnienie zdolności obronnych Niemiec, których armia od lat jest niedofinansowana.

Tymczasem do realnego przełomu dochodzi na innym polu – na politycznego beneficjenta ciężkich czasów wyrasta AfD.

Głos sprzeciwu

W Niemczech prawa wyborcze posiada blisko 61 mln osób. Jedna piąta z tej grupy to ok. 12 mln ludzi. Według sondaży co najmniej tylu Niemców – w zależności od sondaży między 20 a 22 proc. – nosi się z zamiarem oddania głosu na nacjonalistyczną i antyimigrancką Alternatywę dla Niemiec.

Czy to oznacza, że za Odrą mieszka kilkanaście milionów radykałów? Prof. Werner Patzelt przestrzega przed takim szufladkowaniem. W rozmowie z „Tygodnikiem" Patzelt – politolog związany z Uniwersytetem Technicznym w Dreźnie – tłumaczy, że faktycznie najbardziej trafnym określeniem charakteru AfD jest „prawicowy populizm". – W szeregach tej partii są także prawicowi ekstremiści, których poglądy wykraczają poza demokratyczny, konstytucyjny konsensus – dodaje. Jednak większość wyborców chce – jego zdaniem – głosować na AfD nie dlatego, że sami są radykalni, lecz dlatego, że nie są zadowoleni z oferty pozostałych partii.

Badania wskazują, że tylko jedna trzecia wyborców AfD zna program i poglądy, które głosi ta partia. Aż dwie trzecie traktuje swój głos na to ugrupowanie jako formę protestu.

Szukając przyczyn frustracji, które dziś kipią w niemieckim społeczeństwie, trudno nie pokusić się o historyczną analogię. Sto lat temu Adolf Hitler na tyle prężnie radził sobie z rozwijaniem struktur NSDAP, że pokusił się o próbę puczu w Monachium. Nic z tego nie wyszło. Ale wystarczyło kolejne 10 lat, by jego ugrupowanie przejęło władzę. Zarówno w 1923 r., jak też dekadę później Hitler był silny słabością swoich politycznych przeciwników i wykorzystywał społeczne zmęczenie licznymi kryzysami. Przyczyny wzrostu popularności AfD są podobne.

Kolejne setki tysięcy

Główny powód niezadowolenia jest od lat dobrze rozpoznany. Kryzys migracyjny, który zaczął się w połowie ubiegłej dekady, tak naprawdę nigdy się nie skończył. W 2015 r. w Niemczech oficjalnie zarejestrowano 476 tys. chętnych do uzyskania azylu, głównie z Syrii. W 2016 r. było ich jeszcze więcej, bo 745 tys. W ostatnich latach, głównie z powodu pandemii, liczby mocno spadły. Mimo to nawet w najgorszym pandemicznie roku 2020 odnotowano 120 tys. nowych wniosków o azyl.

W tym roku zjawisko znów przybiera na sile. Setki tysięcy ludzi z północnej i środkowej Afryki oraz z Bliskiego i Dalekiego Wschodu wybierają się w ryzykowną podróż, której celem są Niemcy. Nie ma bowiem na świecie drugiego takiego kraju, którego rząd w tak przyjazny sposób odnosiłby się do uchodźców i migrantów. W krajach takich jak Dania, Holandia czy Szwecja lewicowo-liberalne rządy w temacie migracji postawiły na zmianę o 180 stopni. Utrudniono perspektywę pozostania w kraju, przyspieszono procesy deportacyjne.

W Niemczech wciąż każdy może złożyć wniosek o azyl bez strachu o dalsze losy. Dostaje dach na głową, wyżywienie i kieszonkowe. Wraz z przyznaniem azylu może liczyć na dalsze kompleksowe wsparcie i możliwość zaproszenia rodziny.

Do końca lipca 2023 r. w Niemczech złożono 188 tys. wniosków o azyl. Każda z tych osób generuje koszty. Dodatkowo migracja ta nie stanowi remedium dla niemieckiej demografii. W tej grupie zdecydowanie przeważają młodzi mężczyźni. W 2022 r. trzy czwarte spośród 71 tys. Syryjczyków ubiegających się o azyl stanowili mężczyźni lub niepełnoletni chłopcy.

Do tego trzeba dodać nieco ponad milion uchodźców wojennych z Ukrainy, którzy dotarli do Niemiec od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji. Ci nie muszą składać wniosków o azyl. ↦

A nie mówiliśmy?

↦ Rosnąca liczba obcokrajowców prowadzi do napięć w niemal każdej dziedzinie życia: w edukacji, na rynku pracy i nieruchomości, w służbie zdrowia, w sferze bezpieczeństwa wewnętrznego.

Alternatywa dla Niemiec proponuje rdzennym Niemcom proste rozwiązanie: zamknijmy granice, nie wpuszczajmy nikogo więcej i deportujmy każdego, kto sprawia problemy, np. łamie prawo.

Johannes Hillje, autor książek na temat AfD i populizmu, zwraca uwagę, że niechęć do obcych jest głęboko zakorzeniona w ideologii tej partii. – W ich przekonaniu Niemcy powinny być kulturowo i etnicznie homogeniczne – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem". Jako przykład nacjonalistycznego radykalizmu wskazuje na postać Björna Höckego. Ten lider AfD w Turyngii w 2017 r. nazwał berliński pomnik ofiar Holokaustu „hańbą" i utyskiwał, że Niemcy powinni raczej opłakiwać własne ofiary. Domagał się rewizji spojrzenia na własną historię.

Ideologia wydaje się obecnie niezbyt interesować większość Niemców. Ważne jest, że antyimigranckie tony od niemal początku były znakiem rozpoznawczym AfD. I kiedy dziś dochodzi do coraz większych napięć, a na obsługę nowo przybyłych brakuje pieniędzy, to właśnie politycy AfD najlepiej wpasowują się w przekonania większości.

Sondaże wskazują bowiem, że 60 proc. Niemców nie chce dalszego przyjmowania uchodźców. Tylko 12 proc. uważa integrację tych, którzy już żyją w Niemczech, za udaną.

Nie dla genderyzacji

W Niemczech, tak jak i innych krajach Zachodu, dochodzi do coraz poważniejszego rozwarstwienia społecznego. Bogate postępowe elity stają się coraz bardziej bogate i postępowe, a „zwykli" mieszkańcy prowincji czują się we własnym kraju obco.

Znajduje to wyraz także w sporze o kulturę i język. Jednym z ulubionych i nośnych tematów AfD jest genderyzacja społeczeństwa. Największe kontrowersje sprawiają zmiany językowe forsowane przez lewicowych polityków i dziennikarzy, czyli faktycznie przez większość elity, która ustala ramy debaty publicznej.

W tej formie języka Goethego, jaką propaguje ta część elit kulturowych (w tym

Sondaże wskazują, że 60 proc. **Niemców nie chce dalszego przyjmowania uchodźców.** Tylko 12 proc. uważa integrację tych, którzy już tu żyją, za udaną.

także część uczelni), pisze i mówi się zatem „*Politiker∗innen*", czyli „polityczki", które to słowo powinno być wypowiadane z krótką pauzą przed „-ki" i w ten sposób odwoływać się zarówno do mężczyzn, jak i kobiet. Dodatkowo gwiazdka pełni funkcję symbolicznego przypomnienia, że oprócz heteroseksualnych mężczyzn i kobiet są jeszcze m.in. osoby homo-, bi-, a także transseksualne.

Takie zasady pisowni – wciąż nieformalne – są wdrażane przez coraz większą liczbę mediów, urzędów i firm. AfD jest partią, która zmianom językowym zdecydowanie się sprzeciwia, tak jak i wszelkim innym progresywnym rozwiązaniom, których inicjatorem na polu politycznym jest najczęściej Partia Zielonych.

W starzejącym się społeczeństwie to skuteczny sposób na łowienie głosów konserwatywnych seniorów z prowincji. Im nie przeszkadza nawet fakt, że przy sterach „Kulturkampfu" spod znaku AfD stoi Alice Weidel. Współprzewodnicząca AfD, która chce uchodzić za obrońcę tradycyjnej rodziny, a żyje w związku małżeńskim z szwajcarską producentką filmową Sarah Bossard, z którą wychowuje dwójkę synów.

„Partia pokoju"

Swoją odmienność od politycznego mainstreamu AfD podkreśla również w stosunku do wojny w Ukrainie.

Olaf Scholz, po wielomiesięcznej presji ze strony NATO-wskich sojuszników, przyjął w końcu jednoznaczny proukraiński kurs. Berlin dostarcza Kijowowi broń. Społeczeństwo jest w tych kwestiach o wiele bardziej podzielone niż politycy. Część Niemców uważa, że Rosja została sprowokowana przez NATO i USA. Dla tej grupy zerwanie wszelkich kontaktów z Moskwą oraz polityka sankcji jest błędem, z powodu którego cierpi niemiecka gospodarka. W tej optyce dostarczanie broni to tylko podsycanie konfliktu, bo Ukraina i tak nie ma szans wygrać z Rosją. Ten niemały elektorat został zagospodarowany przez AfD.

W tym przypadku nie chodzi o wyrachowane łowienie wyborców. Politycy AfD mają doskonałe kontakty z emisariuszami Kremla i utrzymują je do dziś. Przynajmniej w przypadku kilku polityków AfD i ich współpracowników niemiecki kontrwywiad podejrzewa infiltrację przez rosyjskie służby.

Wojna w Ukrainie jest też jedną z przyczyn najbardziej namacalnych trudności, z którymi muszą się zmagać pan i pani Schmidt. Wprawdzie inflacja nie osiągnęła takiego pułapu jak w Polsce – tutaj najwyższy jej poziom, 8,8 proc., odnotowano w lipcu 2022 r. – ale wzrosty cen i rachunków są dotkliwe.

Łatwo być opozycją

Gdyby w reakcji na te liczne kryzysy Niemcy mogli liczyć na mądre propozycje rządzących, może nie rzucaliby się tak ochoczo w ramiona populistów. Jednak koalicję socjaldemokratów (SPD), Zielonych i liberałów (FDP) trudno nazwać udaną – po blisko już dwóch latach jej rządów.

Programowy rozstrzał między partiami okazuje się często zbyt duży. Iskrzy zwłaszcza między dwiema. Zieloni chcą więcej środków przeznaczać na transfery socjalne oraz inwestycje w infrastrukturę i gospodarkę w zakresie transformacji energetycznej. Liberalna gospodarczo FDP nie chce słyszeć o zwiększaniu wydatków. Zabiegi obu partii, mające na celu ukrócenie wzajemnych inicjatyw, przypominają zabawy w piaskownicy. Kanclerzowi brakuje zaś charyzmy, by zapanować nad koalicjantami i nadać rządowi autorski charakter.

– Rząd prowadzi politykę, która jest rozczarowująca dla dużej grupy wyborców – uważa Werner Patzelt. Podaje przykłady decyzji motywowanych ideologicznie, jak wyłączenie elektrowni atomowych mimo trwającego kryzysu energetycznego lub forsowanie przepisów dotyczących ekologicznego ogrzewania mieszkań, które dla obywateli oznaczać będą konieczność kosztownych inwestycji.

Obecna kumulacja kryzysów prowadzi do błyskawicznej erozji zaufania społecznego, które w Niemczech tradycyjnie

było na wysokim poziomie. Najnowsze badania opinii wskazują, że już tylko 38 proc. jest zadowolonych ze stanu demokracji w kraju. Jeszcze w grudniu 2022 r. ten wskaźnik wynosił 52 proc.

AfD ma więc wyjątkowo łatwe zadanie: chaos przypisywać rządowi i samemu prezentować się jako, *nomen omen*, alternatywa.

W tej roli politycy AfD poczuli się na tyle pewnie, że regularnie domagają się przyspieszonych wyborów i spekulują na temat przyszłej walki o Urząd Kanclerski.

Medialny ekosystem

AfD jest dziś w zupełnie innej sytuacji niż na początku politycznej drogi.

Przez lata AfD była zwalczana przez mainstreamowe media publiczne i prywatne. Nie mając dostępu do głównych kanałów, partia i jej zwolennicy zaczęli koncentrować się na internecie. – W Niemczech istnieje cały prawicowo-populistyczny medialny ekosystem – mówi Johannes Hillje. – Po części składa się on z kanałów AfD w mediach społecznościowych. Do tego zaliczają się też tzw. alternatywne media, strony internetowe i magazyny, jak np. „Compact", gdzie regularnie można czytać wywiady z liderami AfD. W tym roku „Compact" opublikował specjalne wydanie, w którym przyczyn II wojny światowej doszukiwał się w „polskim szowinizmie".

Oprócz tak ekstremalnych przykładów w Niemczech dziennikarstwo tożsamościowe i antyrządowe staje się po prostu dobrym biznesem.

– Powstają media, takie jak portal nius.de Juliana Reichelta, byłego redaktora naczelnego tabloidu „Bild", które nie są bezpośrednio związane ze strukturami partii, ale przedstawiają tematy takie jak migracja, prawa LGBT czy polityka klimatyczna w sposób bardzo zbliżony do narracji AfD. Co oczywiście działa na jej korzyść – uważa Hillje.

CDU brakuje zębów

Dlaczego na obecnym kryzysie rządowym korzysta AfD, a nie największa partia opozycyjna, czyli chadecja? Partie chadeckie – CDU i jej bawarska siostra CSU – były przecież długo hegemonem niemieckiej polityki. Angela Merkel jako przewodnicząca CDU przez kilkanaście lat wygrywała kolejne wybory. Niemcy były chwalone za ład gospodarczo-społeczny i odgrywały rolę zaufanego gracza w globalnych kwestiach.

Jednak Merkel zniknęła z życia publicznego. Ster CDU przejął Friedrich Merz, polityk, którego była kanclerz dwie dekady temu odsunęła od najważniejszych partyjnych funkcji. Merz zapowiadał powrót do konserwatywnych korzeni partii, co miało doprowadzić także do odebrania głosów Alternatywie.

Zdaniem Wernera Patzelta do żadnej zmiany w partii nie doszło: – CDU skupia się na obsłudze elektoratu bliższego Zielonym i nie ma oferty dla ludzi na prawo od politycznego centrum. Dlatego wyborcy nie postrzegają chadecji jako opozycji i zwracają się ku AfD.

Wprawdzie chadecja zajmuje pierwsze miejsce w sondażach (z poparciem ok. 26,5 proc.), ale w porównaniu z wyborami do Bundestagu sprzed blisko dwóch lat to wynik lepszy zaledwie o 2 pkt. proc. AfD urosła w tym czasie o 10 proc.

Im więcej chaosu, tym lepiej

Mówiąc o wzrostach sondażowych AfD, jej polityczni rywale uspokajali dotąd, że nawet najlepszy wynik nie daje jej większości do rządzenia. Wszystkie pozostałe partie zdecydowanie odżegnywały się bowiem od jakiejkolwiek współpracy z AfD. To już jednak przeszłość.

– Partyjne centrale biją na alarm, gdy docierają do nich wieści o współpracy ich polityków z AfD na poziomie lokalnym. Tyle że zwłaszcza na wschodzie kraju taka współpraca jest już normą. Weźmy burmistrza miasta, w którego radzie AfD ma większość: on nie może ich ignorować, bo nie przegłosowałby żadnych decyzji dotyczących dróg, kanalizacji czy innych przyziemnych spraw. Dlatego całe to oburzenie polityków w Berlinie nie ma nic wspólnego z lokalną rzeczywistością – uważa Patzelt.

Nawet lokalni działacze Zielonych nie do końca słuchają wytycznych szefostwa. W miasteczku Backnang przewodniczący rady miejskiej z Zielonych na pytanie o współpracę z AfD przyznał, że i owszem, dochodzi do wspólnych głosowań z AfD. Co więcej, po obradach członkowie obu partii chodzą razem na piwo.

W 2024 r. w trzech wschodnich landach, Brandenburgii, Saksonii i Turyngii, odbędą się wybory do landowych parlamentów. W każdym na AfD chce głosować ok. 30 proc. wyborców. Werner Patzelt zastrzega, że nie oznacza to jeszcze przejęcia władzy. – Nawet jeśli AfD osiągnie najlepszy wynik, to nie utworzy koalicji. Decyzja o takiej współpracy oznaczałyby polityczną śmierć dla każdego polityka CDU. Zamiast tego tworzone będą koalicje oparte nie na spójnych programach, lecz bazujące na byciu w kontrze do AfD.

Zagwarantuje to niedopuszczenie AfD do władzy, ale także chaos wynikający z rozbieżności między przyszłymi koalicjantami, który dziś widać na poziomie federalnym.

A nikt tak nie korzysta na chaosie, jak właśnie AfD. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Bitwa o Kupiańsk

TEKST I ZDJĘCIA
ANTONINA PALARCZYK Z KUPIAŃSKA

Obok frontu zaporoskiego i Bachmutu, to miasteczko jest dziś często wymieniane w wojskowych komunikatach. Rosjanie próbują przerwać tu ukraińską obronę.

Wyrzutnia rakiet Grad zainstalowana na aucie terenowym ostrzeliwuje rosyjskie pozycje.

Spokój – relatywny – trwał w tym miejscu niemal rok.

Od kiedy we wrześniu 2022 r. ukraińska armia przeprowadziła na Charkowszczyźnie spektakularną kontrofensywę, w okolicy wyzwolonego Kupiańska ucichło. Front oddalił się o 20 km od tego powiatowego miasta, przed inwazją liczącego 25 tys. mieszkańców, i stanął w miejscu. Do mediów Kupiańsk trafił na moment tylko pod koniec 2022 r., gdy jednostka „Kraken" wyzwoliła pobliską kolonię Nowoseliwskie, już w obwodzie ługańskim.

Pod koniec lipca 2023 r. oficer prasowy wschodniego zgrupowania armii ukraińskiej podał, że Rosjanie zgromadzili niedaleko Kupiańska duże siły: 100 tys. żołnierzy, 900 czołgów i 500 systemów artyleryjskich. 9 sierpnia ukraińskie władze ogłosiły obowiązkową ewakuację kilkudziesięciu wsi w tym rejonie, głównie na wschodnim brzegu rzeki Oskil, nad którą leży miasto.

Tymczasem wymarły kiedyś Kupiańsk, do którego po wyzwoleniu mało kto chciał wracać, już jakiś czas temu ożył. Dziś miasto tętni życiem – choć coraz częściej spadają na nie bomby i rakiety.

SAMOCHODY, niemal wszystkie należące do wojskowych – brudne terenówki w maskujących kolorach i przeważnie z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi – ciągną się wzdłuż chodnika. Tłum kręci się wokół stoisk z odzieżą taktyczną, lemoniadą i wszystkim, czego żołnierz może sobie zażyczyć. Stoiska zjawiły się tu niedawno – jak tylko Kupiańsk wrócił na nagłówki.

Niemałym zainteresowaniem cieszy się miejscówka ze świeżymi szaszłykami, popularnymi na ukraińskich poboczach. Zawiadujący interesem Andrij uwija się za ladą w pełnym słońcu i w żarze znad paleniska.

– To mój moralny obowiązek karmić wojskowych – robi poważną minę. Jego brat służy w Brygadzie Szturmowej „Wściekłość", jednej z dziewięciu takich jednostek sformowanych przez ministerstwo spraw wewnętrznych i tworzących Gwardię Ofensywy. Jak większość sprzedawców, którzy rozkładają stragany, Andrij wraca na noc do rodzinnego Charkowa – stąd to tylko dwie godziny samochodem.

ŻAR Z NIEBA ułatwia jedno: rozminowanie terenu. Mozolnie prowadzone od niemal roku, odkąd Rosjanie wycofali się za rzekę Oskil, jej także nie szczędząc min osadzonych na dnie. – W ciągu dnia zakopane w ziemi miny nagrzewają się, przez co nocą są dobrze widoczne z drona wyposażonego w kamerę termowizyjną, a to ułatwia pracę saperów – objaśnia Wowa, niemłody już żołnierz 14. Brygady Zmechanizowanej. Jego ręce znaczą blizny po poparzeniach.

W opuszczonym domu kwateruje teraz wojsko. Nie mija pięć minut, gdy żołnierz zasiadający za ekranem, na którym widać obraz z kamer kilkunastu dronów patrolujących okolicę, wzdycha: – Minus jeden dron.

Jeden ekranik szarzeje. Dron najpewniej został zestrzelony z broni ręcznej. – To najczęstsza przyczyna ich utraty – mówi Wowa. – Drony typu Mavic 3 żyją u nas przeważnie przez tydzień. Antyrekord to cztery drony stracone w ciągu jednego dnia.

KOSZT JEDNEGO DRONA to równowartość ok. 10 tys. złotych. Jednostki takie jak ta, w której służy Wowa, opierają się głównie na wsparciu wolontariuszy z rodzinnych stron. Większość żołnierzy z 14. Brygady pochodzi z obwodu wołyńskiego. Na kierunku Kupiańsk-Swatowe (to miasto powiatowe w obwodzie ługańskim, pod okupacją) stacjonują kolejny miesiąc. I doświadczają jego przemiany: z najcichszego w jeden z najcięższych.

– Wolontariuszom zawdzięczamy wszystko. Od wszystkich naszych aut i zaopatrzenia w żywność po drony DJI Mavic. Od „góry" dostaliśmy raptem jednego – dodaje cicho Kola, gdy oddział odpoczywa na podwórzu zacienionym teraz przez bujną winorośl, będącą też naturalnym kamuflażem. Od rosyjskich pozycji dzieli nas kilka kilometrów.

– Po naszym obejściu chodzimy w grażdance, cywilnym ubraniu – mówi jeden z żołnierzy. – Im mniej widać, czy to z drona, czy przez okolicznych mieszkańców, tym spokojniej możemy spać.

Centrum Kupiańska po rosyjskim bombardowaniu.

STARANNEGO UKRYCIA wymaga zwłaszcza stojąca przed drzewem terenówka z zainstalowaną na pace wyrzutnią rakietową Grad z czterema prowadnicami – najpopularniejszą i po ukraińskiej, i po rosyjskiej stronie.

Oddział jej operatorów wydaje się być wyluzowany, gdy w połowicznym negliżu rozkładają się na trawie oraz w wiklinowych fotelach. Ale wystarczy kilka minut, by już w pełnym ubraniu i uzbrojeniu pakowali się do samochodu – wszystko za sprawą otrzymanej od operatora drona wyczekiwanej wiadomości z lokalizacją stanowiska rosyjskiego moździerza.

Mają go zniszczyć. Szybko zajmują miejsca. Dwóch na pace – ci trzymają się kurczowo stelaża wyrzutni – i auto rusza z piskiem opon.

Artylerzyści z 14. Brygady Zmechanizowanej. Front pod Kupiańskiem, sierpień 2023 r.

KOZAK SIROMAHA, uwielbiany przez żołnierzy, ryczy z samochodowego radia. Co chwilę ściszany przez wiszącego na krótkofalówce Kolę (pseudonim „Samowar"). Kierowca ledwo wyrabia obciążonym autem na zakrętach, liczy się czas. Mijani na blockpoście – drogowym posterunku – żołnierze na widok pędzącej z załadowanymi wyrzutniami terenówki gwiżdżą z radości, jeden śle dłonią całusy w ślad za rakietami.

– Czy nie wystarczy ci biedy?! – rzuca kierowca do staruszka na rowerze, który wyłonił się zza zakrętu i niemal nie został przejechany.

– „Ahar", „Ahar", tu „Samowar"! – Kola próbuje przekrzyczeć huk samochodu, kontaktując się z bazą. Stajemy w szczerym polu. Czas płynie, żołnierze rzucają się do nastawiania wyrzutni na podane koordynaty. Cel jest kilkanaście kilometrów od nas. Wysuwają stelaż, który stabilizuje wyrzutnię. Grad ryczy, rakiety lecą. Odwrót.

NADCHODZI WIECZÓR. Nawet słyszane z oddali wystrzały nie zakłócają na kwaterze przygotowań do kolacji z okazji Święta Spasa, Przemienienia Pańskiego, ważnego w obrządku wschodnim.

Misza z powagą zabiera się za rozpalanie grilla, a artyleryjskie towarzystwo rozsiada się za stołem. Po wzniesieniu toastów – za miłość, piękno i 122 mm (kaliber rakiet Grad) – zaczynają się targować, co kupią za pieniądze ze sprzedaży „Cygańskiej Madonny", kopii obrazu Tycjana, którą namalował Anton, jeden z żołnierzy.

– Na wojnie głowa dobrze nie pracuje, więc nie maluję nic autorskiego, tylko kopie – opowiada Anton. Pochodzi z polskiej mniejszości, zwanej Mazurami i zamieszkującej obwód chmielnicki. Po wojnie chce otworzyć własną pracownię malarską: – Tu nie mam ze sobą dużo ↦

↦ materiałów, ale staram się w wolnym czasie malować. Za mój poprzedni obraz kupiliśmy starlinka.

– DWA MIESIĄCE TEMU oni przebili się w słabym punkcie na północy, w okolicach Dworicznej, kilkanaście kilometrów na północny wschód od Kupiańska. Tam ich zatrzymaliśmy. Potem wzięli Jahidne, ale nic dalej. Szukają słabych punktów, intensywnie pracują ich oddziały dywersyjne. Nasza brygada na razie trzyma pozycje. Największym problemem jest brak dostatecznej ilości amunicji – objaśnia z ponurą miną Wowa, gdy następnego dnia zasiada za kierownicą terenówki.

Pospiesznie przemierzamy okoliczny las, znad którego wzdłuż całego widnokręgu unoszą się kłęby siwego dymu. Wowa: – Tu głównie latają lancety, szeroko stosowana przez Rosjan amunicja krążąca. I słynne bomby KAB. Zresztą to chyba skutki KAB-a tam widać...

Wowa pokazuje największą smugę na horyzoncie, już w mieście.

Wyprzedzamy rejsowy autobus – najzwyklejszy, nie ewakuacyjny. Ci, którzy wciąż mieszkają w okolicy, nie zamierzają jej opuścić – tak samo, jak nie zamierza zaniechać pracy lokalny przewoźnik.

W CENTRUM KUPIAŃSKA po bombardowaniu płonie kilka aut, pracują ratownicy. Wowie słabnie głos, gdy podnosi do twarzy telefon i nagrywa wiadomość głosową: „Zapytaj, czy na Nowej Poczcie nie było nikogo z naszych, bo tu właśnie uderzyli".

Nowa Poczta to popularna firma kurierska, swoje punkty prowadzi nawet w pobliżu frontu. Przesyłki z pomocą humanitarną często przewozi nieodpłatnie.

W ostatecznym wieczornym bilansie okazuje się, że rannych zostało jedenaście osób, w tym jeden ratownik. Rosjanie uderzyli obok punktu, gdzie zwykle wydawana jest pomoc humanitarna. Obok jest sklep i przystanek. Mina Wowy robi się coraz bardziej ponura: – To skupisko cywilów, żaden tam strategiczny punkt wojskowy. Ale weźże spróbuj zrozumieć Rosjan. To była kwestia czasu, aż rąbną w Nową Pocztę. Cholerni idioci. © ANTONINA PALARCZYK

Morze zostało za frontem

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK** Z ZAPOROŻA

Dla ludzi z Zaporoża odpoczynek nad wodą był rytuałem. Za sprawą kolejnych etapów rosyjskiej agresji – aneksji Krymu i inwazji – utracili miejsca, które znali od dziecka.

TEGO LATA TEMPERATURY DOCHODZĄ tutaj do 40 stopni. W Zaporożu, gdzie przed rosyjską inwazją z 24 lutego 2022 r. żyło ponad 700 tys. ludzi, mało jest zieleni, wśród której można znaleźć ukojenie. Po głównej arterii – alei Sobornej, ciągnącej się niemal 11 km – piesi szukają cienia rzucanego przez budynki. Beton, asfalt i stojące powietrze potęgują upał.

W każde inne wakacje miasto byłoby puste: kto mógłby, wyjechałby – na urlop czy choćby weekend. Do Morza Azowskiego i jego kurortów, jak Berdiańsk, Kyryliwka czy Prymorsk, można było dotrzeć stąd w trzy godziny autem albo trochę dłużej autobusem. Aby choć na chwilę wyrwać się z gorącego miasta, niektórzy jechali choćby na jeden dzień: wyjeżdżali z rana, wracali wieczorem. Kosztowało to tyle co nic.

– Rano jechaliśmy autobusem, cały dzień pływaliśmy i wieczorem byliśmy w domu – wspomina 45-letnia Natalia Selukowa, dziś wolontariuszka.

Rosjanie zajęli wybrzeże Morza Azowskiego w pierwszych dniach inwazji, po czym front ustabilizował się ok. 40 km od Zaporoża – i dał porządnie w kość zaporożanom. Wiele razy w ciągu doby wyją syreny ostrzegające przed rakietami, które dosięgają miasta. Lokalna gospodarka, oparta na przemyśle ciężkim, wyhamowała, co uderzyło po kieszeniach.

Front oddzielił ich także od miejsc, w których mogli oderwać się od codzienności, ukoić nerwy i nabrać energii – rzeczy szczególnie potrzebne w wojennej rzeczywistości.

Od początku pełnoskalowej wojny Natalia pomaga uchodźczyniom wewnętrznym z miejsc takich jak Mariupol, Orichów czy Kachowka. Wysłuchała setek przerażających historii. – Nad morzem wystarczyły trzy-cztery dni, żeby pracować przez cały rok – mówi.

RYBA JAK NIGDZIE | Choć przez Zaporoże płynie Dniepr i na brzegu są plaże, Natalia nie lubi tam spędzać czasu. Nie przepada za smażeniem się w słońcu. Woli pływać, a rzeka jest brudna, spływają nią ścieki przemysłowe i rolne. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek cała zanurzyła się w Dnieprze. – Lepiej jechać nad morze, tam przynajmniej była dość czysta woda – stwierdza.

Miała trzy, może cztery lata, gdy pierwszy raz zabrali ją tam rodzice. Od czasów Związku Sowieckiego popularne były wyjazdy zakładowe dla pracowników. Dzięki nim cały kolektyw mógł udać się na zwykle kilkudniowe wczasy do ośrodków nad morzem.

– W Zaporożu, jak jest gorąco, nie ma czym oddychać. Nad Morzem Azowskim zawsze pięknie pachniało – wspomina Natalia. – Poza tym wchodzisz do wody, nie widzisz drugiego brzegu i masz poczucie, że możesz popłynąć daleko. Co ranek wstawałam, by spojrzeć, jak wschodzi słońce. Wieczorem niebo było pełne gwiazd. W Zaporożu ich nie widać.

Gdy była starsza, jeździła na obozy dla dzieci, a w dorosłym wieku – do ośrodków turystycznych lub wynajmowała mieszkania. Zwykle jechała do Prymorska i Berdiańska. Upodobała sobie zwłaszcza to drugie miasto. Można było znaleźć tu zarówno luksusowe ośrodki, gdzie ceny nie różniły się od zagranicznych, jak i dostępne mieszkania na wynajem.

Natalia: – Jak jedziesz na jeden dzień, nie potrzebujesz niesamowitych warunków. Wystarczy kuchnia, prysznic, toaleta i miejsce, by pospać, szczególnie gdy ma się dwadzieścia kilka lat. Wówczas najważniejsze było to, że było niedrogo.

OLHA DONIK *uważa, że gdyby opuściła rodzinne miasto, zupełnie zatraciłaby siebie.*

NATALIA SELUKOWA *zaczęła malować. Wtedy zapomina o tym, co widziała i słyszała.*

OLHA KOREPANOWA *jako studentka pokochała Krym. Myślała, że zostanie tam na zawsze. Zaporoże, sierpień 2023 r.*

Jeździła zazwyczaj z rodziną i przyjaciółmi. Kupowali jedzenie i następnie piknikowali na plaży. Natalia: – Zawsze jedliśmy tamtejsze babki [ryby z rodzaju okoniowatych – red.]. Były unikalne. Smaku świeżo usmażonych nie porównasz z żadną inną rybą. Może tylko z czarnomorską, ale na Krymie dawno nie byliśmy.

Półwysep jest okupowany przez Rosję od 2014 r.

WYKRZYCZEĆ STRES | Ostatni raz Natalia była nad Morzem Azowskim dwa lata temu, w czasach pandemicznej kwarantanny. Jej wyjazdy zawsze były spontaniczne. W ostatnim momencie patrzyli, gdzie da się znaleźć nocleg na dwie noce, i ruszali samochodem.

Wtedy padło na Kyryliwkę, gdzie Natalia nie była przez ćwierć wieku. Zapamiętała to miejsce jako step z dziurawymi drogami, gdzie nie było dokąd pójść. W 2021 r. wyglądało to inaczej: na plaży stały parasolki i altany, a wieczorem park zachęcał do przechadzek. Zgłodniali i spragnieni mogli się udać do jednej z restauracji, barów czy kawiarni. Zmieniła się też droga: po remoncie nie obfitowała już w dziury. Oczywiście daleko było do ideału, ale Natalia doceniała zmiany. Nie wiedziała, że to jej ostatnia wizyta w Kyryliwce.

Od tego czasu Natalia nie ma miejsca, gdzie może się w pełni zregenerować. Choć pod koniec 2022 r. ze względu na zmasowane ostrzały wyjechała z Zaporoża i trochę czasu spędziła w Karpatach, to nie było to samo. W tym roku półtorej doby jechała autobusem do Bułgarii, byle zobaczyć morze. Od razu poczuła się lepiej. Ale nie tak, jak nad Morzem Azowskim.

Szukając sposobu na relaks i odcięcie się, zaczęła malować, co trochę pozwala jej zapomnieć o tym, co widziała i słyszała. – Czasem ma ochotę wyjść na ulicę i się wykrzyczeć – mówi.

Wcześniej częściej wyjeżdżała za granicę, bo w sezonie z Zaporoża latały samoloty do różnych turystycznych miejsc, jak Czarnogóra, Egipt czy Turcja. Ale zawsze potem w wolne dni jechała nad swoje morze. – Nawet jak wracałam znad Atlantyku, to i tak potem tam jechałam – mówi dziś. – Oczywiście w porównaniu wyglądało ono blado, ale dla wielbicieli tych wielkich piaszczystych plaż było w sam raz.

STRACIŁAM CZĘŚĆ SIEBIE | Do wielbicieli zaliczali się też rodzice 34-letniej Olhi Donik, ↦

↦ która pełni obowiązki dyrektorki artystycznej teatru Dom Aktora.

Odkąd była mała, zabierali ją na dzikie plaże Morza Azowskiego, gdzie spali pod namiotami. Takie rodzinne wyjazdy odbywały się przynajmniej raz do roku.

Olha uwielbia patrzeć na wodę, gdy ta mieni się od słońca. A także na ciągnący się step, charakterystyczny dla tego regionu.

Gdy zaczęła zarabiać, jeździła na własną rękę. Były to wypady częste, ale krótkie. – Doszło do mnie, że po co mam siedzieć w Zaporożu, skoro morze jest o rzut beretem – przyznaje. – Nieraz zdarzało mi się wsiąść w pociąg do Symferopola i po pięciu godzinach byłam na Krymie nad Morzem Czarnym.

Stamtąd pochodzi jej pierwsze wspomnienie ze świadomego życia. Gdy była mała, matka zabrała ją na kamienistą plażę w miejscowości wypoczynkowej Ałuszta. Kamienie strasznie parzyły Olhę w stopy. Następnie tak długo siedziała w wodzie, że aż siniały jej usta. Gdy wreszcie wychodziła z wody, matka, leżąca na białym leżaku, czytała jej baśnie.

Kupowała też córce podłużne czipsy ziemniaczane, bardzo tu popularne, które Olha zajadała, wsłuchując się w bajki. Pamięta również rozpuszczalny napój herbaciany, który po wyjściu z wody wydawał się wyjątkowo rozgrzewający.

Już jako dorosła, Olha wracała do Ałuszty, by odświeżyć wspomnienia.

Wyjazd nad morze to była także zmiana atmosfery, powietrza, które w Zaporożu, gdy pracowały wszystkie fabryki, nie należało do najczystszych. To powrót do dzieciństwa, a także obowiązkowych elementów wypoczynku: wata cukrowa, karuzela, wędrówki, spanie na plaży, szukanie muszli i kamienia z dziurą, który ma przynieść szczęście.

Wszystko to wiązało się z czymś lekkim, radosnym i beztroskim.

Oldze – tak jak Natalii – brakuje ryb z Morza Azowskiego. I małych suszonych krewetek, które sprzedawcy odsypywali do plastikowych kubków. Można je było jeść jak nasiona słonecznika. To wszystko zostało jej odebrane. A najpierw Krym. – Byłam wtedy w Kijowie i gdy śledziłam te wydarzenia, serce mi się krajało – wspomina. – Nie mogłam uwierzyć. Chciałam wyjść i krzyczeć: zabieracie mi część mojego życia!

Zaporoże dzieli od linii frontu tylko ok. 40 km. **Wiele razy w ciągu doby wyją tutaj syreny:** ostrzegają przed rakietami, które dosięgają miasta.

Kolejnym ciosem była okupacja wybrzeża Morza Azowskiego.

Olha została w Zaporożu. Uważa, że gdyby opuściła rodzinne miasto, zupełnie zatraciłaby siebie.

WŁASNE MIEJSCE | Olha Korepanowa, także 34-latka, jest ilustratorką. Mówi, że uformowały ją oba morza – Czarne i Azowskie.

Od wybuchu pełnoskalowej wojny mieszka we Lwowie. Do Zaporoża przyjechała teraz na kilka dni, by odwiedzić rodziców. To z nimi od najmłodszych lat jeździła do Kyryliwki i do dzisiaj pamięta, jakie wrażenie zrobiła na niej – jak wówczas myślała – bezkresna woda i jej intensywny zapach. Także jej przyjemny chłód, gdy pływała w wielkim dmuchanym kole.

Była wstydliwym dzieckiem, a na plaży musiała się przełamać, by rozmawiać z innymi dziećmi. Pamięta handlarzy z przekąskami i napojami chodzących po plaży, którzy od ciągłego przebywania na słońcu aż brązowieli. Po wakacjach spędzanych rok w rok w tym samym miejscu pamiętała już ich z twarzy. Czuła się dziwnie, gdy ich nie spotykała.

Miała 11 lat, gdy rodzice wysłali ją samą na obóz. To było jej pierwsze doświadczenie pewnej samodzielności. Otrzymała tam mnóstwo wrażeń i zawarła liczne znajomości, ale też poczuła pierwszy raz tęsknotę za domem. W szkole średniej jeździła z najlepszą przyjaciółką i jej rodziną. To wtedy popijała słodkie domowe wino do zachodu słońca z widokiem na morze, objadała się arbuzami i chodziła na dyskotekę pod gołym niebem – obowiązkowy punkt dla młodzieży, który trzeba było odhaczyć.

Na Kyryliwkę spojrzała inaczej, gdy poszła na uniwersytet na Krymie. Jej starsza siostra zachęciła ją, by zgłosiła się do pomocy przy festiwalu muzycznym nad Morzem Czarnym. Pojechała z przyjaciółką. Niewiele czasu było na sen, ich namiot stał zwykle pusty. W trakcie festiwalu pracowała w punkcie informacyjnym, a poza tym oglądała filmy pod gołym niebem, słuchała występów i wieczorami pływała w morzu. Dopisywała pogoda, fascynujący ludzie, atmosfera. W przeciwieństwie do wyjazdów do Kyryliwki, gdzie odpoczynek charakteryzowała rutyna, tu działo się wiele rzeczy naraz i ciągle coś zaskakiwało.

Olha czuła, jakby znalazła swoje miejsce na ziemi.

Poza tym morze stało się dla niej miejscem medytacji. Czasem potrzebuje samotności i czasu na refleksję, a na pustej plaży poza sezonem może to znaleźć. Po takim wyjeździe znowu mogła się zanurzyć w życie studenckie.

ZOSTAŁY TYLKO ZDJĘCIA | Olha Korepanowa myślała, że zostanie na Krymie na zawsze: skończy uniwersytet i potem znajdzie tam pracę.

Pod koniec lutego 2014 r. rosyjscy żołnierze obsadzili kluczowe miejsca półwyspu. Ku zaskoczeniu Olhi ich obecność radowała wielu mieszkańców, także część jej znajomych. Zanim Rosja ogłosiła, że anektuje Krym, Olha zabrała dokumenty z uczelni i wróciła do Zaporoża. Z dnia na dzień przestała czuć się wolnym człowiekiem. Nie mogła mieszkać wśród tych, którzy popierali agresję na jej kraj. Chciała się od tego odciąć.

Po powrocie do domu była zagubiona. Nie wiedziała, co robić. Przez dłuższy czas nie mogła zajmować się sztuką, coś się w niej zablokowało. Wreszcie zaczęła pracować w kuchni hotelowej. – Żyłam w przekonaniu, że w każdej chwili mój świat może zostać zrujnowany – wspomina.

Sądzi, że po szoku, jaki przeżyła w 2014 r., lepiej poradziła sobie osiem lat później, gdy Rosja znów zaatakowała i zabrała Morze Azowskie. Odtąd jej świat znowu się zawęził. W miejsca, które znała od dziecka, nie może już pojechać. Widzi je tylko, gdy Facebook przypomina o zdjęciach wrzuconych przed laty.

Wierzy, że kiedyś będzie mogła je zobaczyć i cieszyć się pełnią życia. Jak dawniej.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Turystki z krajów arabskich w Karlowych Warach, sierpień 2023 r.

Derusyfikacja w Karlowych Warach

TEKST I ZDJĘCIA MARTYNA WASIUTA Z KARLOWYCH WARÓW

Kończy się rosyjska epoka w historii najsłynniejszego czeskiego uzdrowiska. Trwała wyjątkowo długo, bo od czasów cara Piotra Wielkiego.

Jednym kojarzą się z atmosferą dawnych Austro-Węgier. Innym z corocznym międzynarodowym festiwalem filmowym. Jeszcze innym – ze skupiskiem luksusowych hoteli uzdrowiskowych z charakterystycznymi kolumnadami i źródełkami gorącej wody w samym centrum tego ponad 40-tysięcznego miasta w górach zachodnich Czech.

Czechom kojarzą się też z Rosjanami. Trudno się temu dziwić. Ich obecność w stolicy kraju karlowarskiego (czeski kraj to odpowiednik polskiego województwa) długo była źródłem intratnych dochodów i pozwalała rozwinąć się miastu po upadku komunizmu. „Każdy mądry Czech znalazł swojego Rosjanina" – mawiano tu kiedyś.

To się skończyło.

Od Piotra do Breżniewa

Korzenie obecności Rosjan w Karlowych Warach – założonych jako cieplice jeszcze w wieku XIV przez cesarza Karola IV – sięgają czasów cara Piotra Wielkiego. Osobiście odwiedził on tutejsze ciepłe źródła w 1711 r., namaszczając je tym samym na modny kurort dla rosyjskiej arystokracji. Śladów tej wizyty nie da się nie zauważyć, spacerując ulicami miasta. Car Piotr wymieniany jest przez Muzeum Karlowych Warów jako jeden z najsłynniejszych gości. Na kamienicy, w której mieszkał, znajduje się tablica pamiątkowa, a na wzgórzu nieopodal wzniesiono kopiec z popiersiem Piotra (wraz z informacją o osobach, które towarzyszyły mu podczas podróży).

Zbudowano tu również największy kościół prawosławny w Czechach – cerkiew świętych Piotra i Pawła. Jej powstanie współfinansowała w wieku XIX rosyjska arystokracja. Uchodzi za najstarszą cerkiew w Czechach.

W czasach komunizmu pobyty w Karlowych Warach były pożądaną nagrodą dla oficjeli – także tych z Moskwy – za wierność i oddanie partii. Uzdrowisko wizytowali sowieccy przywódcy: Leonid Breżniew i Michaił Gorbaczow.

„Nowi Ruscy" kupują na potęgę

Lata przyjazdów Rosjan wytworzyły u wielu z nich sentyment do tego miejsca, ale i skojarzenia z pewnego rodzaju prestiżem. Dlatego gdy po aksamitnej rewolucji – za sprawą której jesienią 1989 r. w ówczesnej Czechosłowacji upadł komunizm i zakończyła się zależność kraju od Kremla – pojawiła się możliwość nabywania państwowych nieruchomości za względnie korzystną cenę, rosyjska śmietanka rzuciła się do zakupów.

W kolejnych latach w ramach prywatyzacji majętnym Rosjanom – zwanym „nowymi Ruskimi" – sprzedano hotele i inne ośrodki uzdrowiskowe w mieście. Także mieszkania, które Czesi prywatyzowali za symboliczne sumy, kupowały nowe rosyjskie elity – i to po cenach odpowiadających cenom w centrum Pragi. Miejscowych nie było stać na takie lokum.

Nowi Rosjanie czuli się tu jak u siebie. Nieruchomość w Karlowych Warach była dla nich oznaką prestiżu. Skorzystało na tym również miasto. Dzięki rosyjskim inwestycjom centrum wraz ze strefą uzdrowiskową zostało odnowione i trzeba przyznać, że do dziś wygląda imponująco. „Jak tort" – powiedział kiedyś Filip Harzer, znany dziennikarz pochodzący z Karlowych Warów. Rzeczywiście tak jest: widać przepych, ale bez kiczu.

Turyści, urzędnicy, oligarchowie

Według danych z 2017 r. Rosjanie – wraz z obywatelami pozostałych państw byłego Związku Sowieckiego – są właścicielami co najmniej połowy nieruchomości w Karlowych Warach, szczególnie w centrum. W ich posiadaniu są zarówno pięćdziesięciometrowe mieszkania na obrzeżach miasta, jak też luksusowe rezydencje czy pięciogwiazdkowe hotele i ośrodki uzdrowiskowe.

↦

↦ Do 2019 r. Karlowe Wary odwiedzało pół miliona rosyjskich turystów rocznie. Tylko w pierwszym kwartale 2019 r. zarezerwowali oni 300 tys. noclegów. To sporo, w porównaniu do danych za pierwszy kwartał roku 2022, kiedy to Rosjanie wykupili tylko 10 tys. noclegów. W swojej uzdrowiskowej mekce turyści z Rosji wydawali cztery razy więcej pieniędzy niż turyści z Czech.

Rosjanie w Karlowych Warach to nie tylko sezonowi kuracjusze, ale też niewielka diaspora. Wiosną 2021 r., kiedy przeprowadzano ostatni spis powszechny w Czechach, stanowili oni drugą – po Ukraińcach – pod względem liczebności mniejszość narodową w mieście: 875 osób.

Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że do 2022 r. prężnie funkcjonował – przy ulicy Piotra Wielkiego – konsulat generalny Federacji Rosyjskiej. Z kolei w 1999 r. po modernizacji hali lotniska uruchomiono bezpośrednie połączenie lotnicze z Karlowych Warów do Moskwy, a od 2007 r. także do Sankt Petersburga.

Rosjanie mogli więc śmiało odwiedzać swoje uzdrowiskowe włości i zapraszać do nich gości. Większość z nich to mający związki z władzami rosyjskimi urzędnicy i biznesmeni, żeby nie powiedzieć – oligarchowie.

Wille z podziemiami

Konsulatu już nie ma – pod koniec lutego 2022 r., po inwazji na Ukrainę, rząd w Pradze cofnął zgodę na działalność rosyjskich konsulatów w Brnie i Karlowych Warach. Poza popiersiem cara nie ma śladu, że przy ulicy Piotra Wielkiego była rosyjska placówka. Przed budynkiem zalegają odpady, po których można sądzić, że w środku trwa remont. Z tutejszego lotniska nie można polecieć już do Rosji, co najwyżej do Bułgarii i nad Morze Śródziemne.

Choć Rosjanie wyzbywają się swoich majątków w Czechach już od aneksji Krymu w roku 2014 – skutkowała ona pierwszymi zachodnimi sankcjami – to w Karlowych Warach nadal łatwo natknąć się na eksponowaną rosyjską posiadłość. Od 28 czerwca 2023 r. jej właściciele znajdują się na czeskiej liście sankcji, obok samego patriarchy Cyryla.

Mowa o oligarsze Władimirze Jewtuszenkowie i jego synu Feliksie, dzierżących własność nad Savoy Westend – kompleksem pięciu secesyjnych willi, połączonych podziemnymi korytarzami. Raczej nieprzypadkowo sąsiaduje z nimi budynek konsulatu.

Wille świecą pustką. W przylegających do nich ogrodach mimo upału nikt nie pije napojów chłodzących, a basen, choć napełniony wodą, jest zamknięty. „Ani śladu tatička" – wyszeptała z ubolewaniem przechodząca obok Czeszka spoglądając na budynek, w którym kiedyś była główna recepcja. Niegdyś w willach mieścił się ośrodek uzdrowiskowy, w którym kuracji zażywał pierwszy prezydent Czechosłowacji Tomáš Masaryk, pieszczotliwie nazywany przez Czechów „tatičkiem" („ojczulkiem").

Czeskie media twierdzą, że 24 lutego 2022 r. Jewtuszenkow senior uczestniczył – wraz z innymi miliarderami – w spotkaniu z Putinem na Kremlu. Umieszczenie na krajowej liście sankcyjnej umożliwia tzw. ustawa Magnickiego, która weszła w życie w styczniu 2023 r. Czesi starają się o umieszczenie Jewtuszenkowa także na unijnej liście sankcyjnej.

Echa eksodusu

Uzdrowiska odgrywają dużą rolę w czeskiej gospodarce, a w Karlowych Warach nawet kluczową. Część ośrodków stanowi też element systemu ochrony zdrowia, oferujący usługi Czechom objętym ubezpieczeniem zdrowotnym. To kilkadziesiąt ośrodków w całym kraju, w tym Karlowe Wary, a także Mariańskie Łaźnie, Cieplice, Lednice czy Karwina blisko polskiej granicy. O ich znaczeniu świadczy fakt, że czeski rząd uruchomił pomoc publiczną dla uzdrowisk w okresie lockdownu. Spadek obrotów był wówczas tak duży, że przedstawiciele branży mówili już o jej „śmierci klinicznej".

W całym kraju karlowowarskim w 2019 r. odsetek obcokrajowców wśród klientów tutejszych uzdrowisk wynosił aż 70 proc. Przed pandemią 20 proc. PKB tego regionu pochodziło z turystyki uzdrowiskowej, która generowała też jedną piątą miejsc pracy.

Tradycyjnie najczęściej na wielotygodniowe pobyty uzdrowiskowe do Karlowych Warów przybywali właśnie Rosjanie. Przy okazji zostawiali spore sumy w luksusowych butikach, na które rodzimych turystów nie stać.

Dlatego eksodus Rosjan nie odbywa się bez echa. Nie tylko rzadziej słychać rosyjski na ulicach i w restauracjach. Część usług musiała zamknąć działalność z powodu braku nowobogackiej klienteli z Rosji. Niektórzy wywieszają kartki informujące, że sklep otwiera się „na życzenie".

„Dumni najgorsi"

Więcej jest tu teraz Czechów, podobnie jak Niemców czy Francuzów. Jak podaje agencja Czech Tourism, w 2022 r. Karlowe Wary odwiedziło ponad 630 tys. Czechów i prawie 350 tys. Niemców. Jednak ich kuracje trwają co najwyżej przez kilka dni, np. w weekend. Od kilku lat spada też liczba noclegów, które rezerwują turyści. Dłuższe niż pięciodniowe wykupują jeszcze Azjaci, Amerykanie czy Izraelczycy. Na ulicach widać sporo turystów i kuracjuszy z krajów arabskich.

Przy czym, gdy przyjrzymy się danym o gospodarce regionu, którego stolicą są Karlowe Wary, dostrzeżemy, iż jego sytuacja jest dużo gorsza niż większości pozostałych rejonów Czech. To syndrom Sudetów – niedoinwestowanych czeskich peryferii, niegdyś zamieszkiwanych przez Niemców, wypędzonych po 1945 r. Przed II wojną światową stanowili oni aż 95 proc. mieszkańców Karlowych Warów (niem. Karlsbad).

Kraj karlowarski jest więc znacznie biedniejszy niż jego stolica. Stopa bezrobocia wynosiła tu w czerwcu tego roku 3,95 proc. i była wyższa niż średnia w całym kraju (2,5 proc.). Gorzej było tylko w sąsiednim kraju usteckim i sąsiadującym z Polską kraju morawsko-śląskim (odpowiednio 5,29 proc. i 4,73 proc.). Z kolei średnie wynagrodzenia są tu niższe, podobnie jakość opieki zdrowotnej czy edukacji wyższej.

„Absolutnie najgorsi" – tak o kraju karlowarskim wyraził się w 2020 r. ówczesny premier Andrej Babiš, w reakcji na fatalną tam sytuację epidemiczną. „Dumni najgorsi" – odpowiedzieli mu transparentami zirytowani mieszkańcy.

Wyrwani ze strefy komfortu

Jednak koniec złotej ery Rosjan w Karlowych Warach nie zaczął się ani z inwazją z lutego 2022 r., ani z aneksją Krymu – choć oba wydarzenia przyspieszyły ten proces.

Początków szukać należy w kryzysie finansowym, który ogarnął świat od roku 2008. Wówczas to spadła wartość nieruchomości, co zniechęcało Rosjan do dalszych inwestycji także w czeskim uzdrowisku.

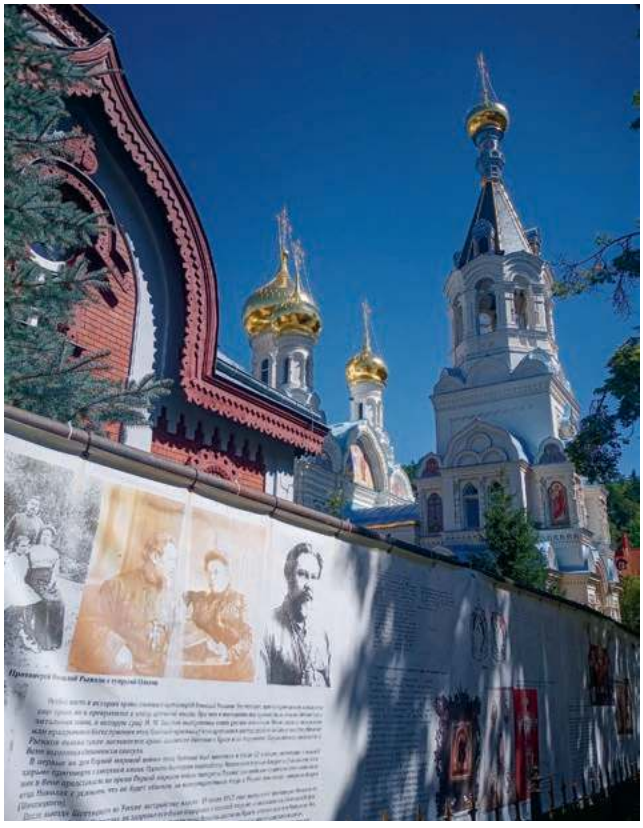

Cerkiew w Karlowych Warach

Reklamy po rosyjsku w Karlowych Warach

Z kolei po aneksji Krymu w marcu 2014 r. w Czechach zaostrzone zostały zasady ubiegania się o pobyt długoterminowy dla Rosjan. Dotąd starali się o niego, żeby móc odwiedzać Czechy spontanicznie, bez konieczności każdorazowego wnioskowania o wizę. Po 2014 r. pobyt długoterminowy przyznawano pod warunkiem rzeczywistego pobytu minimum 180 dni na terytorium Czech – dla Rosjan przestała to być sytuacja komfortowa.

W kolejnych latach skasowane zostały loty do Moskwy. Klimat wokół Rosjan pogorszył się w mieście również po tzw. sprawie Vrbětic, a więc po ujawnieniu w kwietniu 2021 r. przez czeski rząd podejrzeń o związek oficerów rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU z wybuchami, które miały miejsce w magazynach amunicji w miejscowości Vrbětice na wschodzie kraju jeszcze w 2014 r. (dzierżawiąca magazyny firma miała eksportować amunicję na Ukrainę, która od wiosny tamtego roku broniła się przed rosyjską agresją w Donbasie).

Gwóźdź do trumny rosyjskiej turystyki zdrowotnej przybito 25 lutego 2022 r., kiedy Czechy – jako pierwsze państwo w Unii Europejskiej – wstrzymały wydawanie wiz dla obywateli Rosji i Białorusi (z wyjątkiem wiz humanitarnych). Zakaz ten obowiązuje do dziś.

Pod obcą „flagą"

Co ciekawe, a co potwierdza wielu hotelarzy, do Karlowych Warów przyjeżdżają dziś licznie etniczni Rosjanie posiadający obywatelstwo inne niż rosyjskie – najczęściej z paszportami niemieckimi lub izraelskimi. To może wyjaśniać – przynajmniej częściowo – wzrost zainteresowania Karlowymi Warami ze strony obywateli Niemiec i Izraela, jaki widać w przywołanych wyżej statystykach. Nie jest to jednak długofalowa alternatywa wobec odpływu licznych kiedyś i bajecznie bogatych turystów z Moskwy czy Petersburga.

Nadal jednak widać w niektórych miejscach oferty sklepów czy hoteli spa tylko w języku rosyjskim, który można jeszcze usłyszeć w centrum miasta. Warto jednak pamiętać, że w Karlowych Warach jest też wielu rosyjskojęzycznych Ukraińców. Co więcej, często stanowią oni personel hotelowy czy obsługują klientów w drogich sklepach jubilerskich, sklepach z odzieżą czy z lokalnie wytwarzaną znakomitą porcelaną.

Sklepy te odczuwają spadek liczby klientów z Rosji. Jeden ze sprzedawców biżuterii wprost mówi mi, że jest źle i „nie ma co się oszukiwać". Broni swoich rosyjskich klientów, twierdząc, że „byli to ludzie myślący po europejsku". Ale zdarzały się też sytuacje, że niektórzy Rosjanie – słysząc swój język wśród obsługujących je Ukrainek – pytali je, dlaczego „są za prezydentem-narkomanem" (tak Putin zwykł nazywać Wołodymyra Zełenskiego).

Wśród sklepikarzy powtarzają się natomiast opinie, że odpływ Rosjan mniej uderzył w ich interesy niż wcześniej pandemia. Zauważają też oni więcej banerów z ofertą sprzedaży kamienic i willi. Wydaje się, że są świetnie zorientowani, które należą do Rosjan.

▪▪▪

Karlowe Wary zmieniają swoją ofertę turystyczną i uzdrowiskową, by odbić po pandemii i po wyjeździe Rosjan. Chcą przyciągnąć nowych bogatych klientów z USA, Izraela czy krajów arabskich. Niektóre hotele i ośrodki się zamknęły, część zmienia profil swojej oferty z pobytów długoterminowych na krótkie pobyty wellness.

Kiedyś otwarte głównie na wschód Europy, najsłynniejsze czeskie uzdrowisko musi się teraz otworzyć na inne regiony świata. © MARTYNA WASIUTA

Smok traci siły

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Oficjalne dane nie pozostawiają wątpliwości: gospodarka Chin popadła w tarapaty. To chwilowa zadyszka czy może kruszy się dotychczasowy model rozwoju?

QILAI SHEN / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Osiedle wybudowane przez dewelopera Country Garden w Foshan, Chiny, sierpień 2023 r.

Wysyp złych wieści nastąpił w lipcu i sierpniu, kiedy spadki zanotowały eksport, konsumpcja i inwestycje. Sumarycznie znalazło to odbicie we wzroście gospodarczym, który za drugi kwartał wyniósł ledwie 0,8 proc. Tanieje też mocno juan, chińska waluta. Dane dotyczące bezrobocia wśród młodych i grożącej krajowi deflacji objęto zakazem publikacji.

NAJGORĘTSZYM TEMATEM pozostaje jednak sytuacja na chińskim rynku mieszkaniowym. Upadek grozi dwóm wielkim firmom deweloperskim, Evergrande i Country Garden, które są zadłużone łącznie na blisko 500 miliardów (tak, miliardów) dolarów. Ich plajta wywołać może szok w całej gospodarce: od branży finansowej przez kooperantów aż po indywidualnych klientów, którzy nie odbiorą swoich mieszkań. Kłopoty podobno mają także inne firmy z branży, a warto pamiętać, że budownictwo, którego udział w chińskim PKB sięga 25 proc., stanowi – obok eksportu – główny filar systemu gospodarczego kraju.

Do niedawna reakcją władz na słabnącą koniunkturę było pompowanie taniego pieniądza w projekty infrastrukturalne i mieszkaniowe. Skutkowało to rosnącym zadłużeniem na szczeblu lokalnym, choć równocześnie powstawały lotniska, autostrady i, rzecz jasna, bloki mieszkalne. Ewentualny krach tej branży postawi w dramatycznej sytuacji zwłaszcza tę część ludności – całkiem sporą – dla której posiadanie dodatkowego lokum to główne zabezpieczenie emerytalne.

Państwo może oczywiście podjąć próbę ratowania deweloperów. Tym samym powiększy jednak zadłużenie wewnętrzne, już niebezpiecznie wysokie. Poza tym przy przeinwestowanym rynku z wieloma pustostanami koniunktura gospodarcza i tak nie ulegnie dzięki temu trwałej poprawie.

CZYM TŁUMACZYĆ jednak słabość pozostałych działów gospodarki? Wszak od porzucenia drakońskich restrykcji antycovidowych minie wkrótce rok, a spodziewane odbicie okazało się wątłe i krótkotrwałe. Władze Chin przekonują się, że łatwiej odkręcić przepisy, zwłaszcza w dyktaturze, niż odbudować własny wizerunek. Zwykły obywatel – po traumie lockdownów niepewny zachowania rządzących, ale świadomy też pogarszającej się gwałtownie demografii – woli dziś oszczędzać, niż konsumować.

Świat zewnętrzny otrzymał zaś wyraźny sygnał, że dla przewodniczącego Xi Jinpinga, który granice Chin potrafił zamknąć na blisko trzy lata, bardziej niż gospodarka liczą się utrzymanie władzy i społeczna kontrola. Skłania to ostatnio częściej zagranicznych inwestorów do porzucenia Państwa Środka na rzecz Indii i innych rynków. Z kolei spadek eksportu to także rezultat sektorowego rozchodzenia się gospodarek Chin i Zachodu, zwłaszcza USA.

PESYMIZM, którym powiało ostatnio z Chin, wywołał ożywioną debatę wśród ekspertów na świecie. Amerykanie – nie bez *Schadenfreude* – rewidują dotychczasowe prognozy: Chińczycy przestali doganiać gospodarczo USA, a nawet zaczynają tracić dystans. Dla jednych kłopoty Państwa Środka stanowią emanację sprzeczności, jakie napotyka gospodarka w ustroju autorytarnym. Inni mówią o początku stagnacji w japońskim stylu. Słychać też głosy, że Chiny, jak wiele państw przed nimi, wpadły w pułapkę średniego dochodu, tym samym wyczerpując limit szybkiego wzrostu.

Za wcześnie, by wyrokować. Warto mieć jednak świadomość, że skutki długotrwałej dekoniunktury w Chinach odbiją się także poza ich granicami. Dla ponad 120 krajów świata są one wszak partnerem handlowym numer jeden. Poza tym problemy gospodarcze już dziś skłaniają Pekin, by winą obarczać obcych. Odgórne rozniecanie nacjonalizmu dla kanalizowania niezadowolenia społecznego z pewnością nie pozwala też czuć się bezpieczniej Tajwańczykom.

ALTERNATYWĄ na chińskie bolączki są reformy. Pomogłoby uelastycznienie gospodarki i jej odideologizowanie – dziś nawet bankierzy muszą studiować mądrości swojego wodza Xi. Zwiększenie indywidualnej konsumpcji ograniczyłoby z kolei znaczenie budownictwa dla gospodarki, jednak wiązałoby się też z mniejszą obecnością państwa w życiu obywateli. Pobudzeniu innowacyjności nie zaszkodziłoby natomiast rozluźnienie cenzury i większa otwartość Chin na świat.

Sęk w tym, że wszystkie te propozycje idą pod prąd wizji, którą od ponad dekady Xi Jinping stara się aplikować Chińczykom. ©

ARCHIWUM RODZINY HORODYŃSKICH

Fotografia ślubna przed dworem Horodyńskich. Panna młoda Teresa Wańkowiczówna, pan młody Iwon Mierzejewski. Zbydniów, 24 czerwca 1943 r.

ROZSTRZELANA FOTOGRAFIA

Jest lato 1943 r., trwa wojna, ale na tym rodzinnym zdjęciu oni są przez chwilę szczęśliwi, uśmiechnięci. Za kilka godzin ich świat w Zbydniowie przestanie istnieć.

ANETA JONASZEK

Widać je już z drogi krajowej nr 77, niecałe 10 km na północny zachód od Stalowej Woli: wyjątkowej urody stare drzewa, skupione na obszarze 10-hektarowego parku. Dwuskrzydłowa brama i szeroka aleja zieleni prowadzą do okazałego dworu. Tego już z drogi nie widać. Podobnie jak historii ludzi, którzy tu kiedyś żyli.

HISTORIA RODU zaczyna się kilka wieków wcześniej, w innej krainie, gdzie gospodarowała rodzina bojarów litewskich – Horodyńskich. Spolonizowani, od XV w. pieczętowali się polskim herbem Korczak. Widnieje on na tympanonie portyku, który prowadzi do dworu w Zbydniowie. Budynek nie jest oryginalny; pierwowzór podzielił losy wielu polskich rezydencji, niszczonych podczas II wojny światowej lub potem przez komunistów.

Ten miał szczęście – został odbudowany. Oryginalny pochodził z przełomu ↦

↦ wieków XVIII i XIX, a decyzję o jego budowie podjął Dominik Horodyński, założyciel tutejszej linii rodu. W miejsce drewnianego budynku powstała wtedy nowoczesna jak na owe czasy rezydencja. Musimy zaufać wyobraźni, by na podstawie tego, co zostało, zobaczyć ciągnący się wokół park w stylu angielskim, pełen drzew i krzewów sprowadzanych z różnych zakątków świata.

Mimo wszystko wrażenie wciąż jest niezwykłe: czujemy tu przeszłość. Może to spokój starych dębów i buków, srebrnoszarej topoli lub dostojnej, mimo pochylonego pnia, sosny wejmutki sprawiają, że na chwilę stajemy się częścią innej opowieści. Są w niej powstania narodowe i wojny, są miejscowi chłopi zaangażowani w walkę o ojczyznę, są łany zbóż, sady, tartak i gorzelnia. Są bale, romantyczna miłość i przyjaźń. Oraz tęsknota i strach o najbliższych.

SĄ TEŻ KONIE. Piękne, o wypielęgnowanej sierści, która nie straciła blasku na fotografiach i obrazach. Szczególnie na jednym: portrecie konnym Zbigniewa Leona Horodyńskiego pędzla Józefa Brandta. Jednak tym razem to nie sylwetka konia przykuwa uwagę – a jeździec.

Był postacią nietuzinkową. W młodości kształcił się w Europie. Wiele lat spędził w stolicy cesarstwa, gdzie jako oficer galicyjskiego 10. pułku ułanów został odkomenderowany do nauczania jazdy konnej w Wiedniu. Od 1878 r. sam prowadził takie zajęcia w nowo powstałej szkole kadetów kawalerii w Mährisch Weisskrichen. Dał się wtedy poznać jako wspaniały jeździec i znakomity tancerz. Brał udział w życiu towarzyskim Wiednia, bywał na balach i polowaniach, towarzysząc konno cesarzowej Elżbiecie, żonie Franciszka Józefa.

Porzucił jednak wiedeńskie życie, by wrócić do Zbydniowa i objąć gospodarstwo, które unowocześnił. Takiego przedstawił go Brandt: statecznego gospodarza, ściągającego wodze konia, który dzięki stanowczości jeźdźca nie wyrwał się jeszcze do szaleńczego galopu.

Stadnina zbydniowska stanowiła dumę gospodarzy, oddanych i hodowli, i sportom konnym. Szczególne znaczenie zyskała po 1918 r., gdy jej właścicielem został ostatni dziedzic Zbigniew Horodyński, uznany w kraju ekspert w tej dziedzinie. Gościli tu politycy i generałowie przyciągani pasją jeździectwa, którą przesiąknięta była atmosfera domu.

Od progu, jak pisze we wspomnieniach przyjaciel rodziny Jacek Woźniakowski, natykało się na złożone tam siodła, czapraki, ogłowia końskie i wędzidła. Na ścianach wisiały fotografie – pamiątki wyścigów i wizerunki koni ze zbydniowskich stajen. W bibliotece rzędami stały książki traktujące o ich hodowli.

JESIENIĄ 1939 ROKU atmosfera ta zmieniła się z chwilą, gdy dotarła tu wojna. Przed wojną Zbigniew i Zofia Horodyńscy utrzymywali rozległe kontakty także z ludźmi nauki i kultury. Brama do dworu stała otworem dla wszystkich przybywających. Nie zmieniło się to po wrześniu 1939 r., tyle że teraz gośćmi byli ludzie uciekający przed wojną, wypędzeni z domów, pozbawieni środków do życia, a także ukrywający się pod fałszywymi dokumentami konspiratorzy. Znajdowali tu wsparcie.

W tym miejscu zaczyna się najbardziej tragiczna część rodzinnej historii. Polityka okupanta niemieckiego wobec ziemian była elementem szerszych działań wymierzonych w polskie elity; m.in. ustanawiano własnych zarządców majątków.

Jednak dobra Horodyńskich nie podlegały rekwizycji. Dzięki mądremu zarządzaniu prosperowały dobrze, a produkcja rolna przewyższała wyznaczone przez Niemców normy. Nie było zatem podstaw do ustanowienia nad nimi niemieckiego administratora, jak to miało miejsce w sąsiednim majątku Lubomirskich w Rozwadowie, gdzie takim zarządcą został niejaki Martin Fuldner. Chciał on powiększyć swoje wpływy o gospodarstwo Horodyńskich. A było ono niemałe: na początku XX w. obejmowało 1200 ha, na co składały się pola, sady, lasy oraz dwory w Zbydniowie, Kotowej Woli i Dzierdziówce (od lat 30. także położone na Wileńszczyźnie dobra stanowiące majątek żony Zbigniewa, Zofii z Gieczewiczów).

LATEM 1943 ROKU dwór był pełen ludzi. Obok rodziny (Zbigniewa, Zofii, ich dwóch synów i córki; najstarszy syn Dominik był na Wileńszczyźnie, skierowany tam rozkazem AK) schroniła się tu m.in. siostra gospodarza Maria Kowerska, Krystyna Gieczewicz (bratowa Zofii) z 12-letnim synem Leonem, rodzina Wańkowiczów z Wielkopolski. Na stałe mieszkali lub czasowo przebywali też pracownicy zatrudnieni w domu i gospodarstwie.

24 czerwca 1943 r. we dworze odbył się ślub 17-letniej Teresy Wańkowiczówny

ARCHIWUM RODZINY HORODYŃSKICH X3

Po lewej: Zofia z Gieczewiczów Horodyńska z synami Dominikiem, Zbigniewem i Andrzejem na schodach dworu. Zbydniów 1927 r.

Obok: Pamiątkowa karta z akwarelą Beaty Rychter-Janowskiej. Zbydniów, 19 listopada 1928 r.

Po prawej: Dominik i Zbigniew Horodyńscy. Zbydniów, lata 30.

z Iwonem Mierzejewskim, przyjacielem jednego z młodych Horodyńskich. Po ślubie wydano skromny obiad, po czym młoda para pojechała do Sandomierza, a niektórzy goście do swoich domów. Rodzina i pracownicy po kolacji udali się na spoczynek.

Wcześniej jednak miały miejsce dziwne zdarzenia. Podczas obiadu przed dom zajechał niemiecki samochód z karabinem maszynowym, z którego oddano w powietrze serię strzałów, po czym pojazd zniknął. Po pewnym czasie do drzwi dworu zaczęli dobijać się obcy ludzie, twierdząc, że są partyzantami i potrzebują pomocy. Nie znając ich i obawiając się prowokacji, gospodarz odprawił przybyszów. Niepokój jednak pozostał.

Z 22 osób, które tego wieczoru były we dworze, przeżyły dwie: Zbigniew i Andrzej Horodyńscy, ukryci przez matkę na strychu. Zginęli: Zbigniew i Zofia Horodyńscy, ich córka Hania, Maria z Horodyńskich Kowerska, Zofia Gieczewicz i jej syn Leon, Elżbieta „Halszka" Meysztowicz, Barbara Mierzejewska, Aleksandra i Stanisław Wańkowiczowie, Elfrida Horwatt, Halina Herubowicz, jej syn Krzysztof Jeśman, guwernantka Rozalia Koczalska, kucharka Maria Nazarewicz, pokojówki Zofia Ryczek, Maria Latocha i Stefania Łebek oraz leśniczy Edward Zboroń.

Na strychu bracia pozostali przez kolejne cztery dni.

CO DZIAŁO SIĘ przez kilkadziesiąt godzin po dokonaniu zbrodni, wiemy z relacji, którą przekazali Jacek Woźniakowski i Maria Róża Tarnowska, przyjaciele ocalonego Zbigniewa. Ukryci na strychu bracia nie widzieli jednak wszystkiego – słyszeli strzały, krzyki i szept matki, która przed śmiercią ostrzegła synów, by nie wychodzili z kryjówki, bo Niemcy mordują wszystkich (następnie niemieccy żołnierze przeszukali pokoje, by zagrabić co cenniejsze rzeczy, niszcząc pamiątki rodzinne, obrazy i książki).

Bracia słyszeli, jak zaraz po słowach matki i serii z karabinu jej ciało pada na schody, jak oprawcy wloką na pierzynach ciała pomordowanych i próbują je spalić, a na koniec grzebią w zbiorowej mogile na obrzeżach parku. Zmuszeni bez jedzenia i wody tkwić w swej kryjówce byli bliscy obłędu. W końcu, dzięki determinacji starszego brata (młodszy Andrzej, na skraju wyczerpania, próbował się zabić), udało im się wydostać z domu.

Nie było im dane przeżyć wojny. Obaj zginęli rok później w Warszawie. Obok mogiły w zbydniowskim parku są dziś tablice z ich imionami.

MINĘŁO 80 LAT od tych wydarzeń. Aby je przypomnieć, Muzeum Regionalne w Stalowej Woli zorganizowało wystawę: dzięki starym zdjęciom i nielicznym ocalałym pamiątkom rodzinnym można poznać dzieje pięciu pokoleń Horodyńskich. Obok opowieści o powstaniach narodowych, represjach zaborców, więzieniach i zesłaniu, obok opowieści o życiu codziennym jest też miejsce na wspomnienie 24 czerwca 1943 r.

Opisują je cytaty ze wspomnień Zbigniewa Horodyńskiego i fragmenty zeznań ludzi, którzy zetknęli się wtedy z niemieckimi żołnierzami z kompanii Waffen SS, dowodzonej przez Hauptsturmführera Ewalda Ehlersa, którzy wykonali polecenie Martina Fuldnera, by pozbyć się mieszkańców zbydniowskiego majątku.

Na jednej ze ścian wisi fotografia: pokazuje szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi. Na pierwszym planie para młodych: ona lekko odwraca głowę w stronę stojących za nią rodziców i gości, obejmujący ją chłopak uśmiecha się szeroko, tuż za nim podobnie uśmiechają się jego matka i przyjaciele. Głowa rodziny, Zbigniew, z wspartą na jego ramieniu siostrą Marią, nastoletnie Hania i Anna w eleganckich sukienkach, synowie gospodarza, goście. Za kilka godzin ten świat przestanie istnieć. Jego przedstawiciele – rodzina właścicieli, pracownicy, goście – spoczną we wspólnej mogile.

TAMTA CZERWCOWA NOC miała kontynuację. Ten, który zdecydował o śmierci 19 ludzi, kilka miesięcy później zginął z ręki Zbigniewa Horodyńskiego (nie był to samosąd – Zbigniew wykonał rozkaz podpisany przez płk. Augusta Fieldorfa „Nila").

Odbudowany dwór, sąsiadująca z nim mogiła i wystawa w stalowowolskim muzeum nie zamykają tej historii. Poszukiwania odpowiedzi na wiele pytań dotyczących tamtych wydarzeń i związanych z nimi ludzi wciąż trwają.

© ANETA JONASZEK

Autorka jest historyczką, współkuratorką (razem z Katarzyną Sabat) wystawy o historii rodu Horodyńskich w Muzeum Regionalnym w Stalowej Woli, którą można oglądać do 24 września.

NAUKA

PRZETASOWANIA W WYŚCIGU MOCARSTW

Krater, który w powierzchni Księżyca wybiła sonda Łuna-25, symbolizuje upadek rosyjskiego programu kosmicznego. Do liderów dołączają za to Indie.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Indie są na Księżycu!" – wykrzyknął przewodniczący indyjskiej agencji kosmicznej Sreedhara Somanath, gdy zbudowany przez jego inżynierów lądownik 23 sierpnia bezpiecznie osiadł na powierzchni Srebrnego Globu.

Premier Narendra Modi nie przegapił okazji, by podkreślić epokowe znaczenie wyczynu. „Przy tej radosnej okazji chciałbym zwrócić się do wszystkich ludzi na świecie. Sukces indyjskiej misji księżycowej nie jest sukcesem tylko Indii. (...) Ten sukces należy do całej ludzkości i pomoże w przyszłości misjom księżycowym innych krajów" – obwieścił w przemówieniu na żywo z Afryki Południowej, gdzie bierze udział w szczycie BRICS – globalnego bloku, w którego skład wchodzą także Brazylia, Chiny, RPA i Rosja.

Ale inny z uczestniczących w szczycie – jedynie zdalnie – przywódców nie miał powodów do zadowolenia. Władimir Putin nawet słowem nie skwitował klęski rosyjskiej sondy Łuna-25, która zaledwie cztery dni wcześniej, zamiast delikatnie osiąść w księżycowym pyle, wybiła w nim głęboki krater.

Nieunikniona kolonizacja

Dla Indii księżycowa sonda to powód do narodowej dumy. Jej lipcowy start z Centrum Kosmicznego Satish Dhawan oglądały dziesiątki tysięcy ludzi. Transmisję na żywo z lądowania – 8 milionów. Nic dziwnego. Wcześniej zaledwie trzy państwa: USA, ZSRR i Chiny zdołały wysłać lądownik na Srebrny Glob. I tylko Chiny zrobiły to w ciągu ostatnich 50 lat.

Delhi nie pierwszy raz pokazało, że ma ambicje dołączyć do czołowych kosmicznych graczy. W 2014 r. indyjska sonda osiągnęła orbitę Marsa. Tak jak wtedy, tak i dziś indyjscy inżynierowie zrobili to przy budżecie, który w USA czy UE ledwie wystarczyłby na catering. Sonda Chandrayaan-3 kosztowała 75 mln dolarów. Ponad dwa razy więcej wyniósł budżet filmu „Interstellar".

Indyjski księżycowy pojazd składa się z lądownika, maleńkiego łazika i modułu napędowego, który pozwolił mu pokonać 384 tys. km w ciągu sześciu tygodni. Lądownik i 26-kilogramowy łazik są wyposażone w pięć instrumentów naukowych do badań powierzchni Księżyca. Misja ma potrwać 14 ziemskich dni, czyli jeden dzień księżycowy. Potem, w mroku, pojazdy nie będą mogły naładować baterii. Nie jest jasne, czy zdołają się obudzić po księżycowym świcie.

Miejsce lądowania indyjskiej sondy – południowy biegun Księżyca – jest uważane za istotne zarówno ze względów naukowych, jak i strategicznych. Pod księżycowym pyłem mają tam leżeć wielkie zasoby wodnego lodu, kluczowego z punktu widzenia kolonizacji globu. Lód to źródło wody pitnej, tlenu i wodoru, daje więc zasoby dla podtrzymania życia i podstawowe składniki paliwa rakietowego, koniecznego, by ekonomicznie wykorzystywać księżycowe zasoby.

Choć na razie nie jest jeszcze jasne, jak te zasoby wydobywać ani nawet co Księżyc kryje. USA, przygotowujące swój własny program Artemis, już zaproponowały jednak ramy prawne, *de facto* pozwalające dzielić Srebrny Glob na strefy wpływów. „Porozumienia Artemis" podkreślają co prawda obowiązującą w prawie międzynarodowym zasadę, zgodnie z którą nikt nie może ogłosić powierzchni ciała niebieskiego swoim terytorium, pozwalają jednak rysować na powierzchni Księżyca „strefy bezpieczeństwa" wokół lądowników czy baz, w obrębie których nikt bez autoryzacji nie będzie mógł prowadzić konkurencyjnej działalności. Indie (a także m.in. Polska) porozumienie podpisały. Chiny i Rosja – nie.

Kratery zamiast dumy

Najpierw trzeba jednak na Księżycu wylądować, a to wcale nie jest takie proste. Własne misje na naszego satelitę w najbliższych latach planuje nawet kilkanaście krajów, ale dotychczasowe statystyki nie są zachęcające.

Poza Chinami, które od 2013 r. umieściły na Księżycu trzy lądowniki, w tym pierwszy po niewidocznej z Ziemi stronie, wszyscy, którzy w ostatnich latach podejmowali podobne próby, musieli pogodzić się z niepowodzeniami. Pierwszy indyjski lądownik, Chandrayaan-2, rozbił się w 2019 r. W tym samym roku nie powiodło się lądowanie sondy z Izraela. W kwietniu tego roku rozbił się lądownik z Japonii.

Japońska agencja kosmiczna JAXA planuje jednak powtórkę jeszcze w tym miesiącu. USA, które Księżyc omijały szerokim łukiem od 1972 r., także chcą w tym roku wysłać tam trzy lądowniki zbudowane przez prywatne firmy. Może już w 2025 r. dołączą do nich astronauci w ramach misji Artemis III.

„Nie ma wątpliwości, że lądowanie na Księżycu jest prawdziwym wyzwaniem – napisał w oświadczeniu administrator NASA Bill Nelson. – Ale Księżyc oferuje wspaniałe naukowe odkrycia. Dlatego ostatnio widzieliśmy tak wiele prób ponownego odwiedzenia jego powierzchni. Nie możemy się doczekać wszystkiego, czego dowiemy się w przyszłości, w tym z indyjskiej misji Chandrayaan-3".

Upadek z orbity

Rosja w tym towarzystwie wypada gorzej niż blado. Klęska lądownika Łuna-25 jest tylko najnowszą z upokarzających porażek tamtejszego programu kosmicznego. Kraj, który wysłał na orbitę pierwszego sztucznego satelitę, pierwszego człowieka i przez wiele dekad był liderem w badaniach Układu Słonecznego, dziś ledwie jest w stanie wystrzeliwać na orbitę proste satelity.

W całym okresie poradzieckim Roskosmos podjął trzy próby wyjścia poza niską orbitę okołoziemską. Wszystkie – marsjańskie sondy Mars 96 i Fobos-Grunt oraz tegoroczna księżycowa Łuna-25 – zawiodły. Moskwa nie była w stanie wysłać w kosmos nawet jednej pozaziemskiej sondy od połowy lat 80.

Łuna-25 miała być dowodem na to, że rosyjska myśl techniczna ma się doskonale nawet w obliczu zachodnich sankcji. Tamtejsi planiści przygotowywali już całą serię pojazdów, które miały odwiedzać Srebrny Glob co kilka miesięcy. Nie jest jasne, czy którykolwiek z nich oderwie się od Ziemi.

Nie wiadomo, co dokładnie zawiodło. Roskosmos ograniczył się do opublikowania w mediach społecznościowych krótkiego oświadczenia, w którym poinformował, że statek kosmiczny uległ awarii podczas uruchamiania silników manewrowych. „Około 14.57 czasu moskiewskiego przerwano komunikację ze ↦

Radość po starcie indyjskiej misji kosmicznej na Księżyc, Ahmedabad, Indie, 22 sierpnia 2023 r.

AMIT DAVE / REUTERS / FORUM

↦ statkiem kosmicznym Łuna-25" – napisano w suchym oświadczeniu. W wywiadzie dla Russia 24 szef Roskosmosu Jurij Borysow obwinił za katastrofę awarię silnika, twierdząc, że podczas manewru pracował on przez 127 sekund, a nie przez planowane 84 sekundy.

Podobnych awarii rosyjski program kosmiczny odnotowuje ostatnio więcej niż sukcesów. Rosyjskie moduły Międzynarodowej Stacji Kosmicznej notorycznie zaliczają kolejne usterki i wycieki powietrza. Pięć lat temu rakieta Sojuz, dotąd jeden z najbardziej niezawodnych koni roboczych wynoszących na orbitę ładunki, spektakularnie eksplodowała podczas startu, skutkiem czego jej załoga, Aleksiej Owczinin i Nick Hague, zamiast na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej wysiadła na środku azjatyckiego stepu. Wiele wskazuje na to, że rosyjscy inżynierowie nie tylko nie mają już możliwości gonienia osiągnięć zachodnich programów kosmicznych, ale w coraz mniejszym stopniu są w stanie podtrzymywać sprawność systemów stworzonych przez ich poprzedników w latach 60.

„Gdyby Łuna-25 wylądowała, niewątpliwie byłoby to wykorzystywane jako dowód, że Rosja nadal jest wielkim narodem, pomimo niepowodzeń w katastrofalnej wojnie na Ukrainie – pisał w CNN były astronauta Leroy Chiao. – Zamiast się rozwijać, rosyjski program kosmiczny od lat podupada, a proces wydaje się przyspieszać. To odzwierciedla stan całego kraju".

Nowe rozdanie

Tymczasem indyjska sonda powoli rozpoczyna pracę. Kilka godzin po tym, jak lądownik Vikaram dotknął księżycowego gruntu, gdy kurz opadł, panele po jednej z jego stron zostały otwarte. Z wnętrza wysunęła się rampa, za pomocą której łazik Pragyaan zjechał na powierzchnię.

Będzie ją badał z oszałamiającą prędkością 1 cm na sekundę. Ale to wystarczy, by ugruntować pozycję Indii jako kosmicznego mocarstwa, rywalizującego z USA, UE i Chinami. Rosji w tej nowej układance niemal nie widać.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

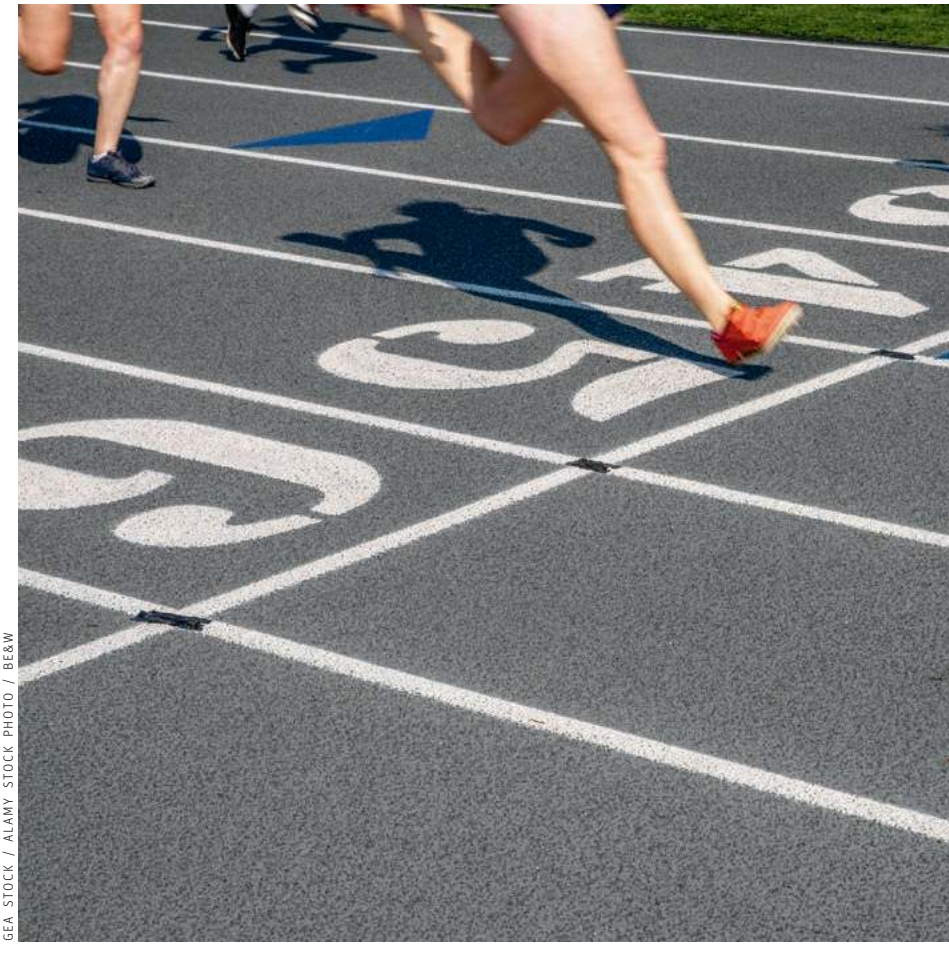

GEA STOCK / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Psychofizyka AI

MATEUSZ HOHOL

Duże modele językowe, takie jak popularny ChatGPT, są wdzięcznymi obiektami badań dla psychologów. I mogą mówić coś ciekawego zarówno o sztucznej, jak i naturalnej inteligencji.

Psychologia eksperymentalna powstała jako samodzielna dyscyplina w połowie XIX wieku. Do jej pierwszych działów należała psychofizyka, badająca ilościowo relacje między bodźcami fizycznymi – np. przedmiotami różnej wielkości, światłem o różnej jasności itd. – a naszą percepcją.

Prekursorami tej dziedziny byli Ernst Heinrich Weber i Gustav Theodor Fechner. Ten ostatni opublikował w 1860 r. pracę „Elementy psychofizyki", w której argumentował, że nasz umysł przetwarza wszystkie ciągłe i nieciągłe wielkości tak samo, niezależnie od tego, czy porównujemy ze sobą masy przedmiotów (Fechner lubował się w badaniach z wykorzystaniem ciężarków), dźwięki o różnej głośności czy też zbiory kropek różniące się liczebnością.

Co jednak z wielkościami symbolicznymi, np. liczbami w zapisie arabskim?

Teoria wielkości

Współcześnie wielu psychologów i neuronaukowców przekonanych jest, że u podstaw naszej zdolności do

radzenia sobie z wielkościami symbolicznymi, w szczególności liczbami, leży dokładnie ten sam stary ewolucyjnie system poznawczy, odpowiadający za przetwarzanie wielkości fizycznych.

Przekonanie to wyraża sformułowana w 2003 r. przez Vincenta Walsha z University College London teoria ATOM (od ang. *A Theory of Magnitude*, czyli teoria wielkości), zgodnie z którą w korze ciemieniowej ludzi i innych ssaków znajduje się elementarny mechanizm przetwarzania przestrzeni, czasu, ilości i wszystkich innych wielkości, o których możemy pomyśleć w kategoriach „więcej-mniej". Z teorią tą spójne są wyniki badań neuroobrazowych – u osób badanych obserwowano analogiczne wzorce aktywności mózgu, niezależnie od tego, czy porównywały one ze sobą rozwartości kątów, długości linii czy wielkości liczb w zapisie arabskim.

Jak twierdzi neuronaukowiec Stanislas Dehaene z Collège de France, mamy tu do czynienia z „recyklingiem" obwodów neuronalnych, które dobór naturalny wyspecjalizował w wykonywaniu pomiarów. Podobieństwa w przetwarzaniu przez umysł (zarówno ludzki, jak i wielu gatunków zwierząt) różnych wielkości zaobserwować można również w prostych eksperymentach behawioralnych – nie trzeba za pomocą żadnej specjalistycznej aparatury mierzyć aktywności mózgu.

Gdy porównujemy dwa obiekty, radzimy sobie gorzej (tzn. popełniamy większą liczbę błędów i wolniej wykonujemy zadanie) wtedy, kiedy obiekty te są do siebie zbliżone rozmiarem, niż wtedy, gdy różnica w ich wielkości jest większa. Jeśli porównywane przedmioty różnią się od siebie o tyle samo, trudność zadania rośnie wraz ze wzrostem wielkości fizycznej. Innymi słowy, łatwiej porównać jest ze sobą obiekty małe niż duże.

Pierwsze z tych zjawisk psychofizycznych określa się jako „efekt odległości", drugie zaś jako „efekt rozmiaru". Zaobserwowano je m.in. w zadaniach polegających na porównywaniu długości linii, jasności światła czy liczebności przedmiotów (np. zbiorów kropek).

Co więcej, na przełomie lat 60. i 70. psycholodzy opisali efekt dystansu i efekt rozmiaru dla wielkości liczb wyrażonych zapisem arabskim. W zadaniach polegających na udzielaniu szybkiej odpowiedzi, która z dwóch prezentowanych jednocześnie liczb jest większa, osoby badane reagują szybciej i popełniają mniej błędów w przypadku bardziej odległych od siebie liczb, np. 1 i 9, niż w przypadku bliższych liczb, np. 1 i 2. Gdy dystans dzielący liczby jest natomiast jednakowy, jak np. dla par liczb 1 i 2 oraz 8 i 9, większą efektywność poznawczą obserwuje się dla liczb mniejszych.

Warto dodać, że efekty te obserwowane są nie tylko w przypadku prezentacji cyfr arabskich, ale też w innych formatach zapisu – np. za pomocą słów (liczebników).

Jak liczby na osi

Zgodnie z hipotezą zaproponowaną w 1970 r. przez psychologa Franka Restle'a, efekt dystansu numerycznego świadczy o tym, że nasz umysł reprezentuje liczby tak, jakby znajdowały się na znanej ze szkoły osi liczbowej, na której mniejsze wartości są po lewej stronie, a większe po prawej.

Aby wskazać, która z dwóch wyświetlonych im liczb jest większa, osoby badane najpierw muszą odnieść je do umysłowej osi liczbowej, a następnie wybrać tę, która znajduje się bardziej po prawej, przy czym im dalej względem siebie znajdują się punkty reprezentujące liczby, tym zadanie jest mniej obciążające poznawczo.

Warto dodać, że ten proces jest automatyczny i przebiega poniżej progu świadomości. Zgodnie z koncepcją umysłowej osi liczbowej efekt rozmiaru wskazuje z kolei na to, że odległości pomiędzy punktami reprezentującymi poszczególne liczby na umysłowej osi nie są jednakowe, ale że oś ta charakteryzuje się kompresją logarytmiczną. To oznacza, że na naszej umysłowej osi jedynka znajduje się dalej od dwójki niż ósemka od dziewiątki.

Liczne badania nad efektami dystansu i rozmiaru wskazują, że dla naszych umysłów liczby nie są więc specjalnym przypadkiem wielkości – radzimy sobie z nimi, wykorzystując podstawowy mechanizm pomiarowy, w który wyposażone są również inne zwierzęta. Choć inspirowane klasyczną psychofizyką teorie Walsha i Dehaene'a mają głęboki sens ewolucyjny, to łatwo zauważyć, że efekt rozmiaru jest rodzajem popełnianego przez nas systematycznie błędu poznawczego. Przecież zgodnie z wiedzą, jaką zdobywamy na poziomie szkoły podstawowej, różnica między 1 i 2 jest identyczna jak między 8 i 9.

Nie wszyscy zgadzają się jednak z koncepcjami Walsha i Dehaene'a w zakresie przetwarzania wielkości symbolicznych. Ale o tym za chwilę.

Umysł w maszynie

Można by sądzić, że sztuczna inteligencja, przynajmniej taka, która nie wchodzi w interakcje ze światem fizycznym, będzie traktować wszystkie liczby jednakowo i radzić sobie z ich porównywaniem bez popełniania błędów poznawczych. Aby to sprawdzić, kognitywiści z laboratorium Sashanka Varmy z Georgia Institute of Technology przyjrzeli się kilku dużym modelom językowym (ang. *Large Language Models*), czyli architekturom uczenia głębokiego wytrenowanym na ogromnych ilościach tekstu, w tym niezwykle popularnemu GPT (przy czym wykorzystano wersję starszą od obecnej).

W badaniu, w którym naukowcy wymuszali na modelu wielokrotne ↦

↦ porównania dwóch liczb jednocyfrowych, zapisanych jako cyfry arabskie albo liczebniki, zaobserwowano dwa wspomniane efekty psychofizyczne. Efekt dystansu wystąpił zarówno w przypadku cyfr, jak i liczebników, natomiast efekt rozmiaru jedynie dla cyfr. Zjawiska te zaobserwowano dla czasów reakcji (poprawność wykonania tak prostych zadań jest w przypadku dużych modeli językowych stuprocentowa).

Varma i współpracownicy zinterpretowali te wyniki w duchu klasycznej koncepcji Restle'a, twierdząc, że podobnie jak w przypadku ludzi, czat GPT i inne duże modele językowe reprezentują liczby jako punkty rozmieszczone na wirtualnej osi liczbowej, cechującej się logarytmiczną kompresją. Badacze powstrzymali się jednak od spekulacji dotyczących mechanizmu powstawania tych efektów w pozbawionych obwodów neuronalnych sztucznych systemach.

Zachowania dużych modeli językowych, takich jak GPT, nie są skutkiem bezpośrednich zabiegów programistów, ale wyłaniają się z treningu na danych tekstowych. Twórcy dużych modeli językowych zapytani o to, skąd biorą się efekty psychofizyczne, odpowiedzieliby po prostu, że odzwierciedlają one strukturę korpusów wiedzy, a konkretnie – siły połączeń pomiędzy symbolami i częstotliwości ich występowania.

Taka odpowiedź może wydawać się mało satysfakcjonująca, ale niewykluczone, że mówi ona coś także o genezie efektów dystansu i rozmiaru numerycznego u ludzi.

Wydaje się, że nasz umysł reprezentuje liczby tak, **jakby znajdowały się na znanej ze szkoły podstawowej osi**, na której mniejsze wartości są po lewej stronie, a większe po prawej.

Kilka lat temu, jeszcze zanim ChatGPT trafił do naszych komputerów, psycholog poznawczy Attila Krajcsi z Uniwersytetu Loránda Eötvösa w Budapeszcie zaproponował odmienne wyjaśnienie efektów psychofizycznych w odniesieniu do liczb symbolicznych. Zgodnie z rozwijaną przez niego teorią dyskretnego systemu semantycznego ludzki mózg przechowuje wiedzę dotyczącą liczb nie w formie umysłowej osi liczbowej, ale raczej leksykonu czy też sieci, której węzły reprezentują poszczególne liczby.

Według Krajcsiego efekt dystansu numerycznego bierze się stąd, że siła połączeń pomiędzy węzłami-liczbami jest proporcjonalna do wartości liczbowych i dzielących je odległości. Z kolei za efekt rozmiaru odpowiada częstotliwość, z jaką napotykamy poszczególne liczby. Na co dzień ludzie częściej stykają się z liczbami mniejszymi niż większymi – nic więc dziwnego, że mniejsze liczby, w których wyćwiczeni jesteśmy bardziej, przetwarzane są szybciej.

Idea Krajcsiego może tłumaczyć również, dlaczego zespół Varmy zaobserwował efekt rozmiaru jedynie dla cyfr. W korpusach treningowych modeli językowych różne liczebniki, w przeciwieństwie do cyfr, mogły być po prostu jednakowo częste.

Stuletnie metody

Niezależnie od tego, skąd w sztucznych systemach biorą się efekty psychofizyczne, istnieje jeszcze jedno podobieństwo między tym, jak nasze umysły radzą sobie z liczbami, a tym, jak robią to duże modele językowe.

ChatGPT zapytany o to, czy jest podatny na efekt dystansu numerycznego, odpowiada, że choć „może zrozumieć i dostarczyć informacji na temat różnych zjawisk poznawczych, jako model oparty o uczenie maszynowe nie jest podatny na efekty psychologiczne charakterystyczne dla ludzi".

Mimo że istnieją poważne wątpliwości, czy w przypadku dzisiejszych dużych modeli językowych możemy mówić o rozumieniu czegokolwiek, nasuwa się myśl, że podobnie jak my na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, że łatwiej porównać jest nam 1 z 9 niż 1 z 2, również duże modele językowe nie dysponują wiedzą na temat własnych błędów poznawczych.

Badanie przeprowadzone przez zespół z Georgii jest pouczające: pokazuje, że zachowanie dużych modeli językowych można badać za pomocą metodologii sięgającej początków psychologii eksperymentalnej i że prowadzi ona do znacznie lepszych rezultatów niż zadawanie bezpośrednich pytań. © MATEUSZ HOHO

JACEK

Podsiadło: *Byłem noszowym u Harrisa*

Mówiło się o nim z podziwem i zachwytem. Jak zaczął uzdrawiać o świcie, to nie spoczął, aż skończył po zmroku. Chyba w ogóle nie jadł przez cały ten czas, herbatę tylko pił. Pieniędzy żadnych nie brał, nikt mu zresztą nie dawał, bo prawie nikt nie miał. Był drobniutki i wątły. Z daleka było widać, że święty, a chłopcu było nawet dane oglądać go z bliska.

Z bliska wyglądał jak gość z kosmosu. Ale przezwisko E.T. nadadzą mu później przyjaciele chyba też w związku z aparycją. Miał wypisaną na twarzy bezbronność klasowego ślamazary, zwłaszcza kiedy był w tym niby-transie. Ogólnie budził sympatię, tak że na świętego jak najbardziej się nadawał. Tylko imię musiałby zmienić, Clive Harris pasuje raczej do gwiazdy rocka.

Leczył wyłącznie przy kościołach. Poprzedzała go fama. Do Szewny przyszło i zjechało na niego dziesięć tysięcy ludzi, zarówno chorych, jak i ciekawych. Była jesień 1980 r., przypuszczam, że listopad. Żeby ciekawi nie pchali się przed chorych, a chorzy przed umierających, potrzebna była służba pomocniczo-porządkowa. I chłopiec do niej właśnie trafił, do obsługi niezdolnych stać w ogonku.

Już od rana kłębił się na przedkościelnym placu tłum, nad którym trzeba było zapanować. Furmanki, żuki, warszawy, wózki inwalidzkie. Specjalnymi palikami, na których zawisł sznurek, wyznaczono krętą trasę kolejki. Odstawszy swoje, blisko Harrisa trzeba było oddać płaszcz i trzymać w ręce karteczkę z nazwą chorej części ciała. Asystenci czytali mu z tych kartek, jaki organ ma w try miga wyleczyć. Jedna pomagierka każdego chorego łapała za dłonie i po przepisowych trzech sekundach wyrywała go Harrisowi z rąk, żeby sprawy posuwały się naprzód. Paltocik z powrotem do ręki i wio, w nowe życie, nie tarasować wyjścia!

Juliusz Jan Braun pisał potem w „Przemianach", że „kolejka obiega kościół, przechodzi koło plebanii, by wreszcie ginąć w drzwiach sali parafialnej zaaranżowanej w dawnej stodole". Oceniał wydajność Harrisa na 800 uzdrowionych na godzinę. O chłopcu też napisał: „Uwijają się dziewczęta i chłopcy z Szewnej, którzy zgłosili się, by pomagać tym, którzy z nadzieją w sercu przybyli do ich miejscowości. Po błotnistej drodze pchają pod górę inwalidzkie wózki. Chwytają nosze".

Ta błotnista droga pod górę ułożona była na dodatek z kocich łbów. Wieczorem chłopiec był zmęczony, ale zadowolony. Jakby dostał zastrzyk energii. Nie od Harrisa, bo kiedy ten zaprosił wszystkich chętnych ze służby porządkowej, chłopiec nie skorzystał. Akurat bawił się w znachora z nieprzystępną na co dzień lokalną pięknością przekonującą go teraz zalotnie, iż babcia chora jest obłożnie i należy jej się Harris poza kolejnością.

Wszyscy potem mówili, że jak ich dotykał, to czuli raczej coś niż nic. Coś jakby prąd, a jak nie prąd, to przynajmniej takie mrowienie. Ale żeby się komu polepszyło, to nie. Jak kulawa do niego poszłam, tak kulawa wróciłam, jeszcze mi się żylaki powiększyły od stania w tej kolejce. Ale takie jakby ciepło to się rzeczywiście czuło.

Chłopcu została po Harrisie przypinka z wizerunkiem E.T. i cytatem z Listu Pawła do Kolosów. Cytat od początku wydawał mu się obrazoburczy: „Dopełniam braki udręk Chrystusa".

Upadek świętego zapoczątkowała rozmowa „Byłam »podającą« u Harrisa" z „pragnącą zachować anonimowość", ale niezbyt długo, Marią Pieńkowską. Opublikowała ją w 1999 r. w książce „Quo vadis, Nowa Ero?" Hanna Karp, jeszcze jako Karaś. Pieńkowska opowiedziała Karaś-Karp, że Harris nic a nic nie był święty, obżerał się na noc, palił papierosy, a w magicznych sztuczkach przeszkadzały mu modlitwy chorych.

Ruszyła lawina. Czesławowi Ryszce przypomniało się w 2004 r., że kiedyś Harris „kazał zabrać Najświętszy Sakrament z głównego ołtarza, ponieważ Jego obecność przeszkadzała mu w »gromadzeniu energii«". Widzący z Warszawy tropy szatana choćby i w Ełku Robert Tekieli powiedział w 2010 r. „Rycerzowi Niepokalanej": „Harris inicjował w okultyzm 3 miliony Polaków, którzy przychodzili ufnie do kościołów". Marcin Wałdoch, który w 2017 r. wyraził swoją – a właściwie esbecką, bo opartą głównie na bezpieczniackich dokumentach – opinię o Harrisie na łamach „Zeszytów Chojnickich", powtarzał kłamstwa komuchów: „Harris pomimo deklaratywnej działalności społecznej, na seansach zarabiał od 100 do 1000 zł od osoby".

W kręgach kościelnych akcje healera już wcześniej spadły do zera. Przyjeżdżał do Polski aż do śmierci w 2009 r., ale na spotkania w domach kultury przychodziło po parędziesiąt osób. Niewielu brało go w obronę, ale Jan Turnau wziął: „Mnie Harris na kłopoty żołądkowe nie pomógł, (...) ale żonę i kuzynkę z bólów głowy wyleczył definitywnie, a mego syna aż rzuciło Harrisową energią na ziemię".

Chłopca Harris nie powalił. Przypinka trafiła do śmieci, inicjacja w okultyzm nie powiodła się ze wzmiankowanych już przyczyn hormonalnych. Na całe życie została mi za to po wizycie Harrisa nauczka, jak łatwo się upoić władzą. Po latach pojąłem satysfakcję chłopca, której przyczyn sam był pewnie skłonny upatrywać w służbie chorym, poświęceniu dla bliźniego itp. Był nikim, wsiowym gówniarzem, do którego przez to, że postawili go przy słupku ze strzałką, stawało się w osobnej kolejce, prosiło o pomoc, dziękowało, przepraszało. Sądził pewnie, że musi być wspaniały, skoro wszyscy są dla niego tak mili. I Harris przypomina mi się już tylko wtedy, kiedy podejrzewam się o nadużywanie jakiejś danej mi na chwilę władzy. Pochlebiam sobie bowiem, że „szatana" godnego skrzyżowania rękawic szukam tylko w sobie, tylko tam wytrenowany może być groźny. ©

DZIKI I DZIWNY

Faulkner pisał genialne powieści. Jego proza, choć tak zgodna z duchem czasu, jest efektem domorosłych wynalazków, samouctwa, prób i błędów. Pracował w dużej mierze intuicyjnie. Teraz wraca do nas w nowej odsłonie.

PIOTR KOFTA

BETTMANN / GETTY IMAGES

Zespół Rammstein śpiewał niegdyś zgryźliwie: *„We're all living in Amerika"*. Stany Zjednoczone, jakkolwiek banalnie by to brzmiało, nie tylko zdołały uczynić własną kulturę masową globalnym towarem, lecz także hojnie przekazały nam swoje marzenia i mitologię założycielską. Ale nie całą. Prócz opowieści o pierwszej światowej demokracji, o ciągnących na Zachód pionierach, o kowbojach i Indianach, o gospodarczym boomie i kryzysie, pucybutach, milionerach i technokratach, o detektywach i gangsterach, o imigranckim „tyglu narodów", wreszcie o żołnierzach na rozmaitych występach gościnnych, istnieje jeszcze jeden istotny wymiar amerykańskiej pamięci historycznej, który nie jest już tak ewidentny i oczywisty dla tych, którzy patrzą z oddali.

Mit przegranej

Wprawdzie „wszyscy żyjemy w Ameryce", ale przecież nie ma jednej Ameryki – są co najmniej dwie. Ta od sztandaru w „gwiazdy i pasy", która wygrała wojnę secesyjną (1861-1865), i ta od „Krzyża Południa", która tę wojnę przegrała. Dzisiaj znowu widać rozdzierający podział.

Unioniści – Jankesi – wygrali wojnę, ale Konfederaci nie zapomnieli swoich racji. Wręcz przeciwnie: w rzece czasu stanęli pod prąd i stworzyli retrotopię raju utraconego (a zarazem wizję alternatywnej Ameryki, której nie pozwolono zaistnieć). W wojnie secesyjnej chodziło, czego nietrudno się domyśleć, o utrzymanie bądź likwidację niewolnictwa, ale w narracji Południowców był to konflikt o wartości: zderzenie tradycji z nowoczesnością, harmonii sielskiego, prowincjonalnego życia z wielkomiejskim chaosem, wiejskiego domu z burdelem, religijności z bezbożnictwem, przyrody z technologią, moralności z rozpustą, rodziny z bezhołowiem, oficerskiego honoru ze zdradzieckim, nieuczciwym sprytem.

Do dziś żywy na Południu mit przegranej sprawy (*Lost Cause Myth*) opiera się na dwóch założeniach: że, po pierwsze, okrucieństwa systemu niewolniczego to wytwór jankeskiej propagandy – w istocie, rzecze ta narracja, niewolnicy, otoczeni troskliwą opieką białych, żyli z nimi jak w wielkich domowych pieleszach, a społeczne problemy (osieroconych) czarnych zaczęły się dopiero po triumfie abolicjonizmu. Autentyczna kultura Południa musiała – według tej narracji – ulec w wyniku liczebnej przewagi unionistycznego barbarzyństwa, choć była rzeczywistym nośnikiem amerykańskich cnót: bohaterstwa, rycerskości, serdeczności, gościnności, szacunku. Naturalnie – skoro czarnych niewolników obsadzono w tej historii w roli dzieci bądź zwierząt domowych – koniecznym zwornikiem owego ładu musi być supremacja białych.

William Faulkner, 5 czerwca 1955 r.

Magia nostalgii

Jakkolwiek podszyta fundamentalną negacją rasizmu, a nadto cokolwiek kłamliwa, opowieść ta jest wszelako atrakcyjna, bo mówi z melancholijną tęsknotą o ludziach pięknych i, w miarę swoich możliwości, szlachetnych – co było choćby źródłem sukcesu powieści Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem" (1936) i jej ekranizacji (1939) z Vivien Leigh i Clarkiem Gable'em w rolach głównych. Jest to jednak zarazem rzecz o klęsce.

„Przeszłość ma na Południu znaczenie większe niż gdzie indziej, nie tylko dlatego, że rzuca wyjątkowo długi cień, lecz również dlatego, że teraźniejszość tak rozczarowuje. Przeszłość łatwiej zrozumieć" – pisze Paul Theroux w eseistycznym reportażu „Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji" (przeł. Michał Szczubiałka, Czarne 2017), kreśląc sprawozdanie z podróży po najbiedniejszej, najgłębiej dotkniętej wszelkimi XX- i XXI-wiecznymi kryzysami części USA.

Crack, opiaty, przestępczość, broń, bezrobocie, wyludniające się miejscowości, upadek edukacji: „Mało pracy, żadnych gości, tak samo jak dawniej. (...) Takie historie słyszałem wszędzie na wiejskim Południu, w zrujnowanych miasteczkach, które niegdyś żyły z drobnego przemysłu (...). Tani grunt, dostatek siły roboczej, niskie płace i brak związków zawodowych zwabiały przedsiębiorców. Przez pewien czas Południe się rozwijało w sposób napawający nadzieją na lepszą przyszłość, może nawet dobrobyt. Wszystko dzięki najniższym kosztom produkcji w całych Stanach. Ale działo się tak tylko dopóty, dopóki przedsiębiorcy nie odkryli, że jakkolwiek niskie są koszty produkcji w wolnych do syndykalizmu stanach południowych, nie mogą być one niższe niż w opartych na zwykłym wyzysku fabrykach w Chinach".

Innymi słowy – zderzenie z potęgą kapitalizmu faktycznie okazało się druzgocące dla Południa, złamanego już przez wojnę i resentyment. Wyspy Szczęśliwe wciąż były w zasięgu wzroku, lecz aby je dojrzeć, należało patrzeć w przeszłość. „Zgadzam się (...) z Charlesem Sheltonem Aikenem, który w książce na temat Faulknera i pejzaży Południa zauważył przenikliwie, że »jednym z najwspanialszych artefaktów Nowego Południa jest mitologia Starego Południa« – wspomina Theroux. – Rzekomo piękna epoka to w rzeczywistości kilka dziesięcioleci przeistoczonych magią irracjonalnej nostalgii".

William Faulkner jest jednym z głównych bohaterów „Głębokiego Południa" – po pierwsze jako pisarz, który, żywiąc się południową mitologią, jednocześnie gruntownie ją zdekonstruował, po drugie jako lojalny mieszkaniec prowincjonalnego Oxfordu w stanie Missisipi, z krwi i kości Południowiec, nawet po literackim Noblu przedstawiający się dziennikarzom jako miejscowy farmer i myśliwy.

„Faulkner, jeden z naszych największych pisarzy i najbardziej wnikliwych myślicieli – nieśmiały człowiek, ale zuchwały geniusz literacki z encyklopedyczną znajomością historii Południa, tytan, którego nie może zignorować nikt podróżujący po stanach południowych – przeżył całe życie w sercu podzielonej rasowo społeczności w mieście, które z dumą nazywał swoim, i ani raz nie powiedział głośno swym mądrym głosem, że czarni mają przyrodzone prawo studiować na tamtejszym uniwersytecie. Wierzył w maksymę głoszącą, że wszystko w swoim czasie" – konkluduje Theroux, docierając do kluczowej sprzeczności, jaka legła u podstaw fenomenalnej twórczości Faulknera.

Seria arcydzieł

Nic prostszego niż przekonać się samemu, sięgając po nowy polski przekład „Światłości w sierpniu", jednej ze sztandarowych powieści Faulknera z czasu jego wybitnej pisarskiej formy. Niewykluczone, że „Światłość w sierpniu" to po prostu najlepsza książka Faulknera – mniejsza o opinie, bo jest z czego wybierać; chyba bardziej zdumiewa mnie tempo, w jakim autor się rozwijał.

Jeszcze w 1924 r., w wieku 27 lat, miał na koncie ledwie debiutancki tom dosyć pośledniej, epigońskiej poezji ↦

↦ („The Marble Faun"), natomiast w roku 1932 mógł się już pochwalić serią arcydzieł, na jakie (każde z osobna) pisarze pracują, zwykle bezskutecznie, przez całe życie. Idzie mi o „Wściekłość i wrzask" (1929), „Kiedy umieram" (1930), „Azyl" (1931) i „Światłość w sierpniu" (1932) właśnie. Każdy z tych tekstów jest inny. „Wściekłość i wrzask" to bezkompromisowy wielogłosowy eksperyment, „Kiedy umieram" – ponura, absurdalna groteska, „Azyl" – w zasadzie powieść noir, wreszcie „Światłość w sierpniu" – obszerna społeczno-psychologiczna panorama o zmiennej perspektywie. Wszystkie łączy jednak temat – Południe, a ściślej: jego upadek i rozkład – oraz dojmujące poczucie dziwności, jakie ich lektura wywołuje u czytelnika.

Owa egzotyczna dziwność (emocjonalna, poznawcza, moralna, werbalna) to nagłe zachłyśnięcie się mnogością sprzecznych głosów i niemożnością ustalenia, co jest prawdą, działają w pakiecie z historycznym fatalizmem (by nie powiedzieć: klątwą) oraz intensywną empatią (wrzuceni do wnętrza czyjejś głowy, musimy albo z niej wyjść, albo zrozumieć).

„Radykalny relatywizm budują odrębne punkty widzenia, skupienie na psychologii zamiast na wydarzeniu (jakby to narracja umysłu miała stanowić wydarzenie), strumień świadomości i wyszukane figury retoryczne (metafizyczna zarozumiałość i liczne metafory). Tak silne odrzucenie konwencjonalnych metod realistycznych świetnie dopasowuje się do nieobfitującej w zdarzenia treści" (John T. Matthews „»Kiedy umieram« w epoce maszyn", przeł. Filip Cieślak). Faulkner nie był jednak głęboko zakorzeniony w kulturze krytyczno-literackiej, jego formalne wykształcenie wyższe obejmowało ledwie niedokończony rok studiów na lokalnej uczelni, pracował w dużej mierze intuicyjnie. Ta proza to raczej efekt domorosłych wynalazków, samouctwa, prób, błędów i geniuszu. Tym ciekawszy się wydaje, im bardziej jest dziki i nieokiełznany.

„Kiedy mamy do czynienia z pierwszym przekładem literatury nowatorskiej, przełamującej schematy – takiej właśnie jak w przypadku Faulknera – tłumaczka czy tłumacz często tnie zdania, spłaszcza metafory, omija pewne żarty czy gry językowe. Niekoniecznie musi to wynikać jedynie z decyzji tłumacza – wydawca też woli otrzymać tekst bardziej konserwatywny, bardziej »swojski« dla czytelnika – pisze w posłowiu do „Światłości w sierpniu" jej nowy (po Macieju Słomczyńskim) tłumacz, Piotr Tarczyński. – Zależało mi na (...) [tym], żeby polski czytelnik mógł poczuć tę »wyszukaną, naprzemiennie niezrozumiałą i niegramatyczną, burzliwą, polifoniczną retorykę« – tak jak odczuwał ją (i wciąż odczuwa) czytelnik amerykański". To się udało: przekład Tarczyńskiego oddaje wielopoziomową, gęstą, przejmującą i nowoczesną obcość tekstu Faulknera.

Uciekał w alkohol. Chciał żyć lokalnie i prywatnie, wchodząc w rolę opiekuna rodzinnej spuścizny, gospodarza, rolnika, męża, ojca, statecznego swojaka, człowieka opoki. Pracował jako scenarzysta dla hollywoodzkich wytwórni, czego nienawidził.

Stan rzeczy

Cóż właściwie się dzieje w tej gęstwinie? Mamy Lenę Grove, dziewczynę w ciąży, na piechotę wędrującą przez Amerykę w poszukiwaniu spryciarza, który zrobił jej dziecko i dał nogę. Mamy pewnego skromnego, wycofanego i religijnego robotnika, co się wbrew sobie zakocha w tej dziewczynie. Mamy wykolejonego pastora, ekscentryka żyjącego niby wśród ludzi, ale w odosobnieniu, prześladowanego przez odległe duchy wojny secesyjnej. Mamy samotnie mieszkającą kobietę – białą – z misją niesienia pomocy czarnym (lokalna społeczność nie potrafi jej tego wybaczyć, podobnie jak jankeskiego pochodzenia z rodu abolicjonistów). Mamy wreszcie młodego mężczyznę, na którego życiu – będącym ciągłą ucieczką – cieniem kładzie się podstawowa tożsamościowa niepewność: rzekoma domieszka czarnej krwi. Ów mężczyzna nazywa się Joe Christmas. Jego inicjały, J.Ch., są absolutnie nieprzypadkowe, bo „Światłość w sierpniu" to, między innymi, nowotestamentowa parabola o koźle ofiarnym i poświęceniu, które nikomu nie przyniesie odkupienia.

Faulkner rozumiał, że powieść jako narzędzie artystyczne nie może służyć do wyrażania poglądów – służy do modelowania kontrolowanych kolizji ludzkich losów, do zderzania ze sobą całkowicie odmiennych wizji świata, do pokazywania, jak sfera mitu wpływa na rzeczywistość. Powieść to laboratorium, w którym eksperymentuje się z prawdą, nie stając po niczyjej stronie.

Warunki brzegowe tych eksperymentów w „Światłości w sierpniu" wyznaczają sztywna i złudna pamięć czasów dawnej chwały Południa, równie sztywny religijny fanatyzm, obłędny rasizm wykreślający ostre i jednoznaczne granice między ludźmi (Joe Christmas, „malowany ptak", ze swoją nieokreśloną rasą jest niczym prowokacja, obelga rzucona ludziom w twarz – jego upragniona wolność jest zarazem całkowitą samotnością i otchłanią, w cieniu której każdy może go zabić), ale również dobroć, miłość i współczucie. Gdzieś w tle zresztą w tej książce pracuje plan metafizyczny: predestynacyjna zgadywanka, kto zasługuje na zbawienie, a kto nie; kto idzie świadomie ścieżką zguby, a kto – ocalenia.

Całemu temu światu patronuje raczej fatalne w skutkach przekonanie, że istniały niegdyś dawne formy, które umiały nadać kształt naszemu życiu, ale już nie pasują, już się przeterminowały, co nie zwalnia nas jednak z obowiązku wierności zasadom, bo nic innego nie mamy (dosyć to Conradowskie – Faulkner Conrada bardzo cenił). Można w tym miejscu wrócić do rozróżnienia na Faulknera-pisarza i Faulknera-Południowca: to, co w powieści zdaje się świadomą, dynamiczną diagnozą pewnego stanu rzeczy, w osobistej retoryce powraca jako bezrefleksyjna opinia.

Barokowa materia ludzkiego życia

Faulkner – człowiek ostro pijący – najpewniej nie był trzeźwy, gdy w lutym 1956 r. udzielał wywiadu Russellowi Warrenowi Howe'owi z londyńskiego „Sunday Timesa". Tak czy owak, zapytany o toczące się wówczas ostre polityczne spory

w sprawie społecznej reintegracji czarnych i ostatecznego zniesienia segregacji rasowej w stanach Południa, powiedział: „Wymuszona integracja nie podoba mi się równie mocno, co wymuszona segregacja. Jeśli miałbym wybierać między rządem Stanów Zjednoczonych a Missisipi, wybrałbym Missisipi. Tym, co mnie obecnie zajmuje, jest unikanie konieczności dokonania takiego wyboru. Dopóki da się stać pośrodku drogi, to w porządku – będę tam stał. Ale jeśli trzeba będzie walczyć, ruszę do walki po stronie stanu Missisipi, a przeciwko Stanom Zjednoczonym, nawet gdyby miało to oznaczać wyjście na ulice i strzelanie do czarnych. (...) Będę wciąż powtarzał, że Południowcy się mylą, a ich stanowisko jest nie do utrzymania, ale jeśli będę musiał podjąć decyzję, tak jak musiał ją podjąć generał Robert E. Lee [pozostawał w czasie wojny secesyjnej lojalny wobec Waszyngtonu, dopóki nie zbuntował się jego stan, Wirginia, potem zaś wsławił się jako czołowy dowódca armii Konfederatów – PK], uczynię to. Mój pradziadek był posiadaczem niewolników i musiał wiedzieć, że to nie w porządku, niemniej walczył w jednym z pierwszych oddziałów konfederackich – nie w obronie swojej postawy etycznej, lecz w obronie swej rodzimej ziemi przed inwazją z zewnątrz".

Wywiadowi temu towarzyszyła seria sprostowań – Faulkner twierdził, że przypisano mu słowa, których nie powiedział, dziennikarz składał deklaracje pełnej rzetelności – ale nie w tym rzecz, bo podobne, choć może nie tak bezpośrednie, stwierdzenia padały z ust pisarza wcześniej i później. Czy był bezwiednym rasistą? To właściwie bez znaczenia. Chodzi raczej o kwestię zdecydowanego rozdzielenia twórczości od samego twórcy. Faulkner nie cierpiał być osobą publiczną, krępowały go obowiązki związane, by tak rzec, z obsługą swojej kariery, unikał towarzystwa innych pisarzy i bezpośredniego konkurowania z nimi (choćby z Hemingwayem, z którym go wciąż z uporem porównywano).

Uciekał w alkohol. Chciał żyć lokalnie i prywatnie, wchodząc w rolę opiekuna rodzinnej spuścizny, gospodarza, rolnika, męża, ojca, statecznego swojaka, człowieka opoki. Jego marzeniem było zostać „wymazanym i wykreślonym z historii, (...) nie zostawić w niej śladu, żadnych szczątków poza drukowanymi

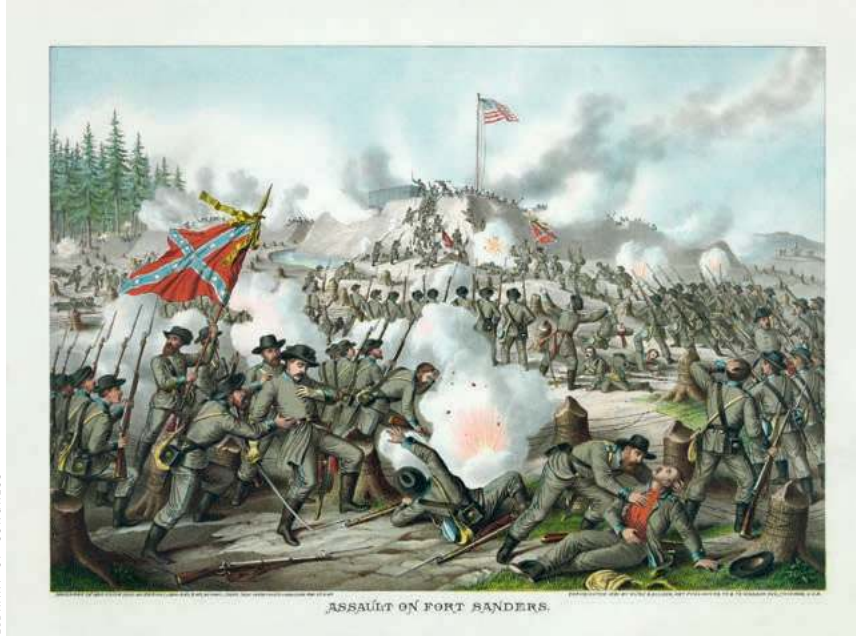

LIBRARY OF CONGRESS

WILLIAM FAULKNER: *Jeśli miałbym wybierać między rządem Stanów Zjednoczonych a Missisipi, wybrałbym Missisipi. Tym, co mnie obecnie zajmuje, jest unikanie konieczności dokonania takiego wyboru. Dopóki da się stać pośrodku drogi, to w porządku – będę tam stał.*

POWYŻEJ: *Bitwa o Fort Sanders. Konfederaci (z lewej) atakują Fort Sanders broniony przez wojska Unii. Hrabstwo Knox, Tennessee, 29 listopada 1863 r. Kurz & Allison, litografia, 1891 r.*

książkami" (list do Malcolma Cowleya z 11 lutego 1948 r., cytuję za: Ewa Barbara Łuczak „Negatywna zdolność Williama Faulknera"). Nie było go jednak stać – czysto finansowo – by pozostawać w ukryciu. Z tego samego finansowego powodu przez lata pracował jako scenarzysta dla hollywoodzkich wytwórni, czego nienawidził.

Można jednak z czystym sumieniem założyć, że prawdziwy William Faulkner, ten, który chciał być słyszany, przemawia z kart swoich szalonych powieści osadzonych fabularnie w fikcyjnym hrabstwie Yoknapatawpha (leżącym wirtualnie w tej samej mniej więcej przestrzeni co rodzinne hrabstwo Lafayette Faulknera), rozrastających się w skomplikowanej, barokowej materii ludzkiego życia niczym grzybnia albo kłącza.

„Światłość w sierpniu" nie pozostawia wątpliwości, jak wpływowym pisarzem był Faulkner. Wyliczanie tych, którzy, niczym Mario Vargas Llosa, czytali go uważnie i „z ołówkiem w ręku", zajęłoby kolejne strony tego tekstu. Dość zauważyć, że cała tradycja powieści psychologicznej budowanej za pomocą monologów poszczególnych postaci jest z gruntu faulknerowska, podobnie zresztą jak latynoski boom lat 60. i 70. zeszłego wieku.

Faulknera – docenionego późno, dopiero po II wojnie światowej – oskarżano o to, że pisze mętnie, nadużywa patosu i efekciarskiego okrucieństwa, że kobiety to u niego zazwyczaj albo święte, albo dziwki, a faceci noszą sztucznie brzmiące, znaczące nazwiska. Do tego ostatniego zarzutu odnosi się Theroux w „Głębokim Południu": „Wspomniałem o »Światłości w sierpniu« Faulknera, o Joem Christmasie i o tym, jak wydumane wydawało mi się zawsze to symboliczne nazwisko. Pokrótce streściłem powieść na użytek Robin i powiedziałem jej, że tajemniczy Joe Christmas, sierota i przemytnik, który ma domieszkę murzyńskiej krwi, wygląda jak biały. (...) Zanim podjąłem opowieść o Lenie Grove, jej dziecku i tematyce chrześcijańskiej, Robin oznajmiła: – Joe Christmas to mój wujek. Ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Mieszka w domu opieki w Natchez. To pospolite nazwisko w tych stronach". © PIOTR KOFTA

William Faulkner
ŚWIATŁOŚĆ W SIERPNIU
przeł. Piotr Tarczyński,
Znak Literanova,
Kraków 2023

Morze Gościnne

JAN BŁASZCZAK

Dla Raphaela Rogińskiego Odessa stała się bramą do innej Europy Wschodniej. Wielokulturowej, odwiecznej, której tożsamość wykuła się poza destrukcyjnym imperializmem rosyjskim.

Szukałem kiedyś Raphaela Rogińskiego. Miałem do niego jakąś ważną sprawę, więc pisałem i wydzwaniałem kilka razy dziennie. W końcu skontaktowałem się z zaprzyjaźnionym z nim muzykiem. „Nie odbiera? To pewnie jest w Odessie" – usłyszałem. Zdziwiło mnie to, ale połowicznie. Wiedziałem już wtedy, że gitarzysta jest obieżyświatem; że podróżowanie jest niejako wpisane w jego wizję muzyki uniwersalnej – ścieżki dźwiękowej dla „kochającego świat współczesnego człowieka".

Bywały lata, kiedy połowę roku Rogiński spędzał poza Polską. Jego wyprawy były zwykle brzemienne w nagrania. Oglądanie ortodoksyjnych surferów na plażach Tel Awiwu owocowało żydowskim surf-rockiem Alte Zachen, tygodnie spędzone w Lublanie przyniosły współpracę z fantastycznym psych-folkowym trio Širom, a włóczęga po krajach Maghrebu nadawała nowy wymiar inspirowanych Johnem Coltrane'em kompozycjom. Były też podróże bliższe. Jak choćby na Kurpiowszczyznę, której niezwykłą historię gitarzysta odkrywał u boku wokalistki Genowefy Lenarcik w duecie Żywizna. Nie dziwiło mnie więc, że Rogiński zniknął. Ale dlaczego w Odessie?

– Odessa pojawiła się w moim życiu zupełnie spontanicznie – tłumaczy Rogiński. – Któregoś razu po prostu tam poleciałem i od razu odnalazłem coś swojskiego, dobrze znajome kody. A musisz wiedzieć, że moja babcia od strony matki miała w sobie dużo z tego nieuchwytnego, egzotycznego wówczas dla mnie wschodu. Była bardzo dystyngowana, ale na wschodnią modłę. Nie rosyjską, ale tatarską, kaukaską, uzbecką. Miała lekko skośne oczy, bardzo ciekawą urodę. Pochodziła z Krymu. Pomyślałem więc, że podróż w okolice Odessy będzie ciekawym nawiązaniem do rodzinnej historii. Pojechałem raz, drugi, trzeci i ciągle potrzebowałem tam wracać. Były takie lata, kiedy bywałem w Odessie pięć, sześć razy.

Rogiński latał nad Morze Czarne nie tylko ze względów osobistych. Zafascynowała go wielokulturowość Ukrainy. Przyglądanie się, jak odradzają się tam kolejne mniejszości. Z ekscytacją opowiada o całych rodzinach ortodoksyjnych żydów spotykanych podczas nocnych spacerów po Kijowie, o tatarskich weselach w Odessie, o gruzińskich knajpkach, o Grekach zamieszkujących tamte okolice od czasów antycznych.

– To był świat, który pomimo trwającej już wojny podnosił się, rozwijał i stawał przyjaźniejszy niż wiele krajów zachodniej Europy szczycących się programami dla mniejszości – twierdzi Rogiński. – A w Ukrainie chasyd reklamował telefonię komórkową; w Polsce pewnie badania wykazałyby, że w ten sposób nie da się sprzedać tego towaru.

Łódź Jazona

Efektem podróży po Ukrainie i – szerzej – basenie Morza Czarnego jest album „Talàn", który ukaże się 7 września. Jak to bywa u Rogińskiego, nie jest to nagranie z ducha folkowe czy utrzymane w etnomuzykologicznych ryzach. Gitarzysta przyznaje, że obsesyjnie zgłębia historie miejsc, które odwiedza, natomiast ich muzyczne tradycje nie zawsze znajdują się w centrum tej kwerendy. Równie ważna jest historia, lokalne wierzenia i zwyczaje. Ważni są też napotkani po drodze ludzie. Wreszcie nie mniej istotny w tym wszystkim jest sam podróżujący: towarzyszące mu emocje, wizje i skojarzenia.

– To jest o mnie tam – mówi w pewnym momencie Rogiński, a to krótkie, niepozorne zdanie jest uniwersalnym kluczem do jego twórczości.

Wyławiam to zdanie tym szybciej, że wyróżnia się na tle potoczystych, niemal baśniowych opowieści snutych raz za razem przez Rogińskiego. A może raczej „snutej", bo jego muzyka wydaje się czasem spoiwem, portalem, za sprawą którego spotykają się bohaterowie z różnych stron świata i z różnych epok. Dlatego jednym z symboli Odessy jest dla Rogińskiego dom genialnego skrzypka Dawida Ojstracha, dom, w którego piwnicach zdzierają dziś gardła metalowe i hardcore'owe zespoły. Dlatego puentą dla opowieści o podróżowaniu po Dobrudży może być wspomnienie przyjemnego wieczoru w Mostarze. Wszystko się ze sobą łączy, wszystko ma znaczenie.

Rozmowa o kolejnych utworach z „Talàn" szybko zbacza ze ścieżek wyznaczonych przez tradycje i gatunki. Kiedy pytam o rozpoczynający płytę „Elektron", nawiązuję do intymnego brzmienia płyty, za sprawą którego wydaje mi się, że właśnie słyszymy prąd płynący ze wzmacniacza. Nie tędy droga. Okazuje się, że tytuł odnosi się do greckiej nazwy bursztynu. Cennego towaru, którego odwieczne podróże były dla Rogińskiego inspiracją. „Cliffs and the Sea" natomiast to impresja na temat tego, że

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PAVEL SAVITSKI I SVMERKI

Raphael Rogiński, 10 sierpnia 2023 r.

budując piękno, rezygnujemy z innego piękna. Że aby coś wziąć, trzeba coś stracić. Nie warto więc żałować klifów pożeranych przez morze, bo w ten sposób powstaje inny, równie piękny krajobraz.

Zauważam od razu, że to myśl bliska duchowi improwizacji: wybranie jednego dźwięku oznacza pominięcie wszystkich innych. Rogiński chyba nie jest przekonany, a ja wreszcie łapię się na tym, że próbuję przyszpilić coś, czego przyszpilać nie warto. Próbuję zakotwiczyć muzykę, która wyrywa się już na otwarte morze. „Płyńmy więc" – myślę i proszę gitarzystę o przybliżenie charakteru „Talàn".

– Pracując nad tą płytą czułem się jak w dzieciństwie, kiedy razem z kuzynem odczepialiśmy nocą łódkę i dryfowaliśmy po jeziorach Suwalszczyzny. Przykrywaliśmy się futrami i udawaliśmy wikingów. Kładliśmy świeczki na wodzie, a ja grałem na cytrze. Chodziło mi właśnie o to uczucie – takiego powolnego plątania się po wodzie. Tylko że teraz to jest łódź Jazona, a ja płynę po złote runo do Kolchidy.

Mitologiczny zwrot w twórczości dotyczy jednak nie tylko kultury, ale także tożsamości. Rogińskiemu zależy na tym, aby ukazać bogactwo wpływów, które przez wieki kształtowały Europę Wschodnią. W jego opowieści równie ważne miejsce, co Bułgarzy i Rumuni, zajmują spowinowacone z Chorwatami ludy perskie czy obecni na terenie dzisiejszych Węgier Hazarowie. Znaczenie judaizmu czy kijowskiej Cerkwi zrównane jest zaś z wierzeniami starowierców spod Babadag czy pogan zamieszkujących wsie bułgarsko-tureckiego pogranicza. Ta mozaika nie jest budowana na pokaz.

Szereg wpływów, który przekłada na muzykę w procesie przypominającym pisanie automatyczne, ma poważne, polityczne tło: – Chodzi o wysiłek potrzebny, by dostrzec mnogość starych wschodnioeuropejskich kultur i stać się ich częścią. O potrzebę ich wzmacniania i budowania mitologii regionu poza destrukcyjnym kolonializmem rosyjskim.

Nowa Europa Wschodnia

Czerpiąc z bogactwa tradycji Europy Wschodniej, Rogiński stara się pokazać, że rosyjska inwazja na Ukrainę nie skazuje naszej kultury na emigrację w stronę Zachodu. Przeciwnie, powinniśmy teraz jak najpilniej studiować tę część świata, nagłaśniać opowieści i głosy długo wyciszane przez Moskwę, dostrzegać ich wartość i w oparciu o nie przebudowywać tożsamość swoją i regionu. Rogiński jest tu optymistą. Dlatego w czasach, kiedy Morze Czarne kojarzy się z minami, Wyspą Węży i blokadą ukraińskich portów, wraca do starożytności. Przypomina, że Grecy nazywali ten akwen Morzem Niegościnnym, by – poznawszy je lepiej – przemianować je na Morze Gościnne. Nie wszystko więc stracone.

– Mam wrażenie, że odkąd wybuchła wojna, wiele osób w tej części świata zaczęło się zastanawiać nad swoją tożsamością – tłumaczy. – Dotyczy to oczywiście Ukraińców, ale także innych narodów. Niedawno wróciłem z Kaukazu i widzę, że to się dzieje. Wojna to tragedia, która zmienia świat na wiele sposobów. W tym przypadku świadomość tego, kim i skąd jesteśmy, dojrzewa i czyni nas mocnymi. Wielu ludzi zdało sobie sprawę z tego, że ma swoją kulturę, że ona jest ważna i że nie można się jej wstydzić.

Takie procesy zachodzą nie tylko w Europie Wschodniej i Kaukazie, ale także dalej w głąb Azji, by przytoczyć głośne artykuły kazachskiej badaczki Botakoz Kassymbekowej o wpływach rosyjskiego i radzieckiego imperializmu na współczesny Kazachstan i Tadżykistan. Aby prowadzić taki dialog, nie trzeba jednak dalekich podróży. Można go prowadzić także w Warszawie, gdzie coraz wyraźniej słychać głosy artystów i artystek z Ukrainy i Białorusi. Rogiński stara się im pomagać w docieraniu do polskiego odbiorcy. Razem z Dimą – działającym w Warszawie białoruskim promotorem wydarzeń kulturalnych, gitarzysta organizował charytatywne koncerty dla Ukrainy. Tłumaczy, że obok zbierania pieniędzy ważne w tych wydarzeniach było wspólne działanie: uchodźcy byli zaangażowani w sprawy *stricte* organizacyjne, prowadzili konferansjerkę, grali muzykę, czytali poezję. Rogiński coraz częściej widzi ich także na swoich warszawskich koncertach, gdzie dużą część publiczności stanowią Ukraińcy i Białorusini. ↦

↦ Zdaniem gitarzysty obecność twórców zza wschodniej granicy wpływa na polską scenę na wiele sposobów. Nie chodzi jedynie o pomnożenie talentów, o wprowadzenie na nią nowych głosów i tradycji: – Mam wrażenie, że wielu artystów z Ukrainy czy Białorusi ma bardziej profesjonalne podejście do sztuki niż Polacy. Możemy się od nich wiele nauczyć, bo trochę się w tym zakresie rozleniwiliśmy, straciliśmy z oczu większą ideę. Na szczęście wygląda na to, że czasy znienawidzonego przeze mnie postmodernizmu i traktowania wszystkiego z dystansem, przymrużeniem oka wreszcie się kończą.

Przywołany tu dialog między kulturami, wspólne inicjatywy i rozmyślania na temat dalszych losów Europy Wschodniej nie mogą przykryć dramatów rozgrywających się w Ukrainie i, co za tym idzie, w życiu wielu uchodźców. Rogiński podkreśla, że nawet jeśli nie grozi im deportacja, to codziennie przeżywają osobiste traumy: – Wielu z nich od dawna nie widziało swoich rodzin i nie wiedzą, kiedy to się zmieni. Gdy przyjechałem z matką do Polski w latach 80., zabrali mi paszport. Miałem sześć lat i byłem podejrzewany o szpiegostwo, bo przyjechaliśmy z Niemiec Zachodnich. I chociaż komunizm upadł, długo czekałem, aż tę sprawę uda się odkręcić. Z tego powodu przez wiele lat nie miałem w ogóle kontaktu z ojcem, który został w Niemczech. Wiem, co to jest współżycie z granicami, z niemożnością ich przekroczenia. Dobrze znam te dramaty.

Sny o Dakarze

W ostatnim czasie Rogiński współpracuje nie tylko z mieszkańcami Warszawy, którzy dotarli do niej ze Wschodu. Nieprzerwanie spogląda także na południe. W stronę Afryki Zachodniej i psychodelicznej, mistycznej muzyki tej części świata. W rezultacie jeszcze przed wybuchem pandemii założył zespół Hizbut Jámm z senegalskim wokalistą, poetą, aktorem i gitarzystą Mamadou „Góo" Ba, grającym na korze elektrycznej Burkińczykiem Noumsem Dembele oraz perkusistą Pawłem Szpurą.

– Hizbuty to były religijne, sufickie grupy wokalne działające w Senegalu – tłumaczy Rogiński – zawiązywane często na uniwersytetach. W swojej działalności podkreślały brak zgody na kolonializm i jego zaczadzenie. Za pomocą odwołań do mistyki wyzwalały ludzi: zarówno tych wykonujących muzykę, jak i słuchaczy.

Gitarzysta wspomina, że kiedyś mieszkał z „Góo" po sąsiedzku. Spotykali się we dwóch i improwizowali: Rogiński grał, a Senegalczyk układał kolejne wersy w języku wolof. Dotykał w nich dramatów, których był świadkiem pracując z dziećmi na ulicach Dakaru i Marsylii. Praca szła im podobno tak szybko, że po kilku spotkaniach mieli w zasadzie materiał na parę albumów. Gitarzysta ma teorię, skąd ta łatwość.

– Miałem kiedyś serię snów, w których latałem nad Dakarem jako orzeł – wspomina Rogiński. – Trzy takie sny w tydzień. To było bardzo dawno temu. Opowiedziałem o tym „Góo", którego to w ogóle nie zdziwiło. Powiedział mi wtedy, że gram i w ogóle poruszam się, jak ludzie z plemienia Fulani. I ja to rzeczywiście zacząłem dostrzegać. Zbieram nagrania psychodelicznych zespołów z Afryki, ale to właśnie po tych snach zacząłem grać inaczej.

Debiutancki album Hizbut Jámm ukaże się jeszcze w tym roku. Punktem wyjścia jest z jednej strony stary psychodeliczny rock z Afryki Zachodniej (zwłaszcza z Senegalu), a z drugiej The Jimi Hendrix Experience i brzmienie płyty „Electric Ladyland" (1968).

Ale nie chodzi tylko o trans: – Kiedy kilka lat temu rozmawialiśmy z „Góo" o powołaniu zespołu, chcieliśmy, żeby zarówno w tekstach, jak i w muzyce dawał nadzieję – tłumaczy Rogiński. – Żeby utwory były tylko i wyłącznie o niej. Cały czas. Dlatego grupę nazwaliśmy Hizbut Jámm – „bractwo pokoju". Jakbyśmy wiedzieli, że zaraz to będzie nam wszystkim bardzo potrzebne.

© JAN BŁASZCZAK

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

Kino wysokiego konceptu

MICHAŁ WALKIEWICZ

Im bardziej globalne korporacje będą się zbliżać do granic prawa antymonopolowego, tym częściej z kina będziemy gnać prosto do sklepu. Właściwie to już gnamy.

Lalka z plastiku, buty ze skóry, auta z włókna węglowego... Wbrew słowom klasyka kino nie musi być wcale „widzialnością obcowania człowieka z materią". Może być widzialnością obcowania marketingu z materiałem. W zgodzie z najnowszym hollywoodzkim trendem giganci wszelkich branż kręcą za astronomiczne pieniądze reklamy udające kino. Tymczasem filmowcy starają się znaleźć w arkuszach kalkulacyjnych wzór na dobrą sztukę. Strony spotykają się w połowie drogi. My, widzowie, na całkiem niezłe filmy spoglądamy zza parawanu ironii i nieufności.

Takim filmem jest „Barbie" Grety Gerwig o najsłynniejszej lalce świata. Jest nim również „Gran Turismo" Neilla Blomkampa, czyli adaptacja popularnej gry wideo, prawdziwa historia gracza, który zdobył brąz w wyścigu Le Mans. A także, do pewnego stopnia, „Air" Bena Afflecka, czyli opowieść o zakontraktowaniu Michaela Jordana przez firmę Nike. Wszystkie są nieskazitelnym lustrem współczesnej popkultury, w której nasze pieniądze spełniają podwójną funkcję. Po pierwsze, płacimy nimi nie tylko za sam produkt, ale też za jego reklamę. Po drugie, ugruntowujemy medialny wizerunek korporacji jako, owszem, chciwych, lecz w gruncie rzeczy poczciwych wujków.

Zawsze stawiaj na niebieskie

Trend ma swoje źródła zarówno w praktyce lokowania produktów, jak i w zja-

wisku „korporyzacji” branży filmowej. Pierwszego fenomenu tłumaczyć nie trzeba, gdyż sięga czasów świetności mydła Sunlight, którym – ach, jak przyjemnie! – obmywali się bohaterowie filmów braci Lumière. I o ile gatunkowy status krótkometrażówek z XIX w. pozostaje niejasny (powstające dla wielobranżowej firmy Lever Brothers – w przyszłości Unilever – były w części tradycyjnym materiałem reklamowym), o tyle ze współfinansowanym przez producentów czekolady Hershey’s i nagrodzonym Oscarem w 1927 r. filmem „Skrzydła” Williama Wellmana sprawa jest prosta. Historia reklamy jest nałożona na dzieje kina niczym druga skóra.

„Korporyzację” trudniej zdefiniować. Umownie wiąże się ją z kolejnymi ekspansjami zewnętrznych kapitałów na terenie studyjnego Hollywood. Jedną z symbolicznych dat jest dla przykładu rok 1952, gdy Universal został przejęty przez kompanię fonograficzną Decca Records – było to pierwsze studio spośród tzw. majorsów (obok Paramountu, RKO Pictures, Warner Bros. i Metro-Goldwyn-Mayer, które stało się własnością firmy matki. Innym momentem przełomowym miał być upadek tzw. Nowego Hollywood w latach 70., czyli niezależnych i „nierentownych” filmowców formatu Coppoli, Bogdanovicha czy Friedkina, skuszonych przez studia filmowe obietnicami artystycznej wolności. A co za tym idzie – całkowita restrukturyzacja Fabryki Snów oraz napływ zewnętrznych inwestorów, finansistów, bankierów, ludzi z Wall Street.

Dziś mówimy o „korporacjach” w nieco bardziej tradycyjnym sensie. Z jednej strony chodzi o tzw. *blue chips* (od najdroższego koloru żetonów w kasynach) formatu Apple’a, Google czy Microsoftu, czyli duże spółki giełdowe z monopolistycznymi ambicjami, które zagarniają mniejsze podmioty z najróżniejszych gałęzi przemysłu rozrywkowego. Z drugiej – o same studia filmowe oraz ich właścicieli z medialnych konglomeratów; o The Walt Disney Company, do którego należą m.in. 20th Century Fox, Marvel, Pixar, Lucasfilm i National Geographic; o zacumowanym w Comcaście NBCUniversal; o Warner Bros. Discovery, właścicielu HBO, New Line Cinema, Cartoon Network oraz tuzin innych podmiotów. I tak dalej, w ten deseń.

MATERIAŁY PRASOWE SONY PICTURES

Kadr z filmu „Gran Turismo”, reż. Neill Blomkamp. USA, 2023 r.

W rozmowie z magazynem „Frontline” Peter Bart, wieloletni dyrektor zarządzający w Paramouncie oraz redaktor naczelny pisma „Variety”, mówił: „Kiedyś proces kolaudacyjny w dużym hollywoodzkim studiu wymagał czterech osób w pokoju. Dziś wymaga czterdziestu. Część dyskutuje tylko o marketingu, zastanawia się, co muszą dostać McDonald’s albo Burger King za swój wkład finansowy. Inni rozmawiają wyłącznie o tym, jak zadowolić firmę zabawkarską, która przygotowuje odrębną sprzedaż linii produktów inspirowanych filmem. Głosów na temat pieniędzy jest tyle, że gdy ktoś wraca do tematu scenariusza, obsady czy reżyserii, to wygląda, jakby urwał się z choinki”.

Brzmi to wszystko jak kolektywne wyobrażenie o dzisiejszym Hollywood, lecz najzabawniejszy jest fakt, że Bart lamentował nad podobnymi praktykami w 2001 r., na długo przed dwoma poważnymi kryzysami w branży filmowej. Zarówno krach ekonomiczny z 2008 r., jak i pandemia znacznie zacieśniły korporacyjno-filmowe więzi. Trwający aktualnie w Hollywood paraliż związany ze strajkami scenarzystów i aktorów zacieśni je jeszcze mocniej. Im bardziej zaś korporacje będą się zbliżać do granic prawa antymonopolowego, tym częściej z kina będziemy gnać prosto do sklepu.

Just do it!

„Air” w reżyserii Bena Afflecka jest historią Sonny’ego Vaccara (Matt Damon), dyrektora ds. marketingu sportowego w Nike i faceta, który doprowadził do najsłynniejszego reklamowego mariażu XX wieku. Podpisując kontrakt z Michaelem Jordanem wprowadził na rynek sygnowane jego nazwiskiem buty. To jeden z punktów węzłowych w historii współczesnego sportu. Nie dlatego, że obuwniczy gigant związał się z najwybitniejszym sportowcem w historii koszykówki, tylko dlatego, że poza jednorazowym wynagrodzeniem w kontrakcie gwiazdy Chicago Bulls znalazła się klauzula gwarantująca procent z zysków. Na ekranie ten moment dziejowy wygląda tak, że penicylina ↦

↦ i drukarnia Gutenberga mogą się schować, choć w rzeczywistości oznaczał tylko pomnożenie i tak gigantycznego kapitału.

Ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie łyknąłby opowieści o firmie Nike jako forpoczcie społecznej zmiany, twórcy filmu robią przewrotkę i zawężają optykę. Zamiast konfrontować firmę z resztą świata, zamieniają ją w samowystarczalną filmową rzeczywistość. Niewyrabiająca norm marketingu i sprzedaży dywizja sportowa staje się partyzanckim oddziałem walczącym z przeważającymi siłami wroga. Wypaleni goście z brzuszkami i „ostatnią szansą na sukces" są w tym układzie Dawidem, za Goliata robi prezes Phil Knight (Ben Affleck), bezwzględnie ewaluujący ich pracę, procą zaś są tzw. tradycyjne wartości Nike. Goliat wprawdzie nie chce źle dla swoich podwładnych – wciąż jest luźnym gościem w dresie i okularach przeciwsłonecznych – ale ewidentnie zapomniał, że firmę wzniesiono na filarach pasji, ryzyka, szacunku, miłości, odwagi (niepotrzebne skreślić).

W emblematycznej dla całego filmu scenie Vaccaro kokietuje matkę Michaela Jordana (obsadzona w typowym kluczu „mędrczyni klasy pracującej" Viola Davis) słowami o moralnych powinnościach dobrego marketingowca. Affleck zestawia ten moment ze scenami wizyt kobiety u konkurencji Nike. Jak nietrudno się domyślić, w Conversie liczy się tylko forsa, a w niemieckim Adidasie słychać tykanie zegarków – kije od szczotek wystające prezesom zza kołnierzy są aż nadto widoczne.

Ostatecznie film ratuje to, co ma go ratować. Historia białych facetów cementujących kulturowy status czarnego sportowca (ewentualnie: historia czarnego sportowca rozsadzającego „biały" system) to dwie fantazje w cenie jednej: ta o symbolicznym wkładzie w społeczną zmianę oraz ta o korporacjach gotowych do autorefleksji. Bo skoro nawet bezwzględni ludzie z kalkulatorami zrozumieli, że istnieją rzeczy ważniejsze niż pieniądze, to może i dla nas jest nadzieja.

Żyj w swoim świecie. Graj w naszym!

W produkcji filmu Neilla Blomkampa maczała palce nie jedna, lecz aż dwie korporacje: Sony, które dzięki konsoli do gier PlayStation zamieniło się w hegemona rynku elektronicznej rozrywki, oraz Nissan, który „rozniecał pasję do motoryzacji", sponsorując drużynę zawodowych graczy w „Gran Turismo". Film uświadamia, jak często krytycy filmowi trwonią frazy w rodzaju „to nie miało prawa się udać, a jednak się udało".

Ben Affleck w filmie „Air", reż Ben Affleck. USA, 2023 r.

Pierwszego z bohaterów, Danny'ego Moore'a (Orlando Bloom), poznajemy na biznesowej prezentacji. Układa dłonie w piramidkę, utrzymuje kontakt wzrokowy, brakuje mu tylko laserowego wskaźnika. To szef marketingu Nissana, który już wkrótce połączy siły z niepokornym trenerem Jackiem Salterem (David Harbour) oraz młodziutkim kierowcą Jannem Mardenborough (Archie Madekwe) w misji podboju kultowego wyścigu 24h Le Mans. Zanim jednak przyjdzie co do czego, wysłuchamy, jak projektant gier wideo Kazunori Yamauchi (Takehiro Hira) opowie trochę o samym „Gran Turismo". To rewolucyjna gra. Najważniejsza. Najpiękniejsza. Najbardziej realistyczna. Najlepsza. „Widziałem, jak wyniosła dziecko z pożaru". „Siostro, nosze!".

O ile Moore oraz Salter są zlepkiem najróżniejszych postaci dłubiących przy maszynach Nissana i promujących japońską markę, o tyle Mardenborough jest człowiekiem z krwi i kości. Spędzając czas przed konsolą, nauczył się regulować klocki hamulcowe, ścinać zakręty, rozgryzł specyfikę prawdziwych torów wyścigowych. Jedyne, czego mu brakowało, to ciała odpornego na przeciążenia, więc twórcy wpisali jego biografię w konwencję sportowego dramatu o hartowaniu stali. Jann wraz z grupą innych utalentowanych graczy wspina się na sam szczyt ku zdziwieniu uprzedzonej do gier wideo rodziny oraz na przekór zawistnym profesjonalnym kierowcom. A co was powstrzymuje? Przecież „Gran Turismo" jest akurat w promocji.

Jako gracz z dziada pradziada muszę zaprotestować przeciw refleksjom, które płyną z filmu Blomkampa. Po pierwsze, skoro wirtualne wyścigi są tak wiernym odwzorowaniem realnego doświadczenia, to po co właściwie ryzykować życie na torze? Po drugie, jeśli gry wideo są autonomiczną sztuką mówiącą własnym językiem, to dlaczego mają być jedynie przystankiem na drodze do celu? Wreszcie, skoro „Gran Turismo" jest grą godną wszelkich przymiotników, to dlaczego potrzebuje tak drogiej reklamy? Zgodzę się natomiast z tym, że nie ma cwańszej marketingowej zagrywki niż rzucanie światła na marginalizowaną subkulturę. Zarówno w przypadku Janna, jak i na metafilmowym poziomie samej produkcji to nie miało prawa się udać.

You can tell it's Mattel

Przez ostatnią dekadę średnio co dwa miesiące meldowałem się w kinie na seansie kolejnej części animowanych przygód

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS. X2

Margot Robbie w filmie „Barbie", reż. Greta Gerwig. USA, 2023 r.

Barbie. Nic więc dziwnego, że słuchając zachwytów nad filmem „Barbie" Grety Gerwig spoglądam na ludzi jak Kartezjusz.

Przecież widziałem już tak wiele. Na przykład scenę, w której zbudowana wyłącznie z prostopadłościanów, pozbawiona łokci i kolan bohaterka próbuje wykonać numer taneczny w towarzystwie psów rasy chihuahua. Albo taką, w której w niekontrolowany sposób zmienia kostiumy, tożsamości i osobowości. Posiadając taką wiedzę, trudno dostrzec w kinowym filmie choćby szczątki estetycznej dzikości czy zalążki fabularnej transgresji.

Barbie w „Jeziorze łabędzim" i w „Dziadku do orzechów", Barbie w kosmosie i na rockowej scenie, Barbie w przestworzach i Barbie pod wodą... Autotematyczna narracja o najsłynniejszej lalce świata wpisana jest w DNA każdego z tych filmów, gdyż sama postać jest celowo wyzuta z właściwości, gotowa do ciągłego „nadpisywania". To dlatego jedni mogą dostrzec w jej urodzie symbol popkulturowej opresji, inni zaś potraktują zmiany fatałaszków jak metaforę emancypacji. I to dlatego wyprowadzanie akcji filmu z Barbielandu do siedziby firmy Mattel wydaje się tautologią.

Barbie (Margot Robbie) trafia do naszego świata, gdzie staje oko w oko ze swoimi stwórcami. Jednak spotkanie z bandą infantylnych seksistów jedynie pozornie jest momentem deziluzji. Mattel nie tylko przyjmie każdą krytykę, lecz nawet ją podkręci (w rzeczywistości na pięciu z jedenastu foteli w zarządzie zasiadają kobiety) – o ile tylko da się na niej zarobić.

To również powód, dla którego „Barbie" wydaje się najbardziej cynicznym z powyższych filmów. Wpisując bajkę o lalce w żywe dyskusje na temat nowej obyczajowości oraz rozmaite genderowe narracje, Mattel świadomie ucieka od formuły uniwersalnej opowieści, która mogłaby nieco osłodzić marketingową papkę. Próbuje natomiast zdyskontować doraźne społeczne napięcia i nie zadaje sobie trudu, by ukryć swoje intencje. Zamiast mówić coś – nawet w sposób naiwny – o ludziach w korporacyjnym układzie, nie przestaje trajkotać o produkcie i o kręgach na wodzie, które ów produkt wywołał.

Wysoki koncept

Pytanie, co łączy Barbie, brytyjskiego asa kierownicy oraz „faceta od jordanów", można oczywiście rozbudowywać. Dorzucić Richarda Montañeza, woźnego z Frito-Lay, który wymyślił rewolucyjny „ognisty" smak chrupek (film o nim nakręciła Eva Longoria), Henka Rogersa, który wywiózł za żelazną kurtynę twórcę kultowej gry wideo (wszystko w „Tetrisie" Jona S. Bairda), projektantów pluszaków Beanie Bubble („Bańka pluszaków") oraz włodarzy Kellogg's oraz Post Consumer Brands, walczących o rynek żywności śniadaniowej w latach 60. („Unfrosted: The Pop-Tart Story"). Póki zaś pieniądze będą płynąć, podobnych „fundamentów amerykańskiej kultury" znajdzie się jeszcze sporo.

Mierzenie korporacji i studiów filmowych jedną miarą jest oczywiście ryzykowne. Niemal wszystkie ich strategie da się przecież opowiedzieć na ten sam sposób: uniformizacja sztuki, reklamy, informacji, rozrywki. Jeśli jednak w korporacyjnym ekosystemie znajduje się miejsce dla tak różnych bestii, to problem z „filmem-reklamą" jest – przynajmniej w moim odczuciu – kwestią raczej estetyczną i koncepcyjną, nie ma mowy o zmowie. Zbyt zgrabne to wszystko, zbyt gładkie, przygotowane do dalszego kolportażu drogą marketingu szeptanego.

Nie bez powodu wspomniane filmy wpisują się w tzw. kino wysokiego konceptu. Zasada ta, rozpropagowana przez producenta Jerry'ego Bruckheimera w latach 80., była w Hollywood najwyższą cnotą: jeśli filmu nie da się streścić w dwudziestu słowach, scenariusz powinien wylądować w koszu. No to spróbujmy...

Gdyby ludzie byli z Lego. Stop. Lalka Barbie poznaje trudy życia w prawdziwym świecie. Stop. Mistrz wyścigowej gry wideo zostaje prawdziwym kierowcą rajdowym. Dwadzieścia słów. Trzy filmy. PIN i zielony. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Irlandzkie lato

ANITA PIOTROWSKA

Irlandzki twórca nakręcił film z ducha korczakowski, pokazujący rodzicielską miłość nie jako ślepy instynkt, ale żmudną pracę u podstaw, także nad samym sobą.

Film „Cicha dziewczyna" chciałoby się zadedykować, rzecz jasna ironicznie, tym wszystkim, którzy wierzą w rodzinę ściśle biologiczną i uprawiają kult niekontrolowanego rozrodu i zimnego chowu. Niechaj zobaczą, czym mogą być więzi oparte jedynie na pokrewieństwie. Zwłaszcza gdy za zamkniętymi drzwiami pierze się rodzinne brudy i tuszuje powszednie krzywdy, w imię nienaruszalnej świętości podstawowej komórki społecznej.

Albowiem prawdziwy dom jest tam – nie da się uciec od poradnikowej gadki – gdzie pozwala się dziecku być po prostu dzieckiem, dbając o jego fizyczny i psychiczny dobrostan. W filmie Colma Bairéada dzieciaki są kłopotliwym żywym inwentarzem i aż trudno uwierzyć, że mamy początek lat 80. zeszłego wieku.

Irlandia nie była wtedy jeszcze zieloną wyspą dostatku. Nie zdążyła doświadczyć cudu gospodarczego, nie przeszła też, szczególnie na prowincji, wszystkich społeczno-obyczajowych rewolucji. Życie dziewięcioletniej Cáit (gra ją Catherine Clinch) przypomina głębokie międzywojnie. Jedynie auta i telewizyjne reklamy, bezwstydnie zachęcające do konsumpcji, wskazują na epokę, w jakiej rozgrywa się ta opowieść. Za to sam film, na pozór kolejny dramat o trudnych sprawach socjalnych czy cywilizacyjnych zapóźnieniach, dostarcza najintensywniejszych przeżyć. Kino familijne, niemal z definicji obciążone dydaktyzmem i sentymentalizmem, rzadko przybiera tak krystalicznie czyste barwy.

Wylękniona, zaniedbana siuśmajtka i niedouczone popychadło z poobijanymi kolanami – początkowo tak jawi się bohaterka „Cichej dziewczyny". Jej cichość do samego niemal końca ustawia filmową tonację. Widać to choćby w kolorystyce zdjęć stojącej za kamerą Kate McCullough, wypłowiałych i brudnych, w czas suszy dalekich od szmaragdowej soczystości. Surowy irlandzki pejzaż zdaje się jedynym świadkiem cichego dramatu dziewczynki, wiecznie głodnej i osamotnionej w wielodzietnej rodzinie, gdzie dysfunkcyjny ojciec właśnie spłodził kolejnego potomka. A kobiety i dzieci głosu tutaj nie mają; to ledwie „gęby do wyżywienia".

Dlatego pewnego dnia Cáit zostaje wysłana na całe wakacje do dalekich, bezdzietnych i lepiej sytuowanych krewnych. W tym momencie mogłoby się rozpocząć coś w rodzaju „Ani z Zielonego Wzgórza" czy innej „Pollyanny". Jednakże Bairéad narzuca sobie powściągliwość na miarę swojej protagonistki, jakby ona stanęła za kamerą. Przejmując jej optykę, bez pośpiechu uchyla rąbka tajemnic i rozkręca spiralę emocji.

Podobne historie najłatwiej buduje się na przeciwstawieniach. U siebie Cáit była dzieckiem zahukanym, u wujostwa dostaje sto procent uwagi i nieskończoną życzliwość. Tam był brud i ubóstwo, tutaj schludny dom, ogarnięte gospodarstwo i własny pokój. Lecz sympatyczne tapety z motywem pociągu skrywają tragiczną prawdę o tej zacnej, acz chłodnej w obejściu rodzinie. Łatwo się domyślić, czemu w domu jest tak cicho, a ciotka Eibhlín (w tej roli równie wyciszona Carrie Crowley) po kryjomu farbuje siwiznę. Resztę dopowiedzą nam złe sąsiedzkie języki, zakłócając pozorną harmonię.

Bo cóż z tego, że dziewczynka nosi teraz czyste ubrania, skoro nieświadomie występuje w roli kogoś innego. Przywiązanie, jakie z wolna tworzy się między nią i jej opiekunami, już na starcie zostało naznaczone skazą. Co nie zmienia faktu, że wszyscy troje mają coś istotnego do przerobienia i staje się to możliwe właśnie dzięki temu niełatwemu spotkaniu. Bairéad inscenizuje je bez nadmiernego spoufalania się z bohaterami, otwierając przestrzeń dla niedomówień, a jednak będąc blisko.

Irlandzki twórca nakręcił film z ducha korczakowski, pokazujący rodzicielską miłość nie jako ślepy instynkt, ale żmudną pracę u podstaw, także nad samym sobą. W trakcie seansu przypominają się brutalne słowa jednego z bohaterów „Ciemno, prawie noc" Joanny Bator – że nie ci mają dzieci, którzy powinni. U Irlandczyka dziecięce oswajanie świata jak najdalsze jest od jego idealizacji. Wiejski żywot naznaczony codzienną rutyną ma niewiele wspólnego z bukoliką i nawet studnia może za

MATERIAŁY PRASOWE NOWE HORYZONTY

CICHA DZIEWCZYNA
(An Cailín Ciúin)
– reż. Colm Bairéad.
Prod. Irlandia 2022.
Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.
W kinach od 1 września.

Colm Bairéad to urodzony w Dublinie reżyser i scenarzysta, „Cicha dziewczyna" jest jego pełnometrażowym debiutem. Przenosząc na ekran opowiadanie „Foster" Claire Keegan, zdobył liczne nagrody oraz nominację do Oscara. Był to pierwszy przypadek, kiedy w kategorii filmu międzynarodowego pojawiła się produkcja z dialogami mówionymi głównie w języku irlandzkim.

chwilę okazać się wciągającą otchłanią. Tego też musi się nauczyć Cáit, żeby nie powielić losu rodziców, pogrążonych w wyuczonej bezradności, skostniałych rolach i wszechogarniającym dziadostwie, przekazywanym następnym pokoleniom.

Podszyty dziecięcym spojrzeniem film nie daje biologicznym rodzicom taryfy ulgowej, nie szuka zewnętrznych usprawiedliwień dla ich sytuacji, nie pochyla się nad nimi z troską. Choć gdy patrzymy na szlachetną i zarazem jakże charakterną twarz Clinch, skądinąd aktorsko wyśmienitej, nasuwa się pytanie, czy taka decyzja obsadowa za bardzo nie idealizuje tytułowej postaci. Kogoś obdarzonego taką charyzmą dużo łatwiej pokochać i dać mu szansę na nowe, lepsze życie.

Jeden z najciekawszych momentów tej historii przychodzi wtedy, gdy dziewczynka konfrontuje się ze swoim dawnym życiem. Chciałoby się rzec „prawdziwym", osadzonym w „prawdziwej rodzinie". Patrzy teraz na swoje środowisko inaczej niż w pierwszych scenach, dostrzegając w całej jaskrawości ów życiowy barłóg, z którego na chwilę się wyrwała. Czy kilka wakacyjnych tygodni wystarczyło, by ją odmienić? Do którego z tych światów bardziej teraz pasuje? Ten skromny film uruchamia wiele podobnych dylematów, a kwestia przynależności (emocjonalnej, społecznej, duchowej) pozostaje tu rozsądnie zawieszona.

A skoro każde lato musi kiedyś się skończyć, przed reżyserem posiłkującym się bądź co bądź konkretnym pierwowzorem literackim stanęło najtrudniejsze zadanie – jakimi środkami zakończyć tę historię, żeby jej nie zagłuszyć. Zwłaszcza że w „Cichej dziewczynie" mamy do czynienia z bohaterką, która na nic się nie skarży, nie potrafi o nic prosić, przez większość życia zdaje się odcięta od swoich emocji. Tymczasem finał przynosi istną ich eksplozję, choć jednocześnie otwiera furtkę na różne odczytania. Robi to na szczęście bez fałszywych nut, nasuwa się więc tylko jedna rada: proszę przygotować chusteczki. Tak wylanych łez z pewnością nie trzeba się wstydzić. ©

Lektor:
Książka niespodziewana

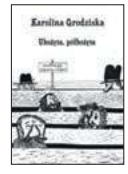

▪ *Karolina Grodziska*
UBOŻĘTA, PÓŁBOŻĘTA
Ilustracje Sebastian Kudas.
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, ss. 86.

Najpierw ukazały się dwa zbiory opowiadań: „Ptaszy ludzie" (2021) i „Sny czarno-białe" (2022). Eksplorowały tematy z przeszłości, ale też wypełniały białe w niej plamy, opisywały świat, także współczesny, poprzez wizerunki ludzi kreślone z wielką wrażliwością, łączyły wiedzę historyczną z wyczuciem baśniowości. „Fascynująca wyprawa do źródeł: naszej historii, tradycji, tożsamości, mitologii" – napisał o nich Bronisław Maj. „Skrywana dotychczas tajemnica Karoliny Grodziskiej to nie tylko mądra anegdota, ale nieokiełznana literacka wyobraźnia" – dodawał Jacek Purchla.

Skrywana tajemnica – bo dotychczas znaliśmy autorkę jako mediewistkę, monografistkę krakowskich nekropolii oraz polskich grobów w Anglii i Walii, a także wieloletnią szefową krakowskiej Biblioteki Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności. Wyobraźnia zaś niepodzielnie rządzi wydanym teraz trzecim tomem jej prozy. Tytułowe bowiem istoty – a są wśród nich podpróżki, użłopki z gromady uciułków, chachmęty i wspaki, kutwiki, no i opisane już przez Zofię Kossak-Szczucką kanapony – towarzyszą nam wprawdzie na co dzień, ale nie każdy je dostrzeże, a znajdą się i tacy, którzy zaprzeczą w ogóle ich istnieniu.

Nie wszystkie mieszkają z nami, na przykład niszą ekologiczną spańców są gmachy państwowe, uczelnie i kościoły. Lubią przesiadywać na oparciach krzeseł i foteli, moszczą się wygodnie i zaczynają do nas mówić. „Śpiewnie, nieprzerwanie szemrzą, a ich mowa nakłada się na treści płynące z mównicy, zza stołu prezydialnego lub z ambony. (...) Ogarnia nas błogi spokój, aby słyszeć lepiej, przymykamy oczy...". Są też złydnie – „tajemnicze, pozostające w cieniu siostry zmór". Omacki z kolei „pochodzą z rodu starych nocnych zjaw, określanych jako omacmice, strachy nocne czy ćmy", są jednak życzliwe ludziom, tyle że nieco kłopotliwe: to one sprawiają, że wstajemy w nocy, by coś zjeść, i na krótkich nóżkach towarzyszą nam w drodze do lodówki...

Omacek sportretowany przez Sebastiana Kudasa jest nieco przerażający – ilustracje autorstwa scenografa Piwnicy pod Baranami przydają tej książce rysu mrocznego, nieco toporowskiego (od Rolanda Topora), choć niektóre z ubożąt wyglądają na nich poczciwie, jak mój ulubiony chlumtacz herbaciany. Spotykają się dwie wyobraźnie – a my z tego korzystamy. ©℗

OLGA

Drenda:
Powrót bahama yellow

Minął już zenit wyjątkowo pracowitego dla mnie lata, w którym chwile odpoczynku od parującej klawiatury zapewniał mi ulubiony serial każdej graciary, „Zmiennicy". Tym razem częściej niż zwykle przyglądałam się kolorom karoserii samochodów na ulicach. Same ulice, co widać też na fotografii dokumentalnej epoki (i co sama mgliście pamiętam z czasów, gdy jako kilkulatka katalogowałam marki aut), tonęły w pylistej, przemysłowej szarości, kolorze sadzy na betonie – latem dziwnie fotogenicznej, zimą przygnębiającej. Ale wśród tej prefabrykatowej scenerii śmigały kolorowe prostopadłościany fiatów 125p, skod, wartburgów i dacii. W lakiery też zaplątał się wszechobecny osad, kolory te były często z natury niedomywalne, tak jakby w produkcji dostosowano je do powietrza z zawartością ołowiu: zakurzony cynober, błękit z domieszką brudu, groszkowa zieleń, ale już konserwowa. Nawet słoneczny *bahama yellow* wydawał się nieco złamany i skisły. Niemniej były to kolory zróżnicowane i żywe, nawet jeśli życie to mogło uchodzić za wątłe.

Francuski historyk Michel Pastoureau, który specjalizuje się w dziejach barw, używa słowa „chromoklazm" – walka z kolorem. Sam wspomina zetknięcie z tym zjawiskiem w dawnym NRD, gdzie przytłoczył go wszechobecny odcień niezidentyfikowany, burosiny z domieszką zbutwienia. Widywał go na ścianach, ubraniach, w druku. Nazwał go „prabarwą" i kojarzył z wrogością wobec wszelkich nowoczesnych subtelności. To był kolor przyziemny, praktyczny, a w tym okrutny (umiem go przywołać z pamięci, ten kolor rozgotowanych pieczarek; w późnym PRL-u taki kolor miewały artykuły szkolne i biurowe z tworzyw sztucznych, obwoluty na dokumenty, plecaki i teczki – od razu myślę, że stało za nimi przekonanie, że żadnemu obywatelowi nie powinno być zbyt wesoło. W takiej obwolucie o odcieniu rozkładu nosiłam kiedyś, o ironio, książeczkę zdrowia. To kolor gaszenia optymizmu).

Ale to był antykolor z obowiązkowego rozdzielnika, a dziś chromoklazm uprawiamy sami, z własnego wyboru, w świecie pozornie nieograniczonych możliwości. Jeździmy szarymi samochodami, jeśli remontujemy wnętrze (zwłaszcza dworca czy urzędu), to wyposażamy je w nieprzyjazną ludzkim zmysłom paletę szarości RAL, domy zapełniamy burymi beżami, sport uprawiamy na szarych wykładzinach pod światłem ledowym.

To idzie w parze ze spartańską redukcją w innych obszarach: np. powszechność urządzeń mobilnych wymusiła na projektantach, by w logotypach używali bezszeryfowych krojów. W rezultacie poszczególne marki przestają się wyróżniać, zlewają się w jedno. Nowe budynki wyglądają tak podobnie do siebie, że z daleka słychać chichot historii – wydawało się nam, że wielka płyta jest męczącym, szarym monolitem, a nie spodziewaliśmy się ofensywy agresywnej żadności na rynku, który mieni się wolnym.

Internet bombarduje nas nadmiarem wrażeń, podczas gdy w tzw. realu przytłacza neutralna i bezpieczna nuda, praktyczna i nijaka jak meble biurowe. Życie wśród takiej scenografii można prowadzić co najwyżej z przykrej konieczności. Im częściej widzę burobeżowe i stalowoszare obiekty dookoła, tym chętniej rozwijam prywatną teorię spiskową, że to Big Tech inwestuje w odbieranie smaku życia *offline*, żebyśmy spędzali więcej czasu w internecie.

Trochę sprany, lecz kochany

OLGA DRENDA

Tymczasem firma Fiat zorientowała się, że warto wyjść przed szereg. Na potrzeby reklamy jej szef zanurzył się, wraz z całym fiatem 600, w pomarańczowej farbie, oznajmiając koniec produkcji karoserii w neutralnych kolorach. Od tej pory samochody Fiata mają kojarzyć się ze słońcem i morzem Italii. Znawcy marketingu w branży samochodowej mówią, że to rękawica rzucona firmom niemieckim, dla których tęcza oznacza spektrum szarości. Ale też znów daje się słyszeć chichot historii, bo pomarańczowy odcień nowego fiacika nie leży tak daleko od słynnego *bahama yellow*. Może zatem na ulice powróci paleta barw znanych ze „Zmienników"? ©

PAWEŁ

Bravo:
Łyżka dziegciu

O jedną czwartą wzrosła w trakcie poprzedniej dekady liczba uli na całym świecie. W 2021 r. było ich, zdaniem oenzetowskiej agencji żywnościowej FAO, nieco ponad 100 milionów. Zera tańczą przed oczami, zwykły zjadacz miodu gapi się na dane jak głupi, nie wiedząc, czy to dużo, czy mało. Okazuje się „oszczędny poznawczo, ale szczodry emocjonalnie", bo któż by nie kochał pszczółek. To piękne sformułowanie prof. Jarosława Flisa, nieustannie dbającego o ukrwienie odrętwiałego od papki języka naszej polityki, dotyczy wprawdzie zradykalizowanych zwolenników jakiejś partii, ale pasuje też w kontekście losów owadziej gromady, ze szczególnym uwzględnieniem wszelkiego zapylającego drobiazgu („drobiazg to może masz we łbie, a mój tęgi odwłok to ty szanuj" – słyszę zirytowane bzyczenie trzmiela).

Otóż więc nie miliony i miliardy są tu dla nas istotne, ale dynamika, tempo przyrostu oraz konstatacja, że nigdy jeszcze na świecie nie było tyle pszczół, co dzisiaj. A ściślej tych z gatunku, o którym nie da się wprawdzie powiedzieć, że jest udomowiony jak krowa czy pies, ale na pewno został nie mniej niż krowa wprzęgnięty w ludzką gospodarkę rolną. Owszem, jest w nas fascynacja tym stworzeniem, jego zbiorową formą świadomości i skomplikowanym systemem komunikacji oraz wyrafinowanymi strategiami przetrwania. Ale na forach porad pszczelarskich rozmawia się konkretnie, bez rozkosznej pszczółko-majowej otoczki, o optymalizacji hodowli i metodach przynajmniej częściowego sterowania dzikim i sprytnym rojem. Nie miejsce tu, by cytować, co i jak cieknie z podciętych skrzydełek królowej – dzięki temu zabiegowi można zapobiec rójce, bo biedna królowa nie odleci dalej niż metr od ula. Niestety, piszą fachowcy, rój dalej będzie czekał na następną okazję i nie będzie pracował. „Radykalne metody mogą zmusić pszczoły do pracy" – radzą młodszym doświadczeni pszczelarze.

Otóż ta „praca", czyli tysiące ton miodu, ale przede wszystkim systematyczne zapylanie sadowniczych, owocowych czy rzepakowych monokultur sprawia, że żaden owad na Ziemi nie jest otoczony taką troską, a jego populacja nie jest tak usilnie wspomagana. A jednak w naszej potocznej świadomości „pszczoły masowo giną", każdy ul to prezent dla planety i ludzkości, która, wedle powracającego pseudocytatu z Einsteina, przetrwa ledwie cztery lata po wyginięciu ostatniej pszczoły. To bzdura, Einstein niczego takiego nie powiedział, fraza pojawia się pierwszy raz w 1994 r. w ulotce francuskich pszczelarzy organizujących w Brukseli demonstracje na rzecz – tak, zgadliście – jeszcze większych subwencji, ulg i ochrony rynku. Czemu agrolobbyści postanowili postraszyć eurokratów akurat autorytetem fizyka, który pasjonował się, jak to bywa z wielkimi umysłami, po trochu wszystkim, ale niekoniecznie rozmnażaniem roślin? Może założyli – pewnie słusznie – że to taki uczony, o którym słyszał w szkole nawet najbardziej tępy polityk.

Prawdziwi, a nie symboliczni, uczeni o nikomu nieznanych nazwiskach na początku tego stulecia badali zjawisko, które nawet w Wikipedii ma swoje hasło: „masowe ginięcie pszczół" – i nie doszli do jasnych konkluzji. Jego dynamika, a przede wszystkim powody nie zostały porządnie ustalone, zanim po prostu się rozmyło. Bywa, że tu i ówdzie pszczele populacje nagle się zmniejszają, w trakcie niektórych zim ginie ich znacznie więcej niż przeciętnie, ale generalnie jest ich wszędzie coraz więcej. Konkurując (przy ludzkim wsparciu) o tę samą ilość nektaru z resztą owadów zapylających, w sposób nieunikniony wypierają je ze szkodą dla bioróżnorodności, która nie jest abstrakcyjnym, ładnym hasłem, jeśli pomyślimy np., że te inne owady – choćby osy czy ćmy – stanowią z kolei ogniwa łańcuchów pokarmowych innych zwierząt.

Ale jaki prezes banku czy korporacji chciałby mieć na dachu szklanej wieży sto tysięcy ciem? Stawianie niepotrzebnych uli to nadal jeden z hitów greenwashingu, choć są takie miasta, jak Londyn czy Nowy Jork, gdzie firmy pszczelarskie już zaczynają mówić: dość, lepiej zbudujcie domostwa dla trzmieli czy posiejcie kwietną łąkę, pojawi się w obiegu więcej nektaru dla wszystkich zainteresowanych. Z najważniejszych pszczelich pożytków nie trzeba dosadzać tylko lipy. Jej, jak widać, nigdy nie zabraknie. ©℗

Akurat w kwestii miodu nie musimy mieć kompleksów wobec na ogół obfitszego w smaki i niuanse Południa (ani Zachodu – w Polsce jest sto razy łatwiej o uczciwy, niepodrabiany miód w rozsądnej cenie). Ale południowcy miewają zaskakujące pomysły. Oto przekąska podawana na Sycylii na św. Józefa. Przy okazji jest to też Dzień Ojca, więc wam, dzieciaci koleżanki i koledzy, ten przepis dedykuję. Na suchej patelni delikatnie prażymy 100 g bułki tartej ze 100 g płatków migdałowych i łyżeczką zmielonego białego pieprzu (do lekkiego zrumienienia). Gotujemy 400 g spaghetti, odcedzamy, przekładamy do miski, aż makaron stanie się letni, wlewamy ok. 100 g miodu (najlepiej neutralnego, np. akacjowego), mieszamy intensywnie, posypujemy skórką otartą z jednej cytryny, posiekaną miętą oraz uprażoną bułką i migdałami. Podajemy w małych porcjach – bo to na nasze standardy dość dziwne połączenie.

ADOBE STOCK X2

ZMYSŁY

ALE BAGNO

Mokradło nie zna granic. Nie do końca wiemy, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. To przeszkadza każdej władzy – mówi Michał Pospiszyl, historyk.

ADAM ROBIŃSKI

AGEFOTOSTOCK

Jak się przyjeżdża do Puszczy Białowieskiej, nie ma co tkwić w czterech ścianach. Mieliśmy iść w teren, ale wbrew prognozom – leje. Nie da się nawet siedzieć na ganku, bo deszcz bębni o dach tak intensywnie, że musielibyśmy do siebie krzyczeć, żeby się słyszeć. Dr Michał Pospiszyl, historyk z Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, prowadzi więc do kuchni, gdzie parzy kawę.

Po drodze do Czerlonki, niedużej wsi pomiędzy Hajnówką a Białowieżą, mijałem liczne patrole policji i konwoje wojskowych ciężarówek. Dwa lata po kryzysie uchodźczym na polsko-białoruskiej granicy krajobraz najcenniejszego nizinnego lasu w Europie jest wciąż mocno upolityczniony.

MICHAŁ POSPISZYL: Jeśli nie zatrzymał cię patrol na checkpoincie za Hajnówką, to miałeś szczęście. To ostatnio stały element wizyt w Puszczy. Do granicy mamy stąd jakieś osiem kilometrów. Nazwa wsi, Czerlonka, pochodzi od pobliskiego bagna Czerlon. Choć dziś to już raczej sucha polana. Historia osadnictwa w tym miejscu jest długa, ale w takiej formie jak dziś Czerlonka powstała pół wieku temu. W latach 60. i 70., kiedy ściągnięto tu pilarzy. W efekcie zabudowa jest trochę bardziej industrialna, przypomina zabudowania PGR-ów, a nie podlaską wioskę z drewnianymi chatkami. Zaraz za moim domem zatrzymywał się pociąg, którym przez wiele lat można było dojechać albo do Białowieży, albo do Hajnówki, i stamtąd dalej do całej Polski. Jak przy furtce skręcisz w prawo, zobaczysz coś na kształt bloku mieszkalnego. Blok w puszczy.

ADAM ROBIŃSKI: A co robi w puszczy historyk? Ona się kojarzy z innymi naukami, przede wszystkim przyrodniczymi.

Pracuję w instytucie, który zbiera ludzi z rozmaitych dyscyplin: socjologów, politologów, historyków. I choć obecnie zajmuję się tematami związanymi z dziedziną historii środowiskowej, to powód, dla którego się tutaj znalazłem, był raczej przypadkowy.

„Historia środowiskowa"? To nie ta, której uczą w szkołach.

Sama dyscyplina nie jest aż taka młoda. W Stanach Zjednoczonych rozwija się od lat 60. ubiegłego wieku. Ale rzeczywiście, w Polsce mamy dopiero kilka prac w tej tematyce. Najważniejszą jest chyba „Pińskie błota", książka Sławomira Łotysza o bagnach Polesia. Ostatnio ukazała się też biografia Wisły Andrzeja Chwalby, ale to raczej historia kultury, w której odbija się obraz rzeki. Tymczasem historia środowiskowa każe spojrzeć na dzieje jako procesy, których sprawcą jest nie tylko człowiek, ale również inne gatunki czy szerzej warunki środowiskowe.

Przykład?

To, że Wisła w danym roku była sucha albo wylewała, istotnie kształtowało świat społeczny, nie tylko dlatego, że powodzie niszczyły uprawy lub domy. Aż do upowszechnienia kolei większość handlu opierała się na transporcie wodnym, a jeszcze pod koniec XVIII w. pokonanie drogą lądową odległości z Londynu do Edynburga zajmowało tyle samo czasu co morska po-

Bagna w Puszczy Białowieskiej

dróż z Anglii do Afryki Południowej. Niski lub wysoki poziom wody, dłuższe lub krótsze mrozy istotnie wpływały oczywiście na wielkość zbiorów, ale też na możliwości prowadzenia handlu.

Czyli od pradziejów człowiek lepił z tego, co miał dookoła.

W humanistyce toczy się dziś ożywiona dyskusja na temat czegoś, co nazywa się determinizmem geograficznym: na ile środowisko, w którym ludzie egzystują, wpływa na to, jak się organizują. Jakie tworzą hierarchie, struktury społeczne, systemy ekonomiczne. XX-wieczny historyk Fernand Braudel uważał na przykład, że ryż miał fundamentalne znaczenie dla rozwoju państw we wschodniej Azji, tak jak pszenica miała je dla państw w basenie Morza Śródziemnego, a kukurydza w Ameryce. Ale w każdym z tych przypadków granicą dla rozwijanych w dolinach organizmów państwowych były góry. Dotarcie w miejsca wysoko położone dla słabo zaznajomionych z terenem agentów państwa, próbujących wymusić podatki, pańszczyznę czy pobór do armii, było bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Chociaż mamy jeden ważny przykład, który przeczy tej zasadzie: andyjskie państwo Inków. Ale nawet tam obecność gór istotnie ograniczała możliwości egzekwowania władzy.

Zupełnie inną przestrzenią są mokradła. Ich granice są niejasne, płynne. Bagno trudno zdefiniować, nie wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie kończy. Weźmy Puszczę.

Do niedawna była bardzo podmokłym lasem. Jeszcze w pierwszej połowie XX w. ludzie poruszali się tu czółnami. Ogromne szkody, jeśli chodzi o wysuszanie Puszczy Białowieskiej jako lasu podmokłego, jeśli nie bagiennego, poczyniła budowa zalewu Siemianówka na jej północy.

Powierzchniowo większego niż jezioro Wigry.

Siemianówka wyciągnęła z Puszczy masę wody. Początek budowy to lata 70. ubiegłego wieku. Powstało wielkie betonowe jezioro. Idea, która miała chronić przed powodziami, a doprowadziła do całej kaskady problemów, z którymi musimy się dziś mierzyć. Nagłaśniana przez Lasy Państwowe obecność kornika, który masowo atakuje świerki, jest długofalowym skutkiem osuszania Puszczy Białowieskiej. Siemianówka to główny winowajca, ale nie jedyny. Nawet dziś, jak się idzie przez las, widać dużo rowów melioracyjnych budowanych przez Niemców, bo krótka okupacja podczas I wojny światowej była czasem najintensywniejszej eksploatacji Puszczy. ↦

↦ **Na te uwarunkowania trzeba jeszcze nałożyć katastrofę klimatyczną.**

Oczywiście, choć w tym przypadku będę bronił podejścia, które wskazuje na lokalne uwarunkowania jako główną przyczynę wysychania Puszczy. Mamy oczywiście do czynienia z globalnym wzrostem temperatur i wszystkim, co z tą gwałtowną zmianą jest związane, jednak tu na miejscu można zrobić masę rzeczy, które sprawiłyby, że skutki katastrofy klimatycznej będą o wiele słabiej odczuwalne niż dziś. Oczywiście na zachodzie Europy było podobnie, tylko że Polska jest w tej niekomfortowej sytuacji, że nie ma lodowców. Niemcy, którzy w swoim krajobrazie dokonali jeszcze większych przekształceń, których rzeki są o wiele bardziej uregulowane niż nasze, a mokradła i torfowiska jeszcze intensywniej osuszane, mają kilka lodowców, które pewnie do końca XXI w. nie znikną zupełnie. Tymczasem w Polsce wody jest wyjątkowo mało, bo przez ostatnich 250 lat zlikwidowano bardzo dużo mokradeł, które są jak gąbki chłonące wodę i trzymające ją tu, na miejscu.

Ta ulewa za oknem – ściana wody, która nas zagłusza i trzyma w czterech ścianach – to dobra ilustracja do naszej rozmowy. Najważniejsze jest to, co się z nią stanie, kiedy przestanie padać. Jak szybko spłynie do morza.

No właśnie. A to, że powinna spłynąć jak najszybciej, jest w Europie przede wszystkim pomysłem pruskim. Jego realizacja zaczęła się w połowie XVIII w., a działaniom nadano silny cywilizacyjny impuls. Towarzyszyło im przekonanie, że melioracje to konieczność. Europa Środkowa i Wschodnia była, włączając w to Niemcy, naprawdę mokrym obszarem. W zmianę tego włożono dużo siły propagandowej.

Jakie argumenty za tym stały?

Po pierwsze przekonywano, że bagna to czynnik chorobotwórczy, a przebywanie w ich sąsiedztwie szkodzi zdrowiu. Ponieważ w przednowoczesnej medycynie za główny czynnik chorobotwórczy uważano nie wirusy czy bakterię, ale złe powietrze, wierzono, że na bagnach jest ono wyjątkowo szkodliwe. Stąd nazwa malaria. Ale chodziło też o choroby psychiczne – istniały koncepcje, wedle których przebywanie w bliskości mokradeł prowadzi do depresji i melancholii. W tym kontekście pojawiają się w „Hamlecie" Szekspira czy „Anatomii melancholii" Roberta Burtona. Po drugie zaś bagna bardzo przeszkadzały aparatowi państwowemu, bo istniało przekonanie, że mają wpływ demoralizujący. Powodują, że ludzie stają się krnąbrni, leniwi, niebezpieczni.

Bagna jako wylęgarnia złych obywateli.

I nie chodzi tylko o mokradła dzikie. Podmokłe dzielnice Paryża, Manchesteru czy Londynu, opisywane przez Balzaca i Dickensa, mają podobny status. Bardzo trudno podporządkować je aparatowi zewnętrznej władzy. Tym, co umożliwi opanowanie podobnych terenów, będzie wyraźne oddzielanie wody od lądu, ludzi od innych gatunków, narodu od mniejszości etnicznych. Czyli osuszenie. Każdy z tych aktów oddzielenia opierał się na dość arbitralnej decyzji, gdzie zaczyna się woda i kończy ląd, w którym momencie ktoś przynależy do wspólnoty narodowej, a kiedy jest przedstawicielem niebezpiecznej mniejszości. Ta niejasność, czy to jeszcze rzeka, czy już jakieś rozlewisko albo torfowisko, bardzo irytowała oświeceniowych filozofów.

Bagna zawsze przeszkadzały aparatowi państwowemu, bo istniało przekonanie, że mają wpływ demoralizujący. Powodują, że ludzie stają się krnąbrni, leniwi, niebezpieczni.

Na mapach rysowano wtedy linie graniczne.

A Karol Linneusz wymyślił klasyfikację gatunków. Dziś wiemy, że towarzyszył jej model myślenia o naturze jako czymś, co przede wszystkim powinno być traktowane jako zasób o zwykle bardzo wąskim zastosowaniu. Coś, co wcześniej służyło wielu celom, teraz ma służyć jednemu. Weźmy wodę, która ma stać się wartka i służyć przede wszystkim transportowi. Żeby się po rzece łatwo i sprawnie przemieszczać, powinna być ona prosta i wartka. Nic nie może na niej zalegać, żadnych mostków, bobrowych tam, młynów czy zastawek dla rybaków. Łódź z towarem ma się z jak najmniejszym tarciem przedostać z jednego miejsca do drugiego. Ale kiedy zaczyna się przebudowywać rzekę, by sprostała tym wymaganiom, pojawiają się nowe problemy.

Jakie?

Związane choćby z tym, że dochodzi do lokalnych przesuszeń albo wzrostu ryzyka powodziowego. Bo jeśli budujemy wysokie wały tam, gdzie dotychczas rzeka miała obszar zalewowy, to w momencie, gdy dojdzie do przerwania wału – a prędzej czy później dojdzie – to żywioł uderza z kilkukrotnie większą siłą niż dotychczas. Współczesne powodzie są o wiele bardziej destrukcyjne niż przednowoczesne.

I bardziej nieprzewidywalne.

No właśnie. Uniwersalnym założeniem obwałowania rzeki jest teza, że powódź może się na niej zdarzyć raz na sto lat. Tymczasem na Renie, najbardziej uregulowanej rzece w Europie, na przełomie lat 80. i 90. XX w. wydarzyły się cztery takie „powodzie stulecia". To pokazuje, jak bardzo problematyczna jest idea tej formy zabezpieczenia przeciwpowodziowego. Zwłaszcza w czasach, gdy klimat staje się bardziej nieprzewidywalny. Trudno określić ilość wody, z jaką będziemy mieć do czynienia. Robiliśmy badania etnograficzne na polskim Polesiu, niedaleko Bugu, gdzie ostały się jeszcze wsie zakładane kilka wieków wcześniej przez olęderskich osadników.

Takie wsie są w całej Polsce, wszędzie tam, gdzie kiedyś było mokro.

Olędrzy potrafili na tym mokrym dobrze gospodarzyć. Na Polesiu, choć od lat nie było już znaczącego wiosennego wylewu rzeki, ludzie wciąż trzymają na strychach kajaki. A domy stoją na lekkich wzniesieniach. Można w tym zobaczyć próbę dostosowania się do zastanych warunków. W opowieściach

wielu mieszkańców słychać nostalgię za czasami, gdy rzeka wylewała. Tłumaczą to przede wszystkim czynnikami ekonomicznymi. Osady rzeczne czyniły ich łąki bardzo żyznymi, to była ziemia bardzo wysokiej jakości. Dziś trzeba je nawozić samemu. To raz. A dwa, rozlewiska nadbużańskie były dużą atrakcją. Do dziś jest tam żywa tradycja produkcji dłubanek, czółen z ogromnych drzew, którymi pływało się do szkoły czy kościoła. Ona jest podtrzymywana, tylko nie ma za bardzo gdzie tych czółen wodować.

Współczesny język stoi po stronie meliorantów. Rzeczownik „bagno" ma dziś negatywne konotacje. Bagnem jest choćby polityka, a od bagna należy się trzymać z daleka.

Osadzenie tych skojarzeń w kulturze sięga bardzo dawnych czasów, więc jest głębokie, i to chyba we wszystkich tradycjach: judeochrześcijańskiej, greckiej, rzymskiej, w Mezopotamii, w Chinach czy Egipcie. Wszędzie potrzeba było wyraźnych politycznych rozstrzygnięć, zarysowania jasnej granicy pomiędzy tym, co cywilizowane i niecywilizowane, państwowe i bezpaństwowe, uregulowane i nieuregulowane. Trudno powiedzieć, z czego wynika zmiana, ale wydaje się, że ważną rolę odegrała tu militaryzacja relacji z naturą. Wysyłanie armii do regulowania rzek i osuszania mokradeł, co zaczęto robić w połowie XVIII w. w Prusach, przynosi nowym rządom poczucie wyjątkowej sprawczości. Nic dziwnego, że idea ta szybko rozniosła się po całej Europie.

Również w Polsce?

Do korzystania z pomocy wojska przy budowaniu kanałów wzywał w Polsce na przykład Józef Wybicki, znany bardziej z napisania tekstu przyszłego polskiego hymnu niż z prac hydrologicznych. Oświeceniowym rządom zależało, żeby opowieść o regulowaniu przyrody stała się elementem szerszego programu, obiecującego postęp szerokim warstwom społecznym. Program ten od Francji przez Neapol, Szwajcarię po Prusy, Polskę, Rosję czy osmańską Turcję cieszył się popularnością wśród przynajmniej części warstw ludowych, zwłaszcza tych, którym obiecywano działki na wyrwanych bagnom, osuszonych terytoriach. Z drugiej strony, co wydaje mi się szczególnie ważne, a co bardzo często umyka w takich dużych narracjach na temat nowoczesnego postępu, te próby przekształcania przyrody od samego początku wywoływały też zadziwiająco duży opór.

Kto się buntował?

Najbardziej oczywistą przyczyną sprzeciwu były wywłaszczenia i przesiedlenia. Kolonizacja bagien pochłaniała też ogromne ofiary. Na przykład podczas budowy Kanału Bydgoskiego z powodu chorób, złych warunków pracy, niedożywienia zmarła nawet jedna czwarta robotników. Buntowali się też oczywiście młynarze podczas likwidacji młynów, mieszkańcy wioski, w której w celu zwiększenia spławności rzeki zlikwidowano mostek łączący z sąsiednią osadą, opór stawiali robotnicy, których pod przymusem zatrudniano do budowy nowej infrastruktury. Ale najważniejsze wydaje mi się połączenie osuszania z procesem, który historycy tego okresu nazywają grodzeniami. Musimy pamiętać, że w przednowoczesnej Europie ogromna część potrzeb materialnych była zaspokajana nie z tego, co kupiono na rynku, ale z tego, co udało się zebrać, złowić, upolować lub wyhodować w przydomowym ogrodzie.

KATARZYNA CZECZOT / ARCHIWUM PRYWATNE

DR MICHAŁ POSPISZYL jest filozofem, historykiem idei, teoretykiem kultury. Adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk, współpracuje także z Instytutem Kultury Polskiej UW.

Samowystarczalność jako klucz do przetrwania.

Grodzenia były procesem, w którym kolejne przestrzenie umożliwiające takie życie poza rynkiem były ograniczane. Zwykle mówi się w tym kontekście o wypychaniu chłopów z łąk, lasów, jezior, które wcześniej użytkowane jako dobra wspólne, stawały się przestrzenią prywatną. Oczywiście, w wielu przypadkach tak to wyglądało. Nieporównanie trudniejsze do zbadania są grodzenia wykonywane na nieużytkach. Mamy więc przestrzeń, która w przeciwieństwie do łąki, lasu czy jeziora nie stała się nigdy przedmiotem żadnego przywileju, bo przez lokalnego arystokratę uważana była za teren pozbawiony jakiejkolwiek wartości ekonomicznej.

Takie myślenie o nieużytkach przetrwało do dziś.

A zwłaszcza w Europie Północno-Wschodniej zajmowały one ogromną część terytorium. Niemiecka historyczka Rita Gudermann, która zbadała problem na przykładzie wschodnich Niemiec, uważa, że jeszcze na początku XIX w. było ich więcej niż 50 procent. W zależności od szerokości geograficznej nieużytki mogą wyglądać różnie, ale w tej części Europy były to najczęściej szuwary, trzęsawiska, moczary, bagna. Można było się na nich zaopatrywać w raki, ryby, ptaki czy rozmaite gatunki roślin, takich jak wielofunkcyjna pałka wodna. Wraz z postępującym osuszaniem mokradeł następowało też przekształcanie tych pozbawionych wartości nieużytków w tereny bardzo cenne ekonomicznie.

Dające się, mówiąc brzydko, zmonetyzować.

Im mniej było możliwości zaopatrywania się w płody przyrody, tym silniejszy był przymus wejścia na rynek pracy, zyskania zarobku, za który to, co wcześniej było dostępne niejako za darmo, teraz trzeba było zapłacić. Nowy porządek wymagał więc nie tylko poprawienia natury krajobrazu, który z chaotycznego miał się stać czytelny, uporządkowany, osuszony, ale także nowej natury ludzi, by zaczęli pracować na całkiem innych zasadach.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Na Marsa!

Każdy – jak tu ponuro siedzimy – przyzna, że pytania, na które naród ma odpowiedzieć w październikowym referendum, skłaniają do tzw. refleksji i zadumy nad pochodzeniem Polaka. Oto nikt – pochylając się nad treścią, formą, celem i sensem owych pytań – nie może mieć stuprocentowej pewności, że Polacy pochodzą od małp człekokształtnych (*Hominidae*). Pytania referendalne stawiają nas w bezcieniowym świetle lamp medycznych, a zaawansowane mikroskopy, skierowane na szeroko pojętą umysłowość polską, niepokojąco ostrzą swe systemy optyczne. Tak, to niepokojące i krępujące, znalezienie się bowiem w centrum globalnej dyskusji na temat ewolucji ssaków może mieć nieobliczalne, wręcz nieszczęśliwe dla naszej godności skutki. Już ma – wystarczy przerzucić komentarze zagranicznej prasy, haniebnie sugerujące, że z cech *Homo sapiens* pozostała nam wyłącznie dwunożność.

Oczywiście analizy i oceny zagraniczne dla administrujących obecnie Polską nie mają znaczenia, co wielu rodakom się ogromnie podoba. Trzeba jednak przyznać, że realizacja przez polskie państwo, detal po detalu i w realu, przedstawienia pt. „Ubu król" – utworu francuskiego dramaturga Alfreda Jarry'ego – robi wrażenie. Na jednych słabsze, na innych duże i dobre. W ogóle – popatrzmy – dobre samopoczucie wydaje się dziś najważniejszym uczuciem bądź, jak kto woli, emocją.

Zideologizowana walka o dobre samopoczucie polskich wyborców od lat przynosi skutki co najmniej opłakane. Namawianie ludzi do myślenia uznano za zbędne, bo męczące i traumatyzujące. Lepiej czuć się dobrze niż niedobrze. Ta piękna i prosta myśl wiedzie nas ku różowej przyszłości – jak, nie przymierzając, kieliszek najpopularniejszego narkotyku świata. Takeśmy się tu rozgadali o niczym, że – popatrzmy – może nam nie wystarczyć miejsca na rzeczy arcyważne.

Ludziom czytającym wyłącznie, ale nieuważnie, poważne gazety umknęła zapewne dominująca uwagę polskiej opinii publicznej sprawa pewnej jakby aktorki celebrującej. W największym skrócie – ta pani zmyśliła swą zagraniczną karierę, co wynika z badań przeprowadzonych przez pana sprawdzającego jej przeszłość. Panuje z tego powodu tzw. szok i niedowierzanie. Blisko trzygodzinny film demaskujący panią obejrzało już ponad siedem milionów wstrząśniętych widzów. W sprawie owej kobiety gwarzą ludzie poważni i niepoważni, na łamach poważnych i niepoważnych. Słowem, można powiedzieć, że sprawą tej aktorki żyje cała Polska. Nie bardzo wiadomo, czy wszystko razem to dla celebrytki dobrze czy źle. Nie jesteśmy bowiem aż tak pewni jej umysłowości, marzeń i celów ani zorientowani w dzisiejszości świata tego, by mieć na ten temat solidną opinię. O sprawie piszemy, gdyż nasz dobrze naoliwiony aparat zajmujący się kojarzeniem zasygnalizował nam pewną zasadniczą zbieżność, by nie rzec – bliźniaczość.

Otóż czytając powszechnie dostępne, oparte na tzw. faktach teksty poświęcone życiu i pracy J. Kaczyńskiego, obecnie wicepremiera RP, mamy wrażenie, że ów polityk również zasługuje na rzetelnie skadrowany, trzygodzinny dokument filmowy, wyposażony w aparat badawczy, zgrabny podkład muzyczny i aksamitny głos popularnego lektora. Bite trzy godziny to jednak mało, ponieważ – wydaje się nam – można by nakręcić od razu trzy trzygodzinne części, które z wypiekami obejrzałoby rekordowo wielu widzów, więcej niż zobaczyło film „Krzyżacy". Stop! To marzenie natychmiast obnaża nasze oderwanie od rzeczywistości. Pokazuje, że jesteśmy bardzo naiwni, że brak nam elementarnego zmysłu przedsiębiorczości, wyczucia rynku i czucia ekranizacji. Mniemanie, że dużą publiczność zainteresować może zbadanie niejasności bądź nieścisłości w życiorysie człowieka i ludzi z jego otoczenia decydujących o życiu milionów obywateli, jest chorą fantazją. Zaiste, każdy producent, któremu przedstawilibyśmy podobny zamysł, wysłałby nas na Marsa, co, nawiasem mówiąc, przyjęlibyśmy z wdzięcznością, wiele bowiem wskazuje, że wciąż nie ma tam okręgowej komisji wyborczej ani żadnej polskiej urny. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

Nowość!

PEŁNE DOŚWIADCZENIE TYGODNIKA W DOBREJ CENIE

Papierowy premium + cyfrowy roczny

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Gwarancja szybkiej dostawy
- Natychmiastowy dostęp
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

729,99 zł

Najlepsza opcja!

Papierowy + cyfrowy

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Natychmiastowy dostęp
- Zapamiętaj i czytaj później
- Wybrane teksty przed wydaniem w kiosku
- Wydanie w pliku PDF

599,99 zł

Prenumerata roczna

- Otrzymujesz wszystkie numery
- Dostajesz pod wskazany adres
- Nie musisz szukać w kiosku

550,00 zł

Prenumeratę papierową + cyfrową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00-15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

V KONGRES ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH

historia na głosy

Jak rozmawiać o przeszłości i nagrywać osoby, które dzielą się swoimi wspomnieniami? W jaki sposób korzystać z tych doświadczeń w działaniach twórczych? I w jaki zapisywać historię, która dzieje się na bieżąco?

29.09–1.10.2023

Na te i wiele innych pytań odpowiemy podczas V Kongresu Archiwów Społecznych – spotkania, warsztaty i prezentacje odbędą się w Lublinie i online na platformie kongres.cas.org.pl

Więcej informacji na cas.org.pl

centrum archiwistyki społecznej

partnerzy

Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN.pl · Polskie Towarzystwo Historii Mówionej · UMCS

patroni

Patronat Honorowy – Prezydent Miasta Lublin Krzysztof Żuk · Lublin Miasto Inspiracji

partnerzy medialni

Tygodnik Powszechny · Polskie Radio Lublin · ngo.pl · HistMag.org

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

V Kongres Archiwów Społecznych dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego